



DWIE OSOBY POTRAFIĄ
DOCHOWAĆ SEKRETU.

O ILE JEDNA Z NICH
JEST MARTWA.

MORDERSTWO NA SZLAKU

JENNY BLACKHURST

ALBATROS

MORDERSTWO NA SZLAKU

JENNY BLACKHURST

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA SŁYSZ

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
THE HIKING TRIP

Copyright © Jenny Blackhurst 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2023

Redakcja: Anna Walenko
Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek
Zdjęcia na okładce: © Kindra Nikole/Arcangel (kobieta);
Kseniya Ivashkevich/Shutterstock (las)

ISBN 978-83-6751-316-6

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu epub na zlecenie Woblink

woblink
woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1

2 Maisie

3

4 Maisie

5

6 Maisie

7

8

9 Maisie

10

11 Maisie

12

13

14 Maisie

15

16 Maisie

17

18 Maisie

19

20

21 Maisie

22

23 Maisie

24

25

26 Maisie

27

28

29 Maisie

30

31 Maisie

32

33

34 Maisie

35

36 Maisie

37

38

39

40 Maisie

41

42 Maisie

43

44 Maisie

45

46

47 Maisie

48

49 Maisie

50 Maisie

51

52 Maisie

53 Rozprawa

54

55 Rozprawa

56

57 Rozprawa

58

59 Rozprawa

60

61 Rozprawa

62

63 Seraphine

64

65 Seraphine

66 Seraphine

67 Maisie

68

69 Seraphine

70

71

Epilog

MŁODA TURYSTKA PRZEPADA BEZ ŚŁADU NA MALOWNICZYM SZLAKU GÓRSKIM.

NIKT NIE WIE, CO DOKŁADNIE WYDARZYŁO SIĘ TEJ NOCY. POZA JEDNĄ
OSOBA...

KTÓRA MA SWOJE MROCZNE TAJEMNICE.

Dziewiętnastoletnia Maisie jedzie do Kanady, by spędzić wakacje, wędrując po górach. Na szlaku zaprzyjaźnia się ze spotkanym po drodze rodzeństwem, Serą i Rickiem. Wymarzona wyprawa zamienia się jednak w koszmar, kiedy pewnej nocy dziewczyna staje się świadkiem brutalnej sceny, prawdopodobnie morderstwa. I choć znika ciało ofiary, zeznania Maisie doprowadzają do uwięzienia jednego z wycieczkowiczów.

Dwadzieścia lat później Laura wpada w panikę, gdy dowiaduje się, że w pobliżu popularnego kanadyjskiego szlaku znaleziono ludzkie szczątki, a media zaczynają ujawniać kolejne szczegóły. Laura, szczęśliwa żona i matka, ma na sumieniu śmierć człowieka i od dawna ukrywa się pod zmienionym nazwiskiem. Wygląda na to, że sekret, którego strzegła przez lata, wkrótce wyjdzie na jaw. I ktoś go zna. Ktoś, kto wysyła do niej dziwne paczki i grozi jej bliskim. I najwyraźniej chce, by zapłaciła za to, co się stało.

Jak daleko posunie się Laura, by ocalić rodzinę? I co wydarzyło się ponad dwie dekady temu w Kanadzie?

JENNY BLACKHURST

Brytyjska pisarka, wychowywała się w Shropshire, gdzie mieszka do tej pory z mężem i dziećmi. Dorastając, godzinami czytała książki i rozmawiała o kryminałach, tak więc było tylko kwestią czasu, kiedy sama zacznie pisać.

Jenny Blackhurst zadebiutowała w Anglii świetnie przyjętą powieścią **Tak cię straciłam**. Oprócz niej w Polsce ukazały się jej późniejsze książki **Zanim pozwolę ci wejść**, **Czarownice nie płoną**, **Noc, kiedy umarła**, **Ktoś tu kłamie** oraz **Córka mordercy**, które na dobre zjednały jej fanów thrillerów psychologicznych i sprzedały się w łącznym nakładzie ponad 220 tysięcy egzemplarzy.

Tej autorki

ZANIM POZWOLĘ CI WEJŚĆ
CZAROWNICE NIE PŁONĄ
TAK CIĘ STRACIŁAM
NOC, KIEDY UMARŁA
KTOŚ TU KŁAMIE
CÓRKA MORDERCY
MORDERSTWO NA SZLAKU

1

Listopad 2019

Wystarczyły zaledwie trzy słowa, żeby moje życie po raz drugi legło w gruzach.
„Znaleziono ludzkie szczątki...”

Jest sobota, szczególnie nieodpowiedni na to dzień, bo mam ze sobą oboje dzieci. Faye, siedmioletnia, i George, czteroletni, siedzą z tyłu samochodu i spierają się o to, czy pan Tumble ma nasrane w głowie, podczas gdy ja wrzucam wsteczny bieg, żeby wjechać pod Asdą na ostatnie miejsce dla rodziców z dziećmi – bingo! – ale wtedy z przeciwka nadjeżdża facet w czarnym mercedesie i mnie uprzedza.

Wciskam hamulec i opuszczam szybę, gdy Mercedesiak wyskakuje zza kierownicy, bez dziecka, za to z wyraźnie czystym sumieniem, i pilotem przy kluczykach zamyka drzwi wozu. Wychylam się przez okno i macham.

– Przepraszam pana, właśnie miałam tu zaparkować! – wołam, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu nie zauważył manewrów mojego srebrnego minivana, który utknął teraz na ulicy.

Za mną zatrzymuje się inny samochód i czeka, żebym odjechała, ale jeszcze sobie poczeka.

– Nic się nie stało, miła pani! – odpowiada Mercedesiak.

Jest wysoki, w garniturze, który nie maskuje wystającego brzucha pana w średnim wieku, i ma krótko ostrzyżone włosy, bo wydaje mu się, że to ukryje postępujące łysienie, co niestety nie dotyczy włosów w nosie i uszach. Obnosi się

z tym rodzajem całorocznej opalenizny, która zapewne ma być świadectwem urlopu nad Morzem Śródziemnym, a tymczasem aż krzyczy, że nabył ją „na solarach”.

– „Przepraszam” nie w tym sensie – mówię i otwieram drzwi samochodu, żeby wysiąść, ignorując kobietę w aucie za mną, która zaczęła nerwowo gestykulować. – Chciałam powiedzieć, że właśnie tu wjeżdżałam. A pan nawet nie ma dzieci. To miejsce dla rodziców z dziećmi.

Mercedesiak patrzy na mnie jak na natrętą muchę i czuję, że moja krew zaczyna dosłownie wrzeć.

– Jestem rodzicem – odpowiada – tylko nie wziąłem dzieci ze sobą. I byłem pierwszy, skoro stoi tutaj mój wóz.

– Ale ja właśnie miałam... – zaczynam.

– Nie zdążyła pani – wchodzi mi w słowo wkurzająco spokojnym głosem. – Więc proszę wrócić do swojego samochodu i znaleźć inne miejsce. Myśli pani tylko o sobie i powoduje zator. – Rusza w stronę supermarketu.

Stoję oniemiała, patrząc za nim.

– Ja myślę tylko o sobie?! – wołam w kierunku jego oddalających się pleców. – Ja myślę o sobie?! Ty dupku zasrany!

Jakiś kierowca z kolejki czekających za mną aut naciska klakson. Prycham ze złością i cała czerwona na twarzy wsiadam z powrotem do samochodu. Obracam kierownicę i przejeżdżam obok tamtych wozów, pojednawczym gestem unosząc rękę.

– Przekleś, mamusiu. A za przekleństwo należy się pieniędzy do skarbonki – zauważa słodko Faye.

Miejsce, na którym wreszcie udaje mi się zaparkować, jest oddalone o dobry kilometr od wejścia do supermarketu, ale przynajmniej znajduje się przy krawężniku, więc mogę otworzyć drzwi na tyle szeroko, żeby George wysiadł, i nie walnąć nimi w sąsiedni samochód. Zamykam je i ujmuję kluczyk tak, żeby wystawał spomiędzy moich palców – tak jak kobiety uczą się chodzić po zmroku. „Nie baw się wtedy telefonem, nie noś słuchawek, nie pij za dużo i w razie gdyby ktoś próbował cię zaczepić, wbij mu kluczyk w oko”.

– Chodźcie, dzieci – mówię, wolną dłonią biorąc George’a za rączkę.

Faye chwyta go za drugą i szybko idziemy przez parking.

– Mamusiu, wybierasz dłuższą drogę – skarży się Faye. – Wejście jest tam!

– Uhm, mam tu coś do załatwienia – odpowiadam, zmierzając w stronę mercedesa.

Kiedy przechodzę obok niego, opuszczam rękę tak, żeby rękaw kardiganu zasłonił mi dłoń, i przeciągam kluczykiem po lśniąącym czarnym lakierze, robiąc długą głęboką rysę. Jednak nie patrzę na szkodę, którą spowodowałam. Wystarczy mi towarzyszący temu zgrzyt. Wybrałam bok samochodu po przeciwnej stronie od kamery przemysłowej, więc nie będę się pochylać, żeby obejrzeć swoje dzieło. Facet domyśli się, że to moja robota. Kciukiem usuwam ślady lakieru z narzędzia przestępstwa i ukradkiem chowam kluczyk do kieszeni.

– Co to była za sprawa? – dopytuje się Faye, nieświadoma małej zemsty, jakiej właśnie dokonała jej matka.

– Mamusia musiała pokazać takiemu jednemu, że nie pozwoli się bezkarnie traktować jak śmiecia – odpowiadam. – Nauczyłam się tego dawno temu, od pewnej życzliwej osoby.

*

Po tym akcie oporu zakupy idą sprawnie, Faye i George zachowują się wzorowo. Wracam do samochodu przed Mercedesiakiem i jestem lekko zawiedziona, że nie zobaczę jego miny, gdy zauważy rysę, ale może to i lepiej – nie potrzebuję kolejnej awantury przy dzieciach.

– Mamusiu, czy możemy jeszcze raz nastawić muzykę z *Krainy lodu*? – pyta Faye.

Tłumię jęk.

– Odtwarzacz płyt się zepsuł, kochanie – kłamię. – Tatuś go później naprawi. Ale mamy radio.

– A z telefonu się nie da?

Demonstracyjnie podnoszę smartfon.

– Padła bateria. – Kolejne niewinne kłamstewko.

Włączam radio, zanim Bluetooth uzyska połączenie i mnie zdradzi. Uśmiecham się na dźwięk głosu mojego ulubionego spikera z miejscowej stacji. Słuchając go, mam wrażenie, jakbym gawędziła z przyjacielem.

– „To był utwór *Suspicious Minds* samego króla, czyli Elvisa Presleya. Klasyka w najlepszym wydaniu. Dochodzi jedenasta, więc pora na wiadomości, które przedstawi Piper Brent. Witaj, Piper”.

– „Witaj, Jim. Oto główne dzisiejsze informacje. Premier oświadczył, że nie przeprosi za to, co powiedział podczas wczorajszej konferencji prasowej, ponieważ... cytuję... «Jeśli ktoś tu został obrażony, to tylko ja». Opozycja domaga się jego rezygnacji”.

– Nie ma szans – sarkam pod nosem.

– „A władze w Vancouver informują, że ludzkie szczątki, znalezione we wrześniu na słynnym szlaku West Coast, wkrótce zostaną zidentyfikowane. Wciąż nie wiadomo, czy są to zwłoki zaginionej angielskiej turystki, Seraphine Cunningham, więc kanadyjska policja konna podlega coraz silniejszej presji, żeby...”

Faye i George wrzeszczą za moimi plecami, kiedy nasz samochód uderza w jadącą przed nami ciężarówkę Waitrose.

2

Maisie

Lipiec 1999

Mogła się domyślić, kiedy po przybyciu na lotnisko nie zobaczyła przyjaciółki przed automatycznymi drzwiami do hali odlotów; powinna tam czekać, łąpczywie zaciągając się ostatnim papierosem przed dwunastogodzinną przerwą od nikotyny. Albo gdy weszła do środka, żeby nie stać na przenikliwym zimnie, i przed otwartym stanowiskiem odprawy nie znalazła żadnej żywołowej brunetki, raczącej kolejkę opowieściami o „najgorszej podróży pociągiem, jaką przeżyła” w drodze na lotnisko, czy o „obrzydliwym taksówkarzu”. Ruth zawsze miała w zanadrzu jakieś „piekielne” historie, czy to o piekielnej współlokatorce, czy o piekielnym chłopaku.

I kiedy Maisie dzwoni z automatu na swoją domową pocztę głosową i przesłuchuje zostawioną przez przyjaciółkę wiadomość, wie, że uczucie niepokoju, które towarzyszyło jej od rana, było usprawiedliwione. Miała rację. Ruth nie jedzie.

– Straaasznie przepraszam!!! Miałam piekielny tydzień. Harry powiedział, że jeśli pojedę do Vancouver, to z nami koniec, więc nie mogę ryzykować. Rozumiesz, prawda?

Maisie odłożyła słuchawkę na widełki, nawet nie zadając sobie trudu, żeby oddzwonić. Wiedziała, że Ruth nie siedzi przy telefonie i nie czeka na jej

przebaczenie. Pewnie w tej chwili zabawiała się z tym wspaniałym Harrym, zbyt wspaniałym, żeby go stracić. Maisie zrozumiałaby to, gdyby nie pamiętała, że jeszcze niespełna miesiąc wcześniej Ruth szaleńczo kochała się w jakimś Kencie i że Harry to całkiem świeża znajomość.

Co miała w tej sytuacji zrobić? Chociaż było do przewidzenia, że Ruth ją wystawi, Maisie naprawdę liczyła, że to będzie ich „podróż życia”. Chodziło nie o wyjazd na całe lato, tylko o wypad na dziesięć dni, łącznie z podróżą tam i z powrotem. Krótkie dziesięć dni, spędzone wspólnie przez dwie przyjaciółki z dzieciństwa, które nie widziały się okrągły rok, bo studiowały na różnych uczelniach. Ale nie – ważniejsze okazało się bzykanko miesiąca. A co gorsza, i to było już naprawdę dobijające, matka ją ostrzegła, że tak się to skończy.

„Ona cię wystawi, ta dziewczyna. Jak zwykle”.

Oczywiście to, że jej słowa się sprawdziły, było dla Maisie marnym pocieszeniem. Matka tak powiedziała, bo nie mogła znieść, że przez dziesięć dni będzie musiała sama zajmować się dziećmi, parzyć herbatę, ścielić łóżka. Była zadowolona, że przyjaciółki Maisie rozjechały się na różne uczelnie. To bowiem oznaczało, że córka będzie siedziała w domu i tylko od czasu do czasu wieczorem wyskoczy na kawę z paroma koleżankami z pracy.

Maisie spojrzała na informację o odlotach. Miała jeszcze czas, żeby przejść przez odprawę, ale mogła też zrobić w tył zwrot i pojechać do domu. Wrócić do pokoju, który w wieku dziewiętnastu lat dzieliła z czternastoletnią siostrą, podczas gdy ich matka przez całą noc doglądała najmłodszego dziecka, jeszcze niemowlęcia; wrócić, żeby wstawać o piątej rano i zmieniać dziecku pieluchy, częściej, niż można by tego oczekiwać od dziewiętnastolatki, która jeszcze nigdy nie uprawiała seksu. Wyjazd miał być jej ucieczką od obowiązków, jakimi była obarczona.

Jednak nigdy jeszcze nie robiła czegoś takiego sama. Gdyby Ruth nie namówiła jej na ten wypad, w ogóle by się na niego nie zdecydowała.

„Mam wrażenie, jakbyśmy nie widziały się od wieków, Mase – powiedziała przymilnym tonem. – To będzie podróż naszego życia, ty i ja, najlepsze przyjaciółki

znowu razem”.

I dała się przekonać, bo pochlebiało jej, że Ruth nie zaproponowała tego żadnej ze swoich nowych koleżanek z uczelni, tylko zwróciła się właśnie do niej. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że pewnie te koleżanki od razu poznały się na Ruth, nie tak jak ona. Chociaż to nie była prawda. Maisie zawsze wiedziała, jaka jest jej najlepsza przyjaciółka, już od trzynastego roku życia, kiedy Ruth zostawiła ją w mieście, zdaną na siebie, po tym, jak wydały całą forszę, również tę na autobus powrotny, i sama zabrała się samochodem z grupą chłopaków.

„Jest tylko jedno miejsce – rzuciła, wciskając się między nich. – Poradzisz sobie, prawda?”

Jej matka nie była zresztą lepsza. Maisie przypomniała sobie, jak raptem parę godzin wcześniej jej czternastoletnia siostra wybiegła z domu i zapukała w okno taksówki.

– Zostawiłaś jakieś pieniądze? Mama znowu wsadziła za dużo rzeczy do pralki i cholerstwo się zepsuło.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, Maisie chwyciła swój plecak i podeszła do stanowiska odprawy.

3

Listopad 2019

– Nie, nic nam się nie stało – powtarzam już chyba po raz setny. – Bardzo panu dziękuję.

Kierowca ciężarówki Waitrose, młody człowiek, może nieco po dwudziestce, sprawia wrażenie przerażonego, mimo że to ja w niego uderzyłam.

– Na pewno? Dzieci są wyraźnie przestraszone, a jechała pani tym vanem dość szybko. Może jednak powinienem wezwać pomoc? Karetkę?

– Nie. – Kręcę głową. – Dziękuję, ale nic nam nie jest. Z tą karetką to byłaby przesada. Zadzwonię do męża, przyjedzie po nas i wszystko będzie w porządku. Naprawdę.

Facet wyraźnie czuje ulgę na myśl, że przyjedzie jakiś mężczyzna i wybawi nas z tej sytuacji.

– Hm, skoro pani tak mówi. Tylko skontaktuję się z szefem, spytam, czy coś jeszcze mam zrobić. Och, proszę chwilę poczekać... – Znika za vanem, a ja niecierpliwie przewracam oczami.

Mogłabym go zostawić i ruszyć dalej. Zjechałam na pobocze, zgłosiłam stłuczkę na policji, żeby sprawdzili, czy nie zostało na jezdni coś po kolizji, zadzwoniłam do warsztatu samochodowego, by odholowali mój wóz, i przez apkę zamówiłam taksówkę. Chłopak z ciężarówki wraca z dwoma lodami na patyku.

– Były na liście zamienników, ale klientka ich nie chciała. To dla dzieci. Przeżyły szok.

Natychmiast ogarniają mnie wyrzuty, że w myślach go poganiałam i mówiłam mu, żeby się już odczepił.

– Bardzo dziękuję – odpowiadam i biorę od niego lody.

Otwieram tylne drzwi vana i wtykam głowę do środka. Faye już nie krzyczy. Ona i George patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami, wciąż przerażeni.

– Czy pójdziemy do więzienia? – pyta Faye.

„Ludzkie szczątki”.

Jak to się stało, że przeoczyłam tę informację? Zwłoki znalezione w październiku na słynnym szlaku West Coast. Wkrótce zostaną zidentyfikowane.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Nie, kochanie, to był wypadek. Ten sympatyczny pan dał dla was lody, żeby umilić wam czekanie na taksówkę.

– Powiedziałaś, że zadzwonisz do tatusia – mówi Faye. – Chcę, żeby tatuś po nas przyjechał.

Waham się przez moment. Mogłabym zawiadomić Roba, odebrałby nas w jednej chwili. Ale wszystko jest już pod kontrolą. Nie potrzebuję go tutaj.

– Nie ma sensu przeszkadzać mu w pracy – odpowiadam. – Zwłaszcza jeśli chcesz, żeby zarobił pieniądze na tę wielką trampolinę, którą zażyczyłaś sobie na urodziny.

Faye wyszczerza zęby w uśmiechu. Ma ubrudzoną i lepka od lodów buzię. Myśli o wypadku i o tym, żeby wezwać tatę, ulatują jej z głowy.

– Nie potrzebujemy tatusia, George – mówi do brata. – Mamusia nad wszystkim panuje. Chcemy tę trampolinę, no nie?

Mamusia nad wszystkim panuje. Też tak myślałam, mała. Teraz jednak nie jestem tego taka pewna.

W czasie, gdy czekamy na taksówkę, wstukuję w Google'a: „Szlak West Coast. Znalezione szczątki ludzkie”.

Wtedy, w październiku, pisano o tym wszędzie. Że też mi to umknęło! Zwłoki odkryto w odległości pięciu kilometrów od Cribs Creek i spekulowano, że mogą należeć do turystki Seraphine Cunningham. Wędrowała słynnym szlakiem West Coast w lipcu 1999 roku, kiedy podróżująca z nią przyjaciółka, również Angielka, Maisie Goodwin, zgłosiła jej zaginięcie po ataku innego wycieczkowicza, Mitchella Dyke'a.

Po tej wiadomości pojawiło się jeszcze parę artykułów na ten temat, ale nic nie wniosły do sprawy, aż do chwili, kiedy policja wydała oświadczenie, że badania dobiegają końca i niebawem będzie możliwa identyfikacja szczątków.

No i proszę. Przeszłość, którą tak bardzo chciałam zostawić za sobą, dopadła mnie znowu.

Nikt nie zna twojej nowej tożsamości, przekonuje głos w mojej głowie. Nikt oprócz ciebie. Nic cię nie dopadnie. Minęło dwadzieścia lat. Nie ma już żadnych dowodów. Nie pójdziesz za kratki.

Na tę myśl szybko podnoszę rękę do ust, żeby powstrzymać zólc, którą czuję w gardle. Nie mogą wsadzić mnie do więzienia. Nie teraz, gdy nazywam się Laura Johnson, mam Faye i George'a, no i Roba. Zaczęłam nowe życie, założyłam rodzinę. Wtedy nie miałam nic do stracenia i może powinnam była sama zgłosić się na policję, odbyć karę, odsiedzieć swoje. Ale wówczas nie poznałabym Roba, nie urodziliby się Faye i George. To, kim teraz jestem, opiera się na kłamstwach. Ale patrząc na moje dzieci, wiem, że gdybym musiała, teraz postąpiłabym tak samo. Zrobiłabym wszystko, żeby chronić swoje obecne życie. Posunęłabym się nawet do zabójstwa.

W końcu nie byłby to pierwszy raz.

4

Maisie

Lipiec 1999

Maisie spodziewała się, że wpadnie w panikę, gdy tylko wsiądzie do samolotu, i nie będzie miała odwrotu, ale poczuła jedynie całkowity spokój. Wtedy uświadomiła sobie, że jej stres wynikał głównie z obawy – choćby nawet nie chciała się do tego przyznać – że Ruth w którymś momencie ją zawiedzie. Oczywiście nie sądziła, że stanie się to już na samym początku, jeszcze przed wylotem, ale z żalem pomyślała o tych wszystkich straconych latach, kiedy usprawiedliwiała przed samą sobą zachowanie przyjaciółki, i o tych wszystkich wspomnieniach, na które cieniem rzucał się egoizm Ruth.

To, że nie będzie musiała łązić za jakimś chłopakiem, w którym tamta się zakochała, a przynajmniej tak jej się wydawało, ani nadkładać ponad dwudziestu kilometrów, żeby Ruth mogła znaleźć budkę telefoniczną i zadzwonić do Harry’ego, przyniosło Maisie taką ulgę, po raz pierwszy od czasu, gdy zaplanowały tę podróż, że zasnęła od razu po starcie. Tyle nocy leżała w łóżku bezsenne, martwiąc się, jak jej siostry, czternastolatka i to maleństwo, poradzą sobie z coraz bardziej nieobliczalną matką, albo myśląc z lękiem, jaki numer może wywinąć Ruth, tak że się zgubią albo wylądują w policyjnym areszcie, a teraz oto była w drodze i nic, co

więzało się ze światem na dole, nie miało już znaczenia. Przynajmniej na dziewięć godzin lotu uwolniła się od wszystkiego, co ją krępowało.

Obudziła się po paru godzinach z obolałą od niewygodnej pozycji szyją. Siedzący obok mężczyzna w średnim wieku uśmiechnął się do niej i podsunął jej cukierki.

– Nie, dziękuję – odparła. – Mam nadzieję, że nie chrapałam.

– W każdym razie nie tak, żeby słyszano panią w pierwszym rzędzie. – Puścił do niej oko.

Maisie się wzdrygnęła. W takiej chwili przydałaby się Ruth – powiedziała by temu facetowi, że coś mu wpadło do oka, albo skrzywiłaby się demonstracyjnie i rzuciła „ohyda”. Ona zaś tylko uśmiechnęła się z zakłopotaniem, sięgnęła do torby, gdzie schowała parę rzeczy kupionych na lotnisku, i znaczącym, jak jej się wydawało, gestem wyjęła czasopismo.

Była zadowolona, że zawsze należała do osób dobrze zorganizowanych. Wszystko, co potrzebne, miała w torbie: każdą mapę i plan, rozkład jazdy, bilet i rezerwację dokonaną na jej nazwisko, a następnie wydrukowaną. Gdyby Ruth była bardziej odpowiedzialna, gdyby można było liczyć, że sama zajmie się szczegółami, Maisie zostałaby z ręką w nocniku. Ale z kolei gdyby Ruth była bardziej odpowiedzialna, Maisie nie leciałaby sama na ich „babski” wypad życia.

Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania na lotnisku Vancouver International, Maisie znów poczuła znajomy niepokój. Chyba oszalała, żeby samotnie wybrać się w tę podróż. Zamierza skończyć w *Crimewatch* czy wieczornych wiadomościach na BBC? Nie bądź śmieszna, nakazała sobie, przygotowując się na lądowanie. Rocznie tysiące ludzi pokonują tę trasę. Statystycznie to mało prawdopodobne, że skończysz pożarta przez niedźwiedzia. Albo zabita przez człowieka z lasu, jak w jednym z tych horrorów, które tak uwielbia oglądać twoja siostra. Albo...

– Przestań – mruknęła do siebie i jej sąsiad uniósł głowę. – Och, to nie do pana, przepraszam.

- Podróżuje pani sama? – zapytał, najwyraźniej uważając, że okaże uprzejmość.
- Przyjaciele odbiorą mnie z lotniska – skłamała.

Słyszając jej obronny ton, uniósł brwi i znowu zajął się czytaniem gazety. Biedak pewnie starał się podtrzymać rozmowę, a ona wzięła go za seryjnego zabójcę. Powinna wyluzować, jak mówiła jej matka. Może uda jej się to wreszcie podczas tej podróży.

*

Widok z lotniska w Vancouver wręcz zapierał dech w piersiach. Maisie mogłaby patrzeć przez wielkie okna godzinami, a potem wrócić do domu szczęśliwa, z przeświadczeniem, że piękniejszej panoramy już w życiu nie zobaczy. Nigdy wcześniej nie była za granicą, prawie nie wyjeżdżała poza rodzinne miasteczko w Yorkshire, no, oprócz wyjazdu do Szkocji, żeby odwiedzić umierającą nianię, co trudno nazwać urlopem życia. Patrząc teraz na turkusowy ocean po jednej stronie i ośnieżone szczyty Gór Skalistych po drugiej, wiedziała, że dobrze postąpiła, przyjeżdżając tu sama.

Pracownicy ochrony poinformowali ją, skąd ma odebrać swój bagaż i dokąd się udać potem, by jechać dalej. Wydawało jej się, że odbiór bagażu to najbardziej ekscytująca i stresująca rzecz, jaką w życiu robiła, i czekając, aż jej wielki plecak wyjedzie na taśmie zza kłap, ze zniecierpliwienia aż poczuła mdłości. Był to ostatni etap podróży, kiedy miała do kogo zwrócić się o pomoc, w razie gdyby jej bagaż się nie pojawił albo gdyby nie mogła znaleźć postoju taksówek. Bo gdy przekroczy te drzwi i wyjdzie z hali lotniska, będzie już zdana wyłącznie na siebie. Nie spodziewała się tylko, że plecak minie ją tak szybko ani że tak wielu innych pasażerów rzuci się na niego, by sprawdzić, czy to ich nazwisko widnieje na plakietce. Chyba wiedzą, jak wyglądają ich rzeczy?

– To moje! – próbowała krzyknąć, ale nikt jej nie przepuścił. – Przepraszam, to mój plecak!

Ale on przejechał dalej, nieodebrany, i po chwili zniknął w czeluściach, z których niedawno się wyłonił, a Maisie musiał odczekać kolejnych dziesięć minut,

żeby wrócił. Tym razem jednak była przygotowana. Wystawiła kościsty łokieć, zagrządzając drogę facetowi obok niej, który już wyciągał dłoń, żeby obrócić plakietkę, przełożyła rękę przez uchwyt i ściągnęła plecak z taśmy, aż zatoczyła się w tył, ale dzięki temu utorowała drogę sobie i swojemu bagażowi. Miała ochotę krzyczeć z radości. Udało jej się, odzyskała plecak i czuła się niepokonana.

5

Listopad 2019

Muszę zadzwonić do Roba. Nie mogę dłużej tego odkładać, bo kiedy wróci z pracy i zobaczy, że mojego samochodu nie ma na podjeździe, zacznie zadawać pytania, a chcę sama mu o wszystkim opowiedzieć, zanim moja wygadana córka zdąży mnie wydać.

– Po prostu gwałtownie wcisnął hamulec, nie wiem, co mu się stało – relacjonuję łamiącym się głosem, równie autentycznym jak łzy, które za chwilę spłyną mi po policzkach.

Powstrzymałam je przez całą drogę powrotną do domu i później, żeby jeszcze dać dzieciom jakieś przekąski. Wreszcie usiadłam w kuchni przy barze śniadaniowym i oparłam czoło o zimny marmur, usiłując zapanować nad kłębiącymi się w mojej głowie myślami. Jednak nie chciało mi się płakać, dopóki nie usłyszałam Roba, i teraz sama nie wiem, czy płaczę z powodu stłuczki, czy tamtej wiadomości, czy też śmierci kogoś, kogo znałam dwadzieścia lat temu. A może tego wszystkiego razem.

– Ej, nie przejmuj się, ubezpieczenie pokryje koszty naprawy. – Głos Roba działa na mnie kojąco, jak zwykle.

Jeśli w naszym związku ja jestem ogniem, to Rob jest lodem, i kiedy płonę, on mnie chłodzi, zawsze gotów interweniować, bym nie skoczyła na główkę. Nigdy by nie pozwolił, żebym zarysowała lakier komuś, kto zajął mi miejsce parkingowe, to na pewno.

– Tylko że to moja wina, prawda? Nawet jeśli gwałtownie zahamował, to moja wina, że w niego wjechałam. Ale ze mnie idiotka!

– Lizaczku, przestań. – Gdy zwraca się do mnie tym przezwiskiem, czuję się jak dziecko, a jednak je lubię. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Słyszając je, wiem, że jestem bezpieczna i kochana, bardziej niż w dzieciństwie. – Po to mamy ubezpieczenie. Bo wypadki się zdarzają. Nawet tobie, pani Niezniszczalna. Dzieciom nic się nie stało?

To kolejna rzecz, którą w Robie uwielbiam, choć nie mogłabym mu tego powiedzieć, bo gdybym to zrobiła, wyszedłby na okropnego ojca. Zawsze stawia mnie na pierwszym miejscu. Kocha dzieciaki, każdy to widzi, i jest świetnym tatą – gdybym mogła wybierać, sama chciałabym mieć takiego. Bawi się z nimi, uczy je i zabiera w różne miejsca. Ma dla nich tyle cierpliwości, znacznie więcej niż ja. Ale zawsze wychodzi na to, że jestem dla niego najważniejsza. Myśli przede wszystkim o mnie. Wiem, że nie odwzajemniam mu się tym samym, bo ja stawiam dzieci na pierwszym miejscu. Bez chwili wahania oddałabym za nie życie – i życie Roba. I chociaż jestem pewna, że on też byłby gotów za nie umrzeć, nie mam pewności, czy pozwoliłby, żebym ja to zrobiła. Nikt nigdy mnie tak nie kochał. I stracę to, jeśli dowie się o mnie prawdy.

Biorę głęboki oddech i kiwam głową, chociaż wiem, że Rob tego nie widzi. W oczach wciąż mam łzy.

– Są całe i zdrowe. Faye poszła do swojego pokoju i bawi się lalkami... chyba odgrywa wobec nich trenera osobistego... a George ogląda w salonie *Psi patrol*.

– No, czyli wszystko w porządku. Nie boli cię szyja? Nie szarpnęło tobą? Nie doznałaś jakiegoś urazu głowy?

– Nie, nie jechałam tak szybko, żeby komuś z nas mogło się coś stać.

– Sama widzisz. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Kocham cię.

– Też cię kocham, skarbie, do zobaczenia.

Żeby naprawdę dobrze się skończyło, potrzebuję więcej informacji. Gdy je zdobędę, odzyskam poczucie kontroli, ułożę plan. Czy to za wcześnie na plany? Żeby

już teraz myśleć o ucieczce?

„Znaleziono ludzkie szczątki...”

Nie. Byłoby z mojej strony głupotą, gdybym próbowała dowiedzieć się czegoś za pośrednictwem Google’a, i to jeszcze korzystając z własnego laptopa. Jeśli mam nadążać za rozwojem wydarzeń, potrzebuję telefonu na kartę. Władze kanadyjskie na pewno nadzorują śledztwo w tej sprawie, więc będę musiała ustawić powiadomienia z całej vancouverkiej prasy. Gdy sporządzam listę tego, co mogę zrobić, niemal czuję, jak opuszcza mnie panika.

Biorę z blatu torebkę i klucze.

– Dzieci! – wołam, wiedząc, że nie zareagują. – Faye! George!

Wyglądam zza schodów.

– Faye! Przyrowadź brata, wychodzimy!

Na górze pojawia się głowa mojej córki.

– Dopiero co wróciliśmy! Ja się bawię. A ty rozbiłaś samochód.

– Pojedziemy autobusem. Uwielbiacie takie przejażdżki!

Serce mnie boli na myśl, że mam wsadzić dzieci do autobusu w sobotnie popołudnie, ale muszę odzyskać kontrolę nad sytuacją, żeby nie spędzić reszty dnia na googlowaniu w swoim telefonie obciążających mnie informacji. Nie będę siedziała beczynn timer i czekała, aż mój świat zawali się po raz drugi, wykluczone.

*

Szybko idziemy na przystanek autobusowy przy końcu ulicy. Prowadzę George’a za pulchną rączkę, podczas gdy Faye wlecze się z tyłu. Mam nadzieję, że nikt nas nie zobaczy i nie spyta, co się stało z moim samochodem. Kłamstwo to dla mnie nie problem, ale niestety nasze dzieci mają do tego zupełnie inne podejście niż ja – tak je wychowaliśmy. Faye w jednej chwili by na mnie doniosła i choć nie ma to najmniejszego znaczenia, czuję, że zła wiadomość już zaczęła się na mnie odbijać, że odgradza mnie od świata, budzi we mnie pragnienie, by wraz z moją małą rodziną

otoczyć się bezpiecznym kokonem. To już się dzieje, więc muszę odzyskać panowanie nad sytuacją, zanim pojawi się policja albo co gorsza – media.

Nikt nie wie, gdzie jesteś, mówię sobie. Nikt nie wie, kim jesteś. To już za tobą. Dobrze się spisałaś. Miałaś spokój przez dwadzieścia lat. Nic złego się nie stanie.

Autobus przyjeżdża po kilku minutach i gdy wsiadam do niego z dziećmi, entuzjastycznie opowiadając, jak świetnie będzie się nim przejechać, mimo woli się odprężam. Dzieci są grzeczne. Faye – mała ja, uparta, rezolutna, wszystko kontroluje. Zawsze ma rację, oczywiście. George, bardziej podobny do ojca, jest spokojny, zadowolony, dokądkolwiek się go zabiera. I tak niewyobrażalnie kochany. Często zwraca ku mnie buzię, patrzy mi głęboko w oczy i mówi: „Kocham cię najbardziej na świecie”. Głaszcząc mnie po ręce, kiedy razem oglądamy telewizję, okręca sobie moje włosy wokół paluszków. Teraz zajmuje miejsce na spólkę ze swoją dużą siostrą, ściśnięty, i macha do ludzi na ulicy.

Co się z nimi stanie, jeśli mnie aresztują? Jak poradzi sobie Rob? Kogo George będzie kochał najbardziej na świecie? Naturalnie zawsze mnie to niepokoiło, ale do dziś takie myśli łatwo było odpędzić – każda matka się obawia, jak jej dzieci dadzą sobie radę bez niej. Teraz jednak zagrożenie jest bardziej rzeczywiste.

„Znaleziono ludzkie szczątki”.

Jeśli prawda wyjdzie na jaw... Nagle przyszłość staje się niejasna, a moje plany nieważne. Ile czasu zajmie im zidentyfikowanie zwłok? I kiedy przyjdą po mnie?

6

Maisie

Lipiec 1999

Maisie bez trudu znalazła dworzec autobusowy, skąd miała pojechać na szlak, i rzuciła plecak na ławkę obok trzech osób, z wyglądu w jej wieku, może trochę starszych, budzących lęk. Dwóch chłopaków i dziewczyna, wszyscy od stóp do głów ubrani w czerń i wszyscy z ufarbowanymi na czarno włosami. Dziewczyna miała dredy i wszelkiego rodzaju srebrną biżuterię, pentagramy i symbole nieskończoności. Nosiła porwane dżinsy i T-shirt z wizerunkiem wytatuowanej rogatej seksownej kobiety, jedzącej jabłko, której z ust ciekła krew. Na to narzuciła długi czarny kardigan z kapturem. Jeden z facetów był w T-shircie Metalliki, spranych dżinsach i potężnych martensach, drugi podobnie, tyle że na jego koszulce widniał trójkąt z zawijasami na rogach. Maisie nie miała pojęcia, jak zamierzają wędrować w tak ciężkich butach.

– Hej! – Dziewczyna pochwyciła jej wzrok i podniosła rękę w geście przywitania.

Maisie oblała się rumieńcem.

– O rany, przepraszam. Nie chciałam się gapić – odpowiedziała, speszona, że ją na tym przyłapano.

Tamta się uśmiechnęła.

– Nie przejmuj się. Jeśli ktoś ubiera się tak jak ja, musi się przyzwyczaić do tego rodzaju spojrzeń. – Wyciągnęła rękę. – Jestem Kaz. A to Mitch i Keddie. Ty też wyruszasz znad Gordon River?

Maisie pokręciła głową.

– Idę w przeciwnym kierunku, od Pachena Bay.

Kaz się uśmiechnęła.

– Czyli kiedy spotkamy się następnym razem, będziemy już w połowie drogi! Prawdopodobnie przemoczeni i wyczerpani. – Wzruszyła ramionami. – Między nami mówiąc, nie jestem pewna, czy wszyscy damy radę. Stawiam forszę, że Keddie złamie nogę w kostce.

– Super – zauważył jeden z chłopaków. – Fajnie, że we mnie wierzysz, Kaz.

Drugi chłopak, Mitch, posłał Maisie znaczący uśmiech.

– Ona ma rację. Keddie to kiepski wędrowiec. Ale nie znam nikogo, kto mocniej trzymałby się na nogach po pijaku niż na trzeźwo.

Wszyscy się roześmiali. Maisie żałowała, że nie idą w tę samą stronę; przyjemnie by było mieć takie towarzystwo. Jasne, wyglądali inaczej, ale to jej nie przeszkadzało. Ona sama także była inna i dopiero zaczynało do niej docierać, jak samotna będzie się czuła, wędrując w pojedynkę. Przy odrobinie szczęścia spędzi z nimi wieczór w jednym z obozów w połowie szlaku, a kto wie, może napotka po drodze innego samotnego wędrowca.

Potoczyła wzrokiem po pozostałych turystach i zobaczyła wielu starszych ludzi. Spodziewała się, że zobaczy samych studentów, korzystających z letniej przerwy, ale oprócz Kaz i jej kolegów była z nimi tylko jedna para w podobnym wieku. Dziewczyna i chłopak, którzy najwyraźniej – jak stwierdziła, gdy lepiej im się przyjrzała – właśnie się kłócili. Ona miała bujne, rozjaśnione przez słońce blond włosy do ramion. Niebieskie oczy i opaloną skórę. Najprostszy nos, jaki Maisie kiedykolwiek widziała. Rysy jej twarzy były regularne, w idealnych proporcjach, jakby została stworzona do tego, by sprawiać jak największą satysfakcję patrzącemu.

Chłopak, z którym podróżowała, wyraźnie nie zwracał uwagi na jej zapierającą dech w piersiach urodę – kłócił się z dziewczyną, jak gdyby była kimś całkiem zwyczajnym. Żywo gestykulował i kiedy Maisie przysunęła się bliżej, usłyszała końcówkę jego tyrady.

– To co teraz?

– Przepraszam. – Dziewczyna zrobiła minę, jakby zaraz miała się rozplakać. – Były w przedniej kieszeni plecaka. Ktoś je rąbnął! Masz do mnie pretensje o to, że mnie okradli?

– Więc nie można liczyć, że będziesz na coś uważała choćby przez pięć minut? Zostaliśmy bez forsy. Jezu... – Powiedział coś, czego Maisie nie usłyszała, a na koniec rzucił: – ...siostró!

To by się zgadzało, pomyślała Maisie. Nic dziwnego, że nie łąsił się do tej dziewczyny – byli rodzeństwem. I wszystko wskazywało na to, że przez nią stracili pieniądze.

– Pasażerowie jadący do Pacheny, za chwilę ruszamy! – zawołał kierowca autobusu.

Maisie spojrzała w jego stronę. Czyżby wołał już jakiś czas? Była tak zajęta tą parą, że o mało nie przegapiła swojego autobusu. Oni, jeśli się nie zorientują, też go przegapią. Wzdrygając się, uświadomiła sobie, że nie chce, żeby do tego doszło. Żeby zostali.

– Przepraszam, autobus zaraz odjedzie – powiedziała, nie wiedząc, dlaczego tak jej zależy, by do niego wsiedli.

Chłopak odwrócił się do niej i natychmiast zauważyła, że jest równie urodziwy jak siostra – musieli odziedziczyć urodę po rodzicach. Miał ciemniejsze od niej włosy, ale oczy równie niebieskie. Oboje popatrzyli na nią ze zdziwieniem, jakby zapomnieli o całym świecie.

– Nigdzie nie jedziemy, przez tę idiotkę. – Wskazał na siostrę, która tylko się skrzywiła. – Zgubiła wszystkie nasze pieniądze.

Dziewczyna miała bardzo nieszczęśliwą minę.

– Pożyczę wam na bilet – zaproponowała spontanicznie Maisie.

Pożałowała tych słów już w chwili, gdy wyszły z jej ust. Pieniądze na podróż wzięła z oszczędności, które odkładała od czasu, kiedy w wieku piętnastu lat poszła do pracy. A teraz miała się nimi podzielić z całkiem obcymi ludźmi? Ale chociaż najchętniej wycofałaby się ze swojej propozycji, to kiedy dziewczyna popatrzyła na nią z zaskoczeniem, Maisie desperacko zapragnęła, by tamta się zgodziła. A kiedy jeszcze się uśmiechnęła, przebiła urodą wszystkie piękne osoby, jakie Maisie widziała w życiu.

– Naprawdę? – zapytała z przejęciem, bez tchu, i spojrzała na brata. – Słyszałeś? Ona pożyczyci nam pieniądze. Możemy jechać!

– Nie będziemy pożyczać forsy od nieznajomej osoby – odparł z irytacją. Obrzucił Maisie spojrzeniem i wzruszył ramionami. – Bez obrazy, dziękujemy za propozycję. Musimy się stąd wydostać, Sera.

– Ej, młodzi ludzie, wsiadacie czy nie?! – zawołał ostro kierowca autobusu. – Bo ruszam!

Dziewczyna jęknęła i błagalnie popatrzyła na brata.

– Jedźmy razem z nią, Ric. Te pieniądze pewnie zawieruszyły się gdzieś w moim plecaku. Jak dojedziemy na miejsce, poszukam jeszcze raz i wszystko zwrócimy.

– Twoja siostra ma rację – powiedziała Maisie, mając nadzieję, że chłopak odmówi. Płacić za tych ludzi było szaleństwem. Ale w głębi duszy chciała, żeby pojechali. – Oddacie mi na końcu szlaku. To nie problem.

Ric ponownie skierował wzrok na Maisie, a potem na kierowcę, który spoglądał na nich wyczekująco.

– Jesteś pewna? – zapytał ją spokojnie. – Nie ulegaj szantażowi emocjonalnemu ze strony mojej siostry. Ona stosuje go wobec wszystkich.

– Ja się na takie rzeczy nie nabieram – skłamała Maisie. – Chodźmy, zanim kierowca dostanie apopleksji.

Ric się uśmiechnął i Maisie przestała się martwić, nawet gdyby bilety miały pochłonąć cały jej budżet na wyprawę. Wyżywienie było już wliczone w koszty,

więc właściwie nie potrzebowała gotówki. Miała tylko nadzieję, że dziewczyna – czy brat nie zwrócił się do niej „Sera”? – przed końcem wędrówki zdoła jej oddać te pieniądze.

– Ojej! – pisnęła Sera, podskakując w miejscu. – Dzięki, wielkie dzięki!

Wsiedli razem do autobusu. Maisie czuła na sobie ciężki wzrok części współpasażerów, których wyprawa życia opóźniła się przez nich o kilka minut. Tylko Mitch pomachał do niej przyjaźnie. Znalazła wolne miejsce pośrodku i ku jej zdziwieniu dziewczyna usiadła obok.

– Bardzo ci dziękuję – powtórzyła, serdecznie obejmując Maisie, która nie wiedziała, jak zareagować. Wychowała się w bardzo powściągliwej rodzinie, gdzie nie było zwyczaju spontanicznie się ścisnąć. – Jestem Seraphine, ale wszyscy mówią do mnie Sera. Uratowałaś mnie, dosłownie. Mój brat potrafi być strasznym dupkiem.

– Na pewno nie jest taki zły – mruknęła Maisie i spojrzała na Rica.

Siedział osobno, czytając książkę. Długie włosy opadały mu na twarz.

– Och, niech cię nie zwiedzie ta jego chmurna powaga. – Sera przewróciła oczami i dramatycznym gestem położyła głowę na jej ramieniu. – Musisz być po mojej stronie. Tam u nas wszystkie moje koleżanki trzymają z nim.

– U was? – zapytała Maisie.

Nie potrafiła zidentyfikować akcentu Sery, ale nie wyobrażała sobie, że ktoś tak naturalnie piękny mógł pochodzić z innego miejsca niż Kalifornia.

– Od pięciu lat żyjemy w Australii – wyjaśniła dziewczyna – ale urodziliśmy się w Nottingham.

– Wasi rodzice mieszkają w Australii?

Seraphine pokręciła głową.

– Opiekuje się nami ciotka. Ale skończmy o nas. A ty? Chcę dowiedzieć się wszystkiego o moim aniele stróżu.

7

Sierpień 1999

OBAWY O ZAGINIONĄ TURYSTKĘ SĄ CORAZ WIĘKSZE

„Sunday Echo”

Młoda kobieta wędrująca z Seraphine Cunningham, zaginioną angielską turystką, boi się, że dziewiętnastolatkę spotkało najgorsze. Tak, według naszych źródeł, oznajmiła, mimo że stanowczo odmawia mediom wypowiedzi w tej sprawie.

Studentka Maisie Goodwin poznała Cunningham w Vancouver, na słynnym szlaku West Coast, i mówi, że się zaprzyjaźniły. Trzy dni później Kanadyjska Policja Konna odebrała telefon z informacją, że na szlaku zginęła kobieta. Chodziło o Seraphine Cunningham.

Na miejscu policjanci znaleźli ślady walki, jednak Cunningham zniknęła i od tego czasu nikt jej nie widział. Poszukiwania w całej okolicy niewiele dały. Rzeczy zaginionej pozostały w obozowisku, w którym ostatnio się zatrzymała.

Kanadyjska policja twierdzi, że prowadzi w tej sprawie śledztwo i bierze pod uwagę wszystkie możliwości. Funkcjonariusze nie chcą powiedzieć, czy są jacyś podejrzani ani nawet czy ich zdaniem Seraphine żyje. Odmawiają także potwierdzenia, że zniknięcie Seraphine ma związek z „kultem seksu” i aktami satanizmu, jak głoszą plotki.

Rzeczniczka policji wyjaśnia, że Goodwin nie rozmawia z mediami o tym zdarzeniu, ponieważ „obawia się, że zniekształcą jej słowa i wyjdzie na kłamczuchę”. Jak dodaje rzeczniczka, policja na tym etapie nie ma powodów,

by nie wierzyć w wersję, którą przedstawiła dziewczyna, ale „sprawdzają wszystkie tropy”.

8

Listopad 2019

W centrum miasta dawno nie było takiego ruchu. W soboty zwykle je omijam, zwłaszcza gdy jestem z dziećmi, więc nie mam wprawy w lawirowaniu między grupami nastolatków, które blokują główną ulicę.

- Pójdziemy do Smiggle? – pyta Faye.
- Jeśli będziecie grzeczni na zakupach, które mamusia musi zrobić.
- A co chcesz kupić?

Tężeję. Jak mam wyjaśnić Faye, że potrzebny mi nowy telefon? Jeżeli zobaczy, co kupuję, istnieje ryzyko, że wspomni o tym Robowi, a jemu już na pewno nie mogłabym tego wyjaśnić. Pomyślałby, że mam romans – oczywiście lepsze to, niż gdyby miał dowiedzieć się prawdy, ale i tak miałabym przechłapanie. Nie mogę dopuścić, żeby ta sprawa w jakikolwiek sposób odbiła się na mojej rodzinie – tak postanowiłam i zamierzam w tym wytrwać.

Zerkam na sklep z telefonami i na Smiggle, niemal na wprost, po drugiej stronie ulicy. Jeśli się nie odwrócę, to kupując telefon, będę miała Faye na oku.

– Dobra – odpowiadam. Pochylam się i patrzę jej w oczy, żeby wiedziała, że mówię poważnie. Otwieram portfel i wydaję z niego kartę debetową. Mam pięćdziesiąt funtów w gotówce; wyjęłam je z grubej koperty, którą trzymam między okładkami *Rebeki* w twardym wydaniu, z wyciętym w środku książki otworem, ale

będą mi potrzebne na telefon. – Możesz tam wydać dwadzieścia funtów. Tylko dwadzieścia. Rozumiesz?

Faye potwierdza skinieniem głowy. Ma wprawdzie dopiero siedem lat, ale uczę ją gospodarować pieniędzmi, odkąd była malutka. „Licz tylko na siebie”.

– To bardzo ważne, Faye. Mam nadzieję, że zachowasz się jak osoba dorosła. Nie wychodź ze sklepu, dopóki po ciebie nie przyjdę. Nawet jeśli już wydasz całą sumę, zaczekaj na mnie przy ladzie. Będę widziała cię stamtąd, dokąd idę. Mamusia musi tylko kupić nowe etui na telefon.

Faye znów kiwa głową, podekscytowana myślą, że powierzam jej kartę debetową i może się wykazać.

– Przrzekam – mówi.

– Dobrze, to idź. – Kiwam głową w stronę Smiggle i patrzę, jak Faye biegnie do sklepu, a jej jasne włosy podskakują.

Ignorując protesty George’a, który chce iść z siostrą, szybko wpadam do sklepu z telefonami. Wciąż widzę Faye, która ogląda piórniki z różowymi jednorożcami i pachnące truskawkowo ołówki na kolejnych półkach.

Obie sprzedawczynie w sklepie z telefonami są zajęte i przeklinam pod nosem, że musiałam tu przyjść akurat w sobotnie popołudnie. George ciągnie mnie za rękę, więc pozwalam mu pobawić się aparatami na wystawie, a sama rozglądam się za tym, czego potrzebuję. To proste – telefon na kartę, z dostępem do internetu. O, jest, taki samsung w zupełności wystarczy.

Zerkam na drugą stronę ulicy – Faye przeszła do plecaków. Kosztują na pewno więcej niż dwadzieścia funtów, więc lepiej, żeby żaden nie wpadł jej w oko. Usiłuję pochwycić wzrok córki i jej to przekazać, kiedy sprzedawczyni za moimi plecami pyta:

– Czy mogę w czymś pani pomóc?

– O tak – rzucam za siebie. – Chodzi mi o jeden z tych telefonów. – Wskazuję najtańszego samsunga na wystawie. – Nie chcę podpisywać żadnej umowy ani nic takiego. To dla mojej mamy – dodaję tonem wyjaśnienia. – Chce czegoś

najprostszego, co będzie umiała obsługiwać. Żeby dzwonić i zasięgać porad Google'a. – Śmieję się pobłaźliwie, jakbym chciała dodać: „Kochana staruszka”.

Sprzedawczyni się uśmiecha.

– Przy naszych taryfach telefon z abonamentem wyjdzie nawet taniej niż modele na kartę. Zaprezentuję pani warianty z cennika, które idealnie nadadzą się dla pani mamy.

– Nie, dziękuję – niemal warczę. Ponownie spoglądam na drugą stronę ulicy i widzę żółty płaszczyk Faye przy stoisku z krzyczącą reklamą: „Cztery sztuki za pięć funtów!”. – Przepraszam, ale trochę mi się spieszy. Czy mogę od razu kupić ten telefon?

Sprzedawczyni rzędzie mina, bo jej prowizja właśnie się ulatnia.

– Oczywiście. Zaraz go przyniosę. – Znika za drzwiami na zaplecze.

George zawzięcie stuka palcem w tablet, z którego dobywają się odgłosy strzelaniny, a Faye zawędrowała w głąb Smiggle, prawdopodobnie dokonując zakupów, z których nie wytłumaczę się Robowi. To, że pozwoliłam jej buszować samej po sklepie, jeszcze uszłoby mi na sucho, gdybym powiedziała, że „uczę ją dorosłości”. Ale takie wytłumaczenie nie zda się na nic, jeśli Faye kupi za wszystkie pieniądze na rachunku cały asortyment rzeczy z jednorożcem.

– Mamusiu, popatrz! – woła George, zadowolony z siebie, mimo że ani razu nie udało mu się trafić w cel.

Boże, w jego wieku świat jest taki prosty!

– Świetnie ci idzie! – mówię z zachwytem, znowu zerkając w stronę drzwi, za którymi zniknęła sprzedawczyni.

Gdzie ona się tak długo podziewa? Sama robi ten telefon? Oczami wyobraźni widzę ją, jak składa go, pochylona w okularach nad stołem.

Mam wrażenie, że minęła wieczność, kiedy wreszcie wraca z pudełkiem i staje za ladą.

– Czy pomóc pani w wyborze ustawień? – pyta, gdy wręczam jej gotówkę.

– Nie, dziękuję. – Uśmiecham się i wrzucam telefon do swojej przepastnej torby. Dobra, pierwszy etap za mną. Teraz mogę przynajmniej zabrać się do szukania informacji, nie zostawiając żadnych śladów. – Chodź, George. – Pochyliłam się, żeby wziąć go za rączkę, ale on ją cofa.

– Gram!

Wzdycham. George jest grzeczny, jednak kiedy się zaprze, potrafi być równie uparty jak siostra. Proszę, tylko nie teraz, nie mam nastroju na napady szału.

– Posłuchaj, George. Pójdziemy zobaczyć, co tam Faye znalazła. Tobie też coś kupimy.

Tak, dopuszczam się przekupstwa wobec obojga moich dzieci. To może mnie kosztować.

Na szczęście George daje się skusić i odkłada tablet, nie robiąc scen. Ujmuję go za rękę i wyprowadzam ze sklepu, po czym ciągnę w stronę Smiggle, gdzie Faye bawi się czymś, co błyska irytująco. Żeby tylko o to nie poprosiła.

Tyle że... Ten żółty płaszczyk nie należy do Faye. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że ma inny odcień, a włosy jego właścicielki są jaśniejsze niż włosy mojej córki, i z przyspieszonym biciem serca, czując falę mdłości, uświadamiam sobie, że dziewczynka, którą obserwowałam z naprzeciwka, to nie Faye.

9

Maisie

Lipiec 1999

Kiedy autobus wreszcie przyjechał do Pachena Bay, Maisie miała wrażenie, że naprawdę opowiedziała Seraphine absolutnie wszystko o sobie. Chyba nigdy w życiu tyle nie mówiła i nie była z taką uwagą słuchana. Jeżeli z kimś do tej pory rozmawiała, to zazwyczaj z klientami, którzy zamawiali śniadanie albo poranną kawę, z kolegami, którzy jedynie czekali, aż sami będą mogli zabrać głos, albo z matką, zbyt zajęta, by słuchać czegokolwiek, co Maisie miałaby do powiedzenia. Rozmowa z Seraphine to jak zaczerpnięcie świeżego powietrza, niemal sesja terapeutyczna, pomyślała. Warto było wydać te prawie sto dolarów na bilety dla niej i jej brata. Ku radości Maisie okazało się też, że rodzeństwo planuje taką samą trasę jak ona.

Przypuszczała, że kiedy autobus przyjedzie na miejsce, Sera dołączy do brata i oboje się ulotnią. Była na to przygotowana; nie spodziewała się, że spotka kogoś, kto chciałby przebyć z nią resztę trasy. Nie wierzyła więc własnemu szczęściu, gdy Sera wzięła ją pod rękę i zaciągnęła do recepcji.

– Maisie Goodwin – powiedziała do kobiety za kontuarem.

Ta uśmiechnęła się do niej szeroko i wręczyła jej paczkę.

– Odprawa o dwunastej – potwierdziła rezerwację.

Potem do kontuaru podeszła Seraphine i wdała się z kobietą w rozmowę. Wyjęła coś z kieszeni i położyła na blacie. Tamta skinęła głową i wskazała poczekalnię, po czym zniknęła. Po jakichś dziesięciu minutach wróciła.

– Mary Whittaker?! I Albert Hennessey?! – zawołała i ku zaskoczeniu Maisie zgłosiła się Sera.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytała później, kiedy Seraphine ponownie znalazła się przy niej. – Mary? I Albert?

– To ciotka opłaciła mi tę wycieczkę – wyjaśniła dziewczyna, szczerząc się od ucha do ucha. – Ale z jakiegoś powodu, znanego tylko jej i Bogu, zrobiła rezerwację na swoje nazwisko. Wiedziałam, że sama powinnam się tym zająć. A za Rica rezerwację zrobił kumpel. Nie sądzisz, że pasuje do mnie imię Mary?

Maisie parsknęła śmiechem.

– Tego nie wiem, ale twój brat zdecydowanie wygląda na Alberta.

– Prawda, że w tej chwili tak? – Seraphine trąciła ją łokciem i wskazała głową w stronę brata, który siedział ze skrzywioną miną. – Jak prawdziwy zrzedliwy Albert.

Obu im zachciało się śmiać. Ric spojrział na nie ostro i Sera pomachała do niego filuternie. Maisie zachichotała, gdy pokazał im środkowy palec i podszedł do kontuaru.

– Musisz zmienić bransoletkę – powiedziała Maisie, złapała Serę za nadgarstek i przytrzymała w górze. W autobusie zauważyła na nim dziecięcą bransoletkę przyjaźni i pomyślała, że to słodkie. Białe koraliki nawleczone na grubo plecione nici układały się w napis SERAPHINE.

Sera przewróciła oczami.

– Nie wygląda jak nowojorski szyk, co? Ric kupił mi ją na jakimś straganie. Zawsze narzekałam, że nigdzie nie da się kupić niczego z moim imieniem, aż natknęliśmy się na kobietę, która sprzedawała te bransoletki. Teraz muszę ją nosić.

– Podoba mi się – odparła Maisie. – Uważam, że jest urocza.

– Przyślę ci taką samą – obiecała Sera. – Jeśli ukończymy ten szlak żywi.

*

Odprawa przed wyruszeniem w trasę byłaby dla Maisie przerażająca, gdyby nie miała przy sobie Sery, która przez cały czas rzucała głupie komentarze. Na podstawie tego, co mówiła przewodniczka, można było odnieść wrażenie, że mają przebyć Amazonię, a nie „jakąś plażę w Kanadzie”, jak zapewniała ją Ruth. Maisie przeczytała broszurę od deski do deski, ale nawet nie wspomniano tam o tych wszystkich strasznych rzeczach, o których teraz słuchała: śliskie drabinki, skręcone kostki, złamane nogi.

– Pomoc może dotrzeć do was na szlaku nawet dopiero po dwudziestu czterech godzinach – ostrzegła przewodniczka. – Więc patrzcie, proszę, gdzie stawiacie stopy, i nie spieszcie się. Pamiętajcie, żeby co jakiś czas unieść głowę i rozejrzeć się wokół... podziwiać scenerię i jednocześnie uważać na siebie.

– Jakbym słyszała swoją wychowawczynię z siódmej klasy, kiedy zabierała nas na wycieczkę – poskarżyła się Sera.

Maisie znowu parsknęła śmiechem. Przewodniczka skarciła je wzrokiem.

– W paczce, którą dostaliście w rejestracji, macie wodoodporny rozkład przyływów i odpływów – ciągnęła, podnosząc głos, jakby rzeczywiście miała do czynienia z rozbrykanymi uczennicami. – Nie chcielibyście, żeby odcięła was fala przyływu, więc regularnie sprawdzajcie ten rozkład. Kiedy rozbijacie obóz, przechowujcie jedzenie w specjalnych pudełkach, jeśli wolicie nie dzielić się nim z głodnym niedźwiedziem.

Ktoś z przodu podniósł rękę. Przewodniczka skinęła głową.

– Tak?

– Czy na szlaku są wilki?

– W lasach wokół szlaku występuje kilka gatunków zwierząt – zaczęła wyjaśniać, jakby miała przeciwzoną tę odpowiedź. – Są wśród nich niedźwiedzie, wilki i pумы. Można zobaczyć niedźwiedzia... ale one unikają nas tak samo jak my

ich. Co najmniej od czasu, kiedy tu pracuję, czyli od sześciu lat, nie odnotowano żadnego ataku. Nigdy natomiast nie widziałam ani wilka, ani pumy... chociaż je słyszałam i wiem, że miejscowa fauna ma zwyczaj przetrząsać niezabezpieczoną żywność. Przechowujcie dobrze jedzenie, a nie będziecie mieli problemów.

– Wspaniale – skwitowała Seraphine, kiedy przewodniczka poprosiła ich, by ustawili się w kolejce po przepustki do parku. – Tylko niedźwiedzie, wilki, przyływy, tsunami, połamane kończyny i zrzędlawy Albert do kompletu. – Spojrzała z uśmiechem na Maisie. – Co może pójść nie tak?

10

Listopad 2019

Patrzę jak głupia na dziewczynkę w płaszczyku podobnym do płaszczyka mojej córki i z ust wrywa mu się zdławiony odgłos, na wpół okrzyk, na wpół szloch. W sklepie prawie nikogo nie ma; to niemożliwe, żeby Faye gdzieś się zawieruszyła. Gdy kupowałam telefon, przerażona, że wszystko stracę, właśnie to straciłam. Moja córka zniknęła.

– Przepraszam! – wołam do kobiety za ladą, starając się zapanować nad ogarniającą mnie paniką. – Była tu moja córeczka... w żółtym płaszczyku, jak tamta mała, myślałam, że to ona, ale jej nie ma. Co się z nią stało?

Kobieta od razu wychodzi zza lady, najwyraźniej świadoma powagi sytuacji.

– Rozmawiała z pani mężem, kiedy ostatnio ją widziałam – odpowiada. Rozgląda się po sklepie. – A potem, kiedy spojrzałam w tamtą stronę, już ich nie było.

„Pani mężem”. „Pani mężem”. „Pani mężem”.

– Nie ma ze mną męża – rzucam. Te słowa ledwie przechodzą mi przez zaciśnięte gardło. – To nie był mój mąż.

– O Boże – mruczy ekspedientka. – Nie miałam pojęcia. Nie wyglądała na przestraszoną. Musimy jak najszybciej zawiadomić policję. Proszę się nie martwić, mamy na to procedurę. Pani córeczka się znajdzie. Jak się pani nazywa?

– Laura – mówię, próbując przetrwać to, co się stało.

Faye zaginęła. Tłucze mi się to w głowie. Nie mogę się uspokoić. Już mi się to zdarzało, jak wszystkim matkom. Odwracasz się w parku, a twojego dziecka nie ma tam, gdzie powinno być. Po kilku sekundach, podczas których serce niemal wyskakuje ci z piersi, dostrzegasz je całe i zdrowe na innej huśtawce albo drabince. W tej krótkiej chwili ziemia usuwa ci się spod nóg, ale wciąż nie wierzysz – jeszcze nie – że stało się coś złego. Tak jak ja teraz nie wierzę... Liczę, że odwrócę się i ją zobaczę – jej uśmiechniętą buzię, z miną: „Ale zrobiłam ci numer!”. Bo przecież nie mogła zginąć, nie mogła.

„Z pani mężem”.

– Jak on wyglądał? – pytam gwałtownie, ale kobieta rozmawia już z kimś przez telefon.

Z policją? Jeśli dzwoni na policję, wszystko to musi dziać się naprawdę... sprawa jest poważna. Gdzieś w głębi duszy mam ochotę wyrwać jej z ręki telefon... przesadza, poniosło ją, przecież Faye nie zaginęła.

Muszę ją znaleźć. Chwytam George'a za rączkę, po czym wypadam na ulicę i rozglądam się w obie strony, wypatrując żółtego płaszczyka, a serce wali mi w piersi jak szalone. Czy to możliwe, że on zdążył zdjąć jej ten płaszczyk?

– Zawiadomiłam kierownictwo. – Ekspedientka wyrasta przy moim boku. Mimo że do sklepu wchodzi się z ulicy, mieści się on w centrum handlowym. – Wysłali już ochroniarzy do każdego z wyjść. Zaraz przyjdzie ktoś po zdjęcie dziewczynki. Wtedy kierownik zadzwoni na policję. Ile ona ma lat? Sześć? Siedem?

– Siedem – mówię, ledwie ogarniając to, co mi właśnie powiedziała.

Nie wystarczy zamknąć wyjść z galerii – trzeba otoczyć kordonem całe centrum miasta, zanim będzie za późno.

– Och! – Ekspedientka łapie mnie za ramię.

Obracam się szybko, żeby zobaczyć, co zrobiło na niej takie wrażenie.

Faye!

– Mamusi!

Moja córeczka stoi na ulicy i macha do mnie szaleńczo. Na jej twarzy maluje się taka ulga, jak zapewne na mojej. Obok niej stoi jakaś kobieta, która się uśmiecha.

– O rany, napędziła nam pani strachu! – mówi, jakbyśmy się dobrze znały.

Nie mam pojęcia, kim ona jest. Wyższa ode mnie, szatynka, z włosami obciętymi na boba i niebieskimi oczami. Ma na sobie długi beżowy płaszcz, czarne spodnie od garnituru i czarny sweter polo, a do tego drogą dużą torebkę.

– Faye! – wołam i biegnę do niej.

George przy moim boku zaczyna płakać. Mnie też napływają do oczu łzy. Od adrenaliny, która krąży w moich żyłach, robi mi się niedobrze. Żyje. Nie zgubiła się. To tak, jakbym dostała drugą szansę, żeby tym razem podjąć właściwe decyzje. Przytulam do siebie jej drobne ciało i szlocham.

Kiedy wypuszczam córeczkę z objęć, ekspedientka głaszcze ją po głowie i uśmiecha się do niej radośnie.

– Dobrze cię widzieć, młoda damo. – Przenosi wzrok na mnie. – Odwołam psy gończe.

– Dziękuję – rzucam, naprawdę wdzięczna jej za tak szybką reakcję. Odsuwam Faye na długość ręki. – Dlaczego wyszłaś ze sklepu? Miałaś tam na mnie czekać.

Uśmiech na buzi Faye znika.

– Przepraszam... – Przybiera głosik malutkiego dziecka, jak zawsze wtedy, gdy się boi, że nabroić. – Ten pan powiedział, że nie będziesz się gniewała.

– Pan? – Oczekując wytłumaczenia, spoglądam na nieznajomą, która była z Faye.

– Zobaczyłam, że pani córeczka rozmawia z jakimś mężczyzną – wyjaśnia cicho kobieta, podczas gdy Faye ściska brata. – Usłyszałam, jak mówił, że mama nie będzie miała nic przeciwko, żeby poszli kupić sobie słodycze, gdy będą na nią czekali. Wyglądało na to, że mała go nie zna, więc ruszyłam za nimi... Nie bardzo wiedziałam, co zrobić, bałam się, że wyjdę na idiotkę, ale coś mi tu nie pasowało.

– O Boże – mamroczę. – Bardzo pani dziękuję. Nie chcę... nie chciałam...

Żółć podchodzi mi do gardła i obawiam się, że zaraz zwymiotuję. Kim był ten mężczyzna?

– Miałam to wszystko na względzie, kiedy do nich podeszłam. Udawałam, że jestem pani koleżanką, i facet wyraźnie się zdenerwował. Mówił, że idą po coś słodkiego. Gdy spytałam dziewczynkę, czy zna tego pana, odpowiedziała, że nie, a wtedy on po prostu uciekł. Poszliśmy do sklepu z telefonami, ale pani już tam nie było. Zobaczyliśmy, że jest pani tutaj, i domyśliłyśmy się, że szuka pani córeczki. Przykro mi, że się pani martwiła.

Kobieta sprawia wrażenie tak przejętej, że niemal się śmieję, ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

– Uratowała ją pani – prawie szepczę. Faye i George oglądają wystawę Smiggle i nie słyszą, co mówię, ale wolę nie wypowiadać tego na głos. – Ten człowiek... próbował ją porwać, prawda? Mogłaby już być daleko... gdyby nie zorientowała się pani, że dzieje się coś złego. Nie wiem, jak mam pani dziękować.

– Boże, aż ciarki mnie przechodzą. – Wygląda, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, czego dokonała... czemu zapobiegła.

Już wyobrażam sobie policję w całym mieście, buzię mojej córeczki w wiadomościach, na pierwszych stronach brukowców. Widzę, jak ktoś wsadza ją do vana i zabiera gdzieś, gdzie nigdy bym jej nie odnalazła. Nagle uginają się pod mną nogi.

Kobieta ujmuje moją rękę, żeby mnie podtrzymać.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, przepraszam. – Opieram się o wystawę sklepową. – Powinnyśmy to zgłosić na policję. On może próbować tego numeru z innym dzieckiem.

– O rany, rzeczywiście, nie pomyślałam o tym – odpowiada kobieta.

Z bliska widzę, że jest bardzo ładna. Ma świetlistą kremową cerę... ani śladu opalenizny i prawie żadnego makijażu, tylko odrobina różu na policzkach. Pragnę ją uściskać – potrzebuję pociechy w obliczu przerażającej wizji tego, co mogłoby się stać.

– Mam tam zadzwonić? – pyta.

– Może ją do tego namówimy. – Wskazuję na ekspedientkę. – Muszę powiedzieć, że świetnie sobie radzi w kryzysowych sytuacjach.

Jedną ręką obejmuję ramionka Faye, a drugą biorę za rączkę George'a. Nie chcę już nigdy puścić ani jednego, ani drugiego.

Ekspedientka, gdy tylko wyjaśniamy jej, co się stało, zgadza się zadzwonić na policję. Radzi, żebyśmy poczekały w kawiarni kilka kroków dalej – tam dojdę do siebie. Najwyraźniej wciąż jestem blada, ale nie sędzę, bym szybko odzyskała kolory.

– Przykro mi z powodu tego wszystkiego – mówię do kobiety, która uratowała Faye. – Tyle już pani zrobiła, a teraz jeszcze musi pani czekać na policję.

Jest wyraźnie skrzepowana.

– Naprawdę żałuję, ale nie mogę dłużej zostać. – Robi przepraszającą minę. – Za godzinę mam umówioną wizytę w szpitalu. Jeśli zaraz nie wrócę do samochodu i nie pojedę tam, nie zdążę na czas znaleźć miejsca parkingowego i się spóźnię.

– Ale to pani widziała tego mężczyznę – przekonuję. – Będą chcieli z panią porozmawiać.

– Sporządzę jego rysopis – obiecuje. – Zostawię pani swoje imię i nazwisko, telefon... żeby mogli do mnie zadzwonić. Ta wizyta... – Przez chwilę wygląda, jakby miała się rozplakać. – Jest dla mnie bardzo ważna.

– Oczywiście – odpowiadam szybko. Tyle już dla mnie zrobiła, że nie powinnam nalegać, by dalej mi pomagała, rezygnując z ważnej dla siebie wizyty. – Zresztą jest nagranie z monitoringu. Miejmy nadzieję, że porządnie wystraszyła pani tego faceta i więcej nie będzie czegoś takiego próbował.

Na chwilę puszczam rączkę George'a, by ująć jej dłoń.

– Nie potrafię wyrazić, jaka jestem pani wdzięczna. Szczerze mówiąc, już myślałam, że straciłam Faye na zawsze. Pewnie uważa mnie pani za okropną matkę.

– Każdy by tak postąpił na moim miejscu. – Uśmiecha się do mnie. – I wcale nie uważam, że jest pani okropną matką. Na tym świecie są naprawdę straszeni ludzie, a pani na pewno się do nich nie zalicza.

Żegnamy się i dziękując jej po raz setny, nie mogę odsunąć od siebie myśli, że nie pomyliła się co do tego mężczyzny, który próbował porwać Faye, natomiast myli się co do mnie.

11

Maisie

Lipiec 1999

Zagłębiając się w las, Maisie miała wrażenie, jakby wkraczała w całkiem inny świat. Wychowana w centrum miasta, rzadko przebywała na łonie natury. W czasach jej dzieciństwa nie jeździło się do ośrodków wypoczynkowych – brakowało pieniędzy, a z powodu przeróżnych dolegliwości matki nie wykorzystywano nawet tych nielicznych okazji, kiedy można by spędzić niedzielne popołudnie w lesie. Tu wszędzie królowała zieleń. Mimo że było ciepło – przewodniczka poinformowała ich, że następne dni mają być, według prognozy pogody, słoneczne – na twarzy czuło się wilgoć, a stopy zapadały się w błotnistą, miejscami grząską ziemię. Wąską ścieżkę przecinały korzenie drzew, więc Maisie, zamiast podziwiać otoczenie, musiała raczej patrzeć pod nogi, żeby nie upaść na twarz. W cieniu było chłodno, a słońce, które zdołało się przebić przez baldachim z liści, rzucało jasne plamy na biegnący przed nimi szlak.

To była wolność, za którą tak tęskniła. No tak, paski plecaka wrzynały jej się w ramiona, a plastry, którymi okleiła pięty, co najmniej ją uwierały, ale była to niska cena za to, że mogła sama decydować o sobie: iść w swoim tempie, zatrzymać się w dowolnej chwili, obozować w dowolnym miejscu – wszystko zależało od niej. I żeby było jeszcze lepiej, Sera i Ric najwyraźniej z zadowoleniem dostosowywali

krok do niej, nie narzekali, kiedy przystawała, by cyknąć zdjęcie albo poprawić plecak. Kilka razy mówiła im nawet, że nie muszą jej towarzyszyć – wymienili swoje dane, żeby załatwić sprawę pożyczki – iść z nią z poczucia lojalności. Sera śmiała się na to, ukazując dołki w policzkach.

– Czyżbyś próbowała się nas pozbyć, Maisie? – zapytała, dźgając ją łokciem. – Jeśli chcesz, żebyśmy zostawili cię samą...

– Tego nie powiedziałam – odparła szybko, zanim Sera odniosła niewłaściwe wrażenie. – Nie chcę tylko, żebyście czuli się zobowiązani wobec mnie do czegokolwiek.

– Och, o to bym się na twoim miejscu nie martwił – odezwał się Ric, unosząc brwi. – Moja siostra wobec nikogo nie czuje się zobowiązana. Urodziła się bez genu odpowiedzialnego za poczucie moralnego obowiązku.

– Nie bądź upierdliwcem. – Sera ścisnęła jej ramię. – Ale on ma rację. Przeważnie robię, co chcę, więc jestem tu z tobą, bo tak mi się podoba. Na pewno bym się nie zmuszała. – Uśmiechając się, lekko wzruszyła ramionami.

Maisie z wrażenia aż otworzyła usta. Zdumiewało ją, że można tak żyć, robić, co się chce, nie zważając, czy to jest dobre, czy słuszne.

*

Szli przez las już trzy godziny, po śliskich deskach albo stopniach, kiedy wreszcie między drzewami pojawił się prześwit i jakby w cudowny sposób ukazała się przed nimi plaża.

– O tak!!!

Seraphine, która od mniej więcej godziny milczała, rzuciła plecak i z okrzykiem radości pobiegła przed siebie, na piasek. Maisie się roześmiała, a Ric przewrócił oczami. Sera ściągnęła sweter, potem szorty i tylko w majtkach i podkoszulku popędziła do oceanu. Maisie zdjęła plecak i usiadła na kamieniu, patrząc, jak dziewczyna tańczy w czystej niebieskiej wodzie. Ric klapnął obok.

– Boże, ja też bym tak chciała – wyznała, wskazując Serę.

– Czyli jak?

– Jak ona. Robić to, na co mam ochotę i kiedy mam ochotę, nie przejmując się, co pomyślą o mnie inni ani czy nie wyglądam głupio. Albo, co gorsza, czy nie sprawiam komuś zawodu.

– A dlaczego tak nie możesz? – Popatrzył na nią i oblała się rumieńcem.

Wiedziała, że Ric jej słucha, zamiast gapić się na Serę, tylko dlatego, że to jego siostra, ale zawsze to miłe mieć obok siebie faceta, który okazuje zainteresowanie tobie, a nie twojej przyjaciółce. Maisie przez całe życie była „koleżanką do towarzystwa”. Kiedy Ruth chodziła z jakimś chłopakiem, a on chciał przyjść z kumplem, Maisie była przyprowadzana jak krowa medalistka i przez cały wieczór musiała paplać o niczym, podczas gdy tamci dwoje się migdalili.

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze liczę się z innymi ludźmi. I zawsze jestem tą odpowiedzialną. Mam młodsze siostry, którymi muszę się opiekować. Nasza matka choruje, ma depresję, więc jeśli ja się nimi nie zajmę, to nikt inny tego nie zrobi. A koleżanki... przyzwyczyły się, że biorę wszystko na siebie.

– Dlatego przyjechałaś tu sama? – zapytał łagodnym głosem.

Maisie zebrało się na płacz, choć nie bardzo wiedziała dlaczego. Pogodziła się z tym, że nie może liczyć na Ruth, tak przynajmniej jej się wydawało. Teraz jednak, gdy obok był ktoś, komu mogła wytłumaczyć, że została wystawiona do wiatru przez najlepszą przyjaciółkę i musiała sama lecieć prawie osiem tysięcy kilometrów... zrobiło jej się przykro.

– Mojej przyjaciółce... z którą zaplanowałyśmy tę wyprawę... nagle coś wypadło.

Ric pokiwał głową, jakby wiedział, co mogło nagle wypaść.

– Też mam takich kumpli. Jak myślisz, dlaczego przyjechałem tu z siostrą? To chodzący bałagan i faktycznie robi, co chce, ale jest jedyną stałą w moim życiu.

– Dlaczego wyprowadziliście się od rodziców? – zapytała Maisie, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Sera ci o tym mówiła?

– Tak. Przepraszam, nie zamierzałam być wścibska.

– W porządku, ona tylko za dużo gada. Chodźmy. – Ric podniósł się i podał jej rękę. Maisie ją przyjęła. Wstając, poczuła ciepło jego dłoni. – Będiesz robić, co tylko ci się spodoba, tu i teraz, nie przejmując się zdaniem innych.

Maisie się przestraszyła.

– Nie, dobrze mi tutaj, naprawdę...

Ric uniósł brwi.

– Jeśli wolisz zostać, proszę bardzo. Nie będę ci mówił, co masz robić. Ale jeżeli chcesz zakosztować wolności, to nie ma lepszego miejsca. – Rozłożył ręce. – Jesteśmy zupełnie sami.

Zdjął kurtkę i rzucił ją na ziemię. Pod spodem miał czarną koszulkę. Maisie znieruchomiała, gdy rozpiął spodnie i także je ściągnął, stając przed nią tylko w czarnych bokserkach i koszulce. Miał umięśnione opalone nogi – nie jak ci chuderlawi chłopcy, z którymi chodziła do szkoły. Domyślała się, że jego tors pod T-shirtem także jest umięśniony, i nie mogła odwrócić oczu.

– Będiesz tak siedzieć i patrzeć, jak się rozbieram? – zapytał.

Znowu poczuła, że pieką ją policzki. Ric się zaśmiał.

– Wiesz, co zrobiłaby Sera? – Wskazał głową na siostrę, która zanurzyła się w wodzie już po pas. – Powiedziałyby, żebym się odwalił, zdjęłyby szorty i pobiegła do morza.

Maisie przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami. Ale nie była Serą i tak naprawdę miała ochotę tylko ściągnąć buty i położyć się na piasku.

– Odwal się – powiedziała, siadając z powrotem na kamieniu. – Wolę zostać tutaj.

Ric przez chwilę stał niepewnie, a potem się uśmiechnął, jakby przeszła jakiś test. Nie chciał, żeby robiła to co jego siostra. Powinna robić to, czego sama chce. Być sobą, a nie kimś innym.

– Tak już lepiej – rzucił. – Powiedz wolności „witaj”! – I pobiegł do oceanu.

12

Październik 1999

KIM JEST TAJEMNICZY NIEZNAJOMY?

„Vancouver Post”

Brytyjska turystka, Seraphine Cunningham, która zaginęła w lipcu na szlaku West Coast, kłóciła się z nieznanym mężczyzną na przystanku autobusowym tuż przed rozpoczęciem wędrowki, zeznają świadkowie. Mężczyzna ten, opisywany jako „dwudziestoparolatek z długimi ciemnymi włosami”, jest obecnie poszukiwany przez policję.

Maisie Goodwin, która twierdzi, że przyłączyła się do Seraphine na początku wyprawy, nic nie wie o tym człowieku ani nie widziała, żeby Seraphine z kimkolwiek się kłóciła. Powiedziała policji: „Obie wybrałyśmy się na wyprawę same, dlatego szłyśmy razem. Jeśli Seraphine posprzeczała się z kimś, nic mi o tym nie mówiła”. Cunningham zapisała się na wycieczkę w pojedynkę, używając fałszywej karty kredytowej na nazwisko Mary Whittaker.

Mężczyzna wędrujący tym samym szlakiem, Mitchell Dyke, oskarżony o zabójstwo Seraphine, ma stanąć przed sądem na początku przyszłego miesiąca.

13

Listopad 2019

– Nadal nie rozumiem, po co pojechałaś do miasta, skoro już zrobiłaś zakupy. I to jeszcze autobusem? Co to była za pilna sprawa, że aż skorzystałaś z transportu publicznego? Ty?

Nie mogę nawet okazać irytacji z powodu tego „ty”, bo Rob ma rację. Nie korzystałam z transportu publicznego, odkąd się znamy.

– Zapomniałam kupić prezent dla nauczycielki Faye. – Wzdycham. Kłamstwo przychodzi mi łatwo po tym całym popołudniu, kiedy musiałam mówić prawdę. – Odchodzi, bo spodziewa się dziecka, i w poniedziałek ma być w pracy ostatni dzień.

– I zostawiłaś Faye w Smiggle, dlatego że...?

– Jezu, Rob! – sarkam. – Nie sądzisz, że czuję się dostatecznie podle i bez twoich wymówek? Omal nie porwano mi córki i musiałam tłumaczyć się przed policją ze swojego niedopuszczalnego zaniedbania. Nigdy nie wybaczę sobie tego, co dziś zrobiłam, więc nie musisz mi jeszcze dokładać.

– Ej... – Rob staje za moim krzesłem w jadalni i rozciera mi ramiona. Czuję się cudownie. – Nie chciałem ci sprawić przykrości. Wszystko w porządku. Faye nic się nie stało. Nie ma nawet pojęcia, w jakim była niebezpieczeństwie. Za kilka dni to będzie tylko przykre wspomnienie.

Wracam myślą do spędzonego na policji popołudnia, kiedy składałam zeznania i słuchałam, jak Faye podaje rysopis mężczyzny, który ją zaczepił... Jej relacja

sprawiła, że to, co mogło się wydarzyć, stało się dla mnie jeszcze bardziej realne. Nie wyobrażam sobie, żeby to wrażenie w najbliższym czasie zbladło.

Jednak istnieje groźba, że na tym się nie skończy. Następne rozmowy z policją, z mediami... o Boże. Przecieram oczy i znowu wzdycham. Rob, biorąc to za świadectwo stresu, jaki tego dnia przeżyłam, ściska moje ramię.

– Może weźmiesz kąpiel? – proponuje. – Przyniosę ci do łazienki kieliszek wina i spróbujesz się zrelaksować.

– Świetny pomysł, dziękuję.

Nie mam szczególnej ochoty na kąpiel, a już na pewno nie na alkohol – muszę zachować przytomność umysłu – ale Rob zaoferował mi właśnie pół godziny dla samej siebie; w tym czasie będę mogła się zastanowić i na chwilę odpocząć od kłamstw. Zapomniałam, jak szybko jedno kłamstwo prowadzi do drugiego, aż rozkręca się spirala i potrzebujesz arkusza kalkulacyjnego, żeby je wszystkie spamiętać.

Największe kłamstwo tego popołudnia powiedziałam na policji. „Pani Johnson, czy ktoś mógłby chcieć skrzywdzić pani córkę?” Początkowo naprawdę byłam przerażona. Tak długo odgrywałam niewinną żonę i matkę, że taka myśl wręcz mnie zszokowała. Jednak oczywiście istnieje ktoś, kto chciałby nam zrobić krzywdę, ktoś, kto – gdy dobrze się zastanowiłam – odpowiada rysopisowi, który podały Faye i Cally. Ale ten człowiek siedzi w więzieniu i za nic nie mogę wyjawić policji, dlaczego mógłby mieć wobec mnie złe zamiary.

Zamykam się w łazience na górze i odkręcam wodę – jest gorąca i spieniona. Wyjmuję z kieszeni szlafroka nowy telefon – który niemal kosztował życie mojej córki – i wkładam do niego kartę SIM. Akurat w chwili, gdy gmeram przy klapce z tyłu, rozlega się pukanie do drzwi.

– Kamerdyner z winem, proszę pani! – woła Rob.

Wpadam w panikę i chowam telefon razem z pudełkiem pod złożony ręcznik, który leży na sedesie. Pudełko z rumorem upada na podłogę.

– Chwileczkę! – odpowiadam głośno.

Otwieram szafkę i niemal wpycham je do niej, aż przewraca się kilka buteleczek ze środkami, których żadne z nas nigdy nie używa.

– Wszystko w porządku?! – pyta z niepokojem Rob. Zwykle uwielbiam, kiedy jest wobec mnie taki troskliwy, ale w tej chwili tylko utrudnia mi życie. – Mogę oglądać cię nago, wiesz o tym.

Otwieram drzwi łazienki, wciąż w szlafroku. Rob marszczy brwi i usiłuje zajrzeć do środka.

– Co ci zajęło tyle czasu?

– Robiłam kupę, jeśli koniecznie musisz wiedzieć – warczę.

Uśmiecha się i podaje mi kieliszek wina.

– Przepraszam za to pytanie. Przyjemnej aromatycznej kąpieli. Położę dzieci do łóżek. A potem może obejrzymy film?

– Tak, dziękuję.

Z kieliszkiem wina wymownie się cofam, nie chcąc ryzykować, że Rob wprosi się do łazienki. Zamykam drzwi na klucz.

Otwarcie telefonu i włożenie do niego karty SIM zajmuje mi więcej czasu, niż powinno. Uświadamiam sobie, że jeśli się nie wykąpię, Rob na pewno to zauważy, więc zdejmuję szlafrok i – wciąż z telefonem w dłoni – zanurzam się w gorącej wodzie. Piecze mnie skóra, ale to fantastyczne uczucie.

Gdy komórka jest już naładowana, język wybrany i wszystkie inne preferencje ustawione, otwieram wyszukiwarkę i wstukuję jego nazwisko. Myślałam, że wiem, co znajdę – mnóstwo relacji z procesu, własną twarz z pierwszych stron gazet, informację o jego zatrzymaniu i karze dożywocia. Jednak nie spodziewałam się, że zobaczę to, co właśnie ładuje się na wyświetlaczu przede mną.

Apelacja w sprawie o zabójstwo Seraphine Cunningham.

Wyrok dożywocia dla Mitchella Dyke'a uchylony.

Mitchell Dyke wypuszczony z więzienia.

Czyli tak. Człowiek posłany przeze mnie za kratki za morderstwo, którego nie popełnił, wyszedł na wolność.

14

Maisie

Lipiec 1999

Do obozowiska Michigan Creek doszli o szóstej po południu. Stało tam już pięć namiotów, dla jedenastu osób, które rozwieszały na drzewach ubrania, gotowały wodę na kuchenkach i rozpalały ogniska. Można by odnieść wrażenie, że wyrosła tam pewna minispołeczność. Seraphine bezceremonialnie rzuciła plecak na ziemię.

– Gdzie się rozbijemy? – zapytała, rozglądając się wokół.

– Och, ja idę dalej – oznajmiła Maisie.

Było jej przykro, że może już więcej nie zobaczyć tych dwojga, ale wciąż dźwięczała jej w uszach rada Rica sprzed godziny. Podczas tej wyprawy miała stać się sobą: robić, co chce, nie zważając na innych.

Seraphine spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Gdzie przenocujesz?

Maisie ściszyła głos.

– Parę kilometrów dalej, przy wodospadach Darling River, jest następne obozowisko. Tam się zatrzymam.

Dowiedziała się tego od klienta w kawiarni, gdzie pracowała, i była z siebie szczególnie zadowolona – nie wspomiano o tym miejscu w żadnym

z przewodników, które kupiła w Waterstones. „Ukryty klejnot”, tak nazwał je ten klient i choć nie przeszkadzało jej, że dzieli się swoimi planami z Seraphine i Rikiem, nie chciała tego szerzej rozgłaszać.

– O. – Sera się skrzywiła. Sprawiała wrażenie zawiedzionej, co Maisie odnotowała z przyjemnością. – A możemy pójść z tobą?

– Jasne.

Starła się stłumić radość w głosie, ale nie było to łatwe. Czyżby właśnie podjęła decyzję w imieniu grupy? Zobaczyła, że Sera pytająco patrzy na Rica, a on odpowiada powolnym, leniwym skinieniem głowy.

Później będzie się zastanawiać, czy to jego spojrzenie tak na nią podziałało, że skłamała, by go chronić. Satysfakcja, że ktoś chce spędzać z nią czas dla niej samej, a nie ze względu na osobę, która jej towarzyszy. Nie zamierzała dłużej zdawać się na innych – niech inni zdają się na nią. To był dla niej całkiem nowy stan ducha.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu? – zapytał Ric, unosząc jedną brew. – Że będziemy wlec się z tobą?

– Nie robi mi to żadnej różnicy. – Wzruszyła ramionami.

To było jej pierwsze kłamstwo podczas tej wyprawy, ale nie ostatnie.

*

W miarę jak zbliżali się do miejsca, w którym według mapy miały znajdować się wodospady Darling River, czuła coraz większą presję. A jeśli się okaże, że to tylko błotniste źródło? Roztoczono przed nią wizję pięknego wodospadu i ustronnego obozowiska, ale słyszała już różne rzeczy od wielu ludzi, którzy jedynie mamili ją obietnicami. Nie byłoby to takie straszne, gdyby szła sama – bo już nawykła do rozczarowań – ale teraz, gdy prowadziła ze sobą Serę i Rica, desperacko pragnęła, żeby tamta wizja okazała się prawdą.

Niepotrzebnie się martwiła. Pierwsza zobaczyła to Sera i jej reakcja wyraźnie świadczyła, że widok spełnia wszelkie oczekiwania. Kiedy dziewczyna z wrażenia aż wciągnęła powietrze i wydała okrzyk zachwytu, Maisie szła z tyłu z Rikiem.

Wędrowali obok siebie przez większość drogi, rozmawiali i śmiali się, podczas gdy tamta parła naprzód, co jakiś czas rzucając im zaniepokojone spojrzenia. Maisie wydawało się, że Sera chciałaby mieć ją dla siebie i jest zła, że brat poświęca jej tyle uwagi. Miło było stać się dla odmiany obiektem rywalizacji.

– Chodźcie szybciej! – zawołała Sera. – Ale pięknie!

Przyspieszyli kroku i wyszli spomiędzy drzew na polanę.

– O rany! – szepnął Ric. – Nie myliłaś się co do tego miejsca.

Woda wypływała spomiędzy ostrych skał i spadała kaskadą do szmaragdowej sadzawki. Maisie, która sądziła, że widziała już w Kanadzie wiele pięknych miejsc, teraz wręcz oniemiała z podziwu.

– Na co czekacie? – rzuciła, nagle czując w sobie niezwykłą śmiałość.

Położyła plecak na kamieniu i zaczęła się rozbierać. Sera, z radosnym okrzykiem, poszła w jej ślady. Niebawem wszyscy troje znaleźli się w sadzawce, zmywając z siebie brud po całodziennej wędrówce.

– I jak to jest? – zapytał ją Rick, kiedy unosiła się na plecach, ze wzrokiem wbitym w niebo widoczne przez korony drzew.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Patrzył na nią, siedząc obok w wodzie.

– Co?

– Być wolnym.

Maisie przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Mokro – odparła.

*

Wieczorem rozłożyli się na plaży, weseli, ale zmęczeni. Byli tu sami. Rozbicie namiotów zajęło im wieki. Maisie przed wyjazdem kilkakrotnie to przećwiczyła, ale Sera i Ric wyglądali, jakby widzieli swoje namioty po raz pierwszy. Kiedy wreszcie skończyli, Maisie wyjęła kuchenkę i zagotowała wodę na posiłek. Rodzeństwo

oczywiście nie zabrało ze sobą żadnego jedzenia, licząc, że na szlaku będą jakieś bary.

– Pod tym względem Kanadyjczycy się nie spisali – skomentowała Sera. – A gdybyśmy tak wrócili tutaj i otworzyli knajpkę, co ty na to, Maisie? Zbilibyśmy majątek.

– Jasne. – Maisie się uśmiechnęła i podała jej porcję kurczaka tikka. Wzięła ze sobą więcej zapasów, bo wiedziała, że Ruth będzie ją objadać. – I będziemy codziennie wlec się tu z jedzeniem? I spać w namiotach?

Seraphine ściągnęła brwi.

– Szczegóły można dopracować.

Maisie się roześmiała. Po zmierzchu zrobiło się chłodniej. Wzdrygnęła się i poszła do swojego namiotu po bluzę z kapturem. Kiedy wróciła, odniosła wrażenie, że Sera i Ric się kłócili.

– Wszystko okay?

– Tak – powiedziała Sera z napięciem w głosie. – Tylko naprawdę padam z nóg. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę już spać.

Maisie przeniosła wzrok na Rica, a ten lekko skinął głową.

– Jasne, że nie – odparła. – Ja też jestem wykończona. Sama się zaraz położę.

– Pomogę ci posprzątać. – Ric zebrał brudne sztućce i puste miski.

Sera obrzuciła go uważnym spojrzeniem i poszła do swojego namiotu.

– No to dobranoc! – zawołała, po czym wczołgała się do środka i zaciągnęła za sobą suwak.

– Coś mnie ominęło? – spytała cicho Maisie, kiedy szli z naczyniami nad strumień, żeby pozmywać.

Ric wzruszył ramionami.

– Nie podoba jej się, że nie jest w centrum uwagi – wyjaśnił. – Chyba myśli, że my dwoje za dobrze się dogadujemy. Liczyła, że zakochasz się w niej, tak jak wszyscy.

– Jest śliczna – zauważyła Maisie. – I niewątpliwie ma charyzmę. Rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą się jej oprzeć.

– Nie uwierzyłyabyś – rzucił Ric. Przykucnął nad strumieniem i zaczerpnął wody do miski. Maisie podawała mu naczynia. – Czasami zabawnie patrzeć, jak okręca sobie innych wokół palca. Oczywiście nie jest świadoma tego, że usiłuje sobie zrekompensować brak zainteresowania ze strony rodziców.

To Maisie zaskoczyło. Dopiero co miał Seraphine za złe, że w krytycznym tonie wspomina o rodzicach, a teraz sam obarcza ich winą za to, że siostra jest tak bardzo żądna uwagi.

– Byliście przez nich zaniedbywani? – zapytała po chwili. – Dlatego zamieszkaliście u ciotki i wuja?

– Uciekliśmy z domu – oznajmił bezbarwnym tonem. Maisie gwałtownie zaczerpnęła powietrza. – Schroniliśmy się u nich. I nie sądzę, żeby nasi rodzice w ogóle nas szukali. Nie sądzę, żeby zadzwonili do ciotki sprawdzić, czy nie ma nas u niej.

– Boże, to okropne.

Maisie wzdrygnęła się na myśl o tym, jak kiepsko sobie radzi z takimi poważnymi rozmowami. Tak to jest, kiedy człowiek prowadzi tylko błahe pogawędki, a najważniejsze, o co pyta, to jaką podać herbatę: earl grey czy english breakfast.

– A żebyś wiedziała – odparł Ric szczerze.

Spojrzał jej w oczy i oboje się uśmiechnęli.

– Posłuchaj, może nie wzięliśmy ze sobą żarcia, ale mam kilka jointów – powiedział, gdy odnosili pozmywane naczynia. – Pozwolisz, że tak ci się odwdzięczę za kolację?

– Och, może nie, ja nigdy wcześniej... no nie wiem...

– To tylko propozycja – zastrzegł się Ric, podnosząc rękę. – Do niczego cię nie zmuszam. Podczas tej wyprawy robisz, co chcesz, pamiętasz? A nie to, czego oczekują od ciebie inni.

*

Kiedy wrócili z nad strumienia, w namiocie Seraphine panowała cisza, więc Ric przytknął palec do ust i wskazał w stronę swojego namiotu, który stał nieco dalej. Wyjął z niego sweter i podał go Maisie, po czym wyciągnął śpiwór i skinął na nią, żeby ruszyła za nim, między drzewa.

– Znalazłem tę polanę, jak poszedłem się wysikać – wyjaśnił, biorąc Maisie za rękę.

Zaprowadził ją w odsłonięte miejsce, oświetlone światłem księżyca, który przeświecał przez liście, rzucając na ziemię srebrny blask. Całe pokolenia turystów, będących tu wcześniej, tak ustawiły kamienie, że tworzyły całkiem równą płaszczyznę, zimną, ale nawet wygodną. Ric rozłożył tam śpiwór, usiadł na nim i gestem zaprosił Maisie, żeby dołączyła do niego. Kiedy już się usadowiła, naciągnął jej śpiwór na ramiona. Musi słyszeć, jak serce bije mi w piersi, pomyślała.

Ric sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął jointa. Zapalił go i podał jej.

– Panie mają pierwszeństwo – powiedział.

– Ja... eee... nie palę... – Poczowała, że oblewa się rumieńcem.

– Mam ci pokazać, jak się to robi?

Wetknął jointa do ust i mocno się nim zaciągnął. Zatrzymał dym w płucach, po czym go wydmuchnął. Maisie też tak spróbowała i od razu zanosła się kaszlem. Ric się roześmiał. Gdy doszła do siebie, zaczęła się śmiać razem z nim. Nie miała wrażenia, że Ric się z niej nabija.

W końcu zorientowała się, o co w tym chodzi, i stwierdziła, że woli jointy od alkoholu. Jasne, kręciło jej się w głowie i na wszelki wypadek, z obawy, że nie utrzyma się na nogach, nie wstawała, ale nie czuła mdłości... tylko senność i głód.

– Wszystko dobrze? – zapytał Ric.

Objął ją wolną ręką. Był ciepły i miał twardy tors. Bez namysłu wyciągnęła dłoń i położyła mu na piersi. Miała na to ochotę przez cały dzień.

Ric parsknął śmiechem. Do Maisie dotarło, co robi, i szybko cofnęła rękę.

– O rany, przepraszam – powiedziała z zażenowaniem. – Poniosło mnie.

– W porządku. – Ujął jej dłoń i położył sobie z powrotem na piersi. – Podoba mi się, kiedy cię ponosi. W ogóle podobasz mi się taka, jaka jesteś.

Nachylił się ku niej i Maisie już wiedziała, że to będzie to – że Ric ją pocałuje.

Miał ciepłe wilgotne usta, smakujące marihuaną i curry. Był to najwspanialszy pocałunek, jaki mogła sobie wyobrazić. Nie przypominał tamtych niezręcznych, z chłopcami w szkole, którzy tylko kleili się do niej, bo nie mieli do kogo innego. Ric się nie spieszył, był delikatny i czuły, a jednocześnie namiętny.

Kiedy się rozdzielili, nie próbował wsunąć dłoni pod jej koszulkę ani nie gmerał rozpaczliwie przy jej pasku od spodni. Wziął ją za rękę i zaprowadził do swojego namiotu. Przyciągnął ją do siebie, okrył ich oboje śpiworem i położył jej głowę na swoim ramieniu. Maisie spokojnie zasnęła, ukołysana szumem oceanu, czując zapach wody po goleniu, której używał Ric, i mając na ustach jego smak.

Listopad 2019

Nie wiem, jak mogłam pozwolić, żeby to uszło mojej uwagi, i jestem wściekła na siebie, że popadłam w takie samozadowolenie. Mam piękny dom, kochającego męża, dwoje wspaniałych dzieci. Do tego świetną pracę. Wykonuję prezenty na zamówienie, w domu. I w miarę upływu lat, przekonana, że Mitchell Dyke siedzi w więzieniu, zostawiłam za sobą wydarzenia w Kanadzie. Ona należy już do przeszłości i nie może mnie skrzywdzić... tak mi się wydawało. Co za głupota z mojej strony, jaka naiwność. To, co stało się w Kanadzie, będzie mnie ścigać, nie mam teraz wątpliwości. Dopóki nie stawię czoła Mitchellowi. Już dawno temu postanowiłam, że nie będę ofiarą. Zapędzona do rogu, walczę – i tak właśnie zamierzam zrobić teraz. Znowu.

– Faye, kochanie, chodź, wkładaj buty! – wołam w górę schodów. – George! Pora do szkoły!

Poniedziałek, dla wszystkich najgorszy dzień w tygodniu, oprócz mnie. W poniedziałki odwożę dzieci do szkoły z przedszkolem i zajmuję się tym, co lubię najbardziej, czyli malowaniem. Pracuję obecnie nad trudnym zamówieniem i już nie mogę się doczekać, kiedy do niego wrócę – byle tylko zapomnieć o minionym weekendzie. Przez całą niedzielę zastanawiałam się obsesyjnie, jak wytropić Mitchella – i co wtedy zrobię. Nie sądzę, żeby to on był tym mężczyzną, który zaczepił Faye – niemożliwe, by tak szybko mnie odnalazł. Staralam się zatrzeć za sobą wszystkie ślady. Wyszedł z więzienia pół roku temu i jeśli rzeczywiście

przyjechał, żeby mnie odszukać, to popełnia duży błąd. Powinien wiedzieć, że po tym, co przeżyłam, nie jestem zwykłą mamuszką, jakimś popychadłem w średnim wieku. Nie zemdleję z wrażenia, jak bohaterka romansu, i nie zawaham się przed niczym, by chronić swoją rodzinę – na pewno nie zadrzy mi ręką.

– Nie przeczytałam tego, co było zadane – wyznaje Faye, wkładając małą stopę do buta.

Czy nie są już dla niej za ciasne? Dodaję kupno nowych butów do listy spraw, które muszę załatwić w tym tygodniu.

– Nie wspomniałaś, że masz coś przeczytać – odpowiadam.

Ale na Faye, tak jak się spodziewałam, nie robi to wrażenia.

– Mam czytać co wieczór. Bo inaczej nie dostanę znaczka. Wiesz o tym.

– Przeczytaj podczas jazdy, a ja napiszę, że zrobiłaś to wczoraj wieczorem. – Biorę jej tornister.

Faye jest wyraźnie zgorszona.

– To byłoby kłamstwo – mówi oskarżycielsko.

Tłumię westchnienie. Dobra matka uczy dzieci, że nie powinno się kłamać.

– Jeśli w sumie przeczytasz tyle, ile powinnaś, to nie.

– Myślę, że pani Ramsey będzie miała inne zdanie. – Faye nie daje za wygraną.

Tym razem wzdycham głośno.

– Powiedz jej, że mieliśmy wypadek samochodowy – rzucam i szybko idę z nią i George'em do drzwi. – Zobacz, że przyjeżdżamy do szkoły taksówką. Na pewno wykaże zrozumienie.

Faye patrzy na mnie spod zmrużonych powiek, ale nawet ona nie może tego zakwestionować. Nie będzie kłamstwa ani żadnych kombinacji. Kupuje to. Jest jednak nieodrodną córką swojej matki.

*

Pani Murray – czy Tamra, jak zwracają się do niej rodzice – nowa sekretarka w szkole, wychodzi nam na spotkanie do bramy. Pracuje tu dopiero sześć miesięcy,

ale jest tak cudownie niekonwencjonalna, że nie można jej nie lubić; mnie przypadła do gustu od samego początku. Jest chyba niewiele po dwudziestce, ma włosy do ramion, rozjaśnione na blond, który na wysokości uszu przechodzi w kruczoczarny, a kiedy porusza głową, pod spodem widać rudy. Te kolory są zgodne z regulaminem i władze szkoły nie znalazły przepisu, który mówiłby, że nie można mieć wszystkich naraz – a dowiedziałam się z pewnego źródła, że próbowały. Nie każdy w szkole ją aprobuje, wiem o tym, ja jednak uważam, że jest fantastyczna i świetnie radzi sobie z dziećmi. Dziś ma na sobie prostą czarną sukienkę bez rękawów, z białym marszczonym kołnierzykiem, i okulary w czarnych oprawkach, w stylu surowej sekretarki, ale włożyła do tego czerwone rajstopy i pomalowała usta czerwoną szminką.

– Laura, skarbie, słyszałam, że mieliście wypadek – mówi. Jedną ręką bierze ode mnie rzeczy Faye, a drugą ujmuje za rączkę George’a. – Nic wam się nie stało?

– Nie, wszystko w porządku. A kto ci o tym powiedział?

Staram się stłumić irytację w głosie. W tej szkole nic się nie ukryje, żaden sekret – co nie jest zaletą, jeśli czyjeś życie opiera się na sekretach. Ale wygląda na to, że Tamra nie wie przynajmniej, co stało się później – gdyby wiedziała, że mojej córki o mało nie uprowadził nieznajomy mężczyzna, nie pytałaby mnie o drobną stłuczkę. Zastanawiam się, czy Faye nie opowie w klasie własnej wersji tego zdarzenia.

– Veronica spotkała w sklepie Steve’a, który usłyszał o tym od Roba – wyjaśnia Tamra bez cienia zażenowania z powodu tego bezwstydnego plotkarstwa. – Czy twój samochód jest rozbity?

– To nie był poważny wypadek – zapewniam i jednocześnie pociągam Faye za sobą, żebyśmy już szli dalej. – Samochód da się uratować. Moje ubezpieczenie już nie za bardzo. Dziś po południu dzieci odbierze Rob, żebyśmy nie wydawali za dużo na taksówki.

– Ooo, to mamusie się ucieszą. – Tamra demonstracyjnie puszcza oko i udaje jej się mnie rozśmieszyć.

– Ciebie to nie dotyczy, prawda? Słyszałam, że masz nowego chłopaka.

Teraz to ja wychodzę na bezwstydną plotkarę. Chociaż Tamra zawsze mówi, że jest i będzie sama, jedna z matek widziała ją w barze z mężczyzną.

Oblewa się czerwienią. Wprawiłam ją w zakłopotanie.

– On... hm, tak, chyba rzeczywiście można nazwać go moim chłopakiem. Ale chodzimy ze sobą od niedawna. Ojej! Po co ja tyle gadam. Jeszcze zapeszę. – Odwraca się do dzieci. – Idźcie oboje do swoich klas. George, czy to nowy miś? Jak ma na imię?

Macham im na pożegnanie. George, jak zwykle bliski płaczu, ciągnie za sobą swojego misia. To jeszcze gorzej, niż gdyby urządził scenę – ze łzami w oczach godzi się z tym, że znowu go zostawiam. Czasami mam poważne wątpliwości, czy nie wyrządzam mu krzywdy, tak bardzo go kochając. Jestem centrum jego wszechświata i często się boję, że to niezdrowe. A jeśli coś mi się stanie? Mam wrażenie, że Faye, choć jeszcze taka mała, poradziłaby sobie; cierpiałyby, oczywiście, ale wyszłyby na prostą. Natomiast George... Wyobrażam sobie, że beze mnie przestałby funkcjonować, bo stanowią jego łącznik z tym światem. Ale może tylko tak mi się wydaje, ponieważ to on jest moim łącznikiem ze światem. Synek potrzebuje mnie najbardziej – czy też tej osoby, którą się stałam, Laury Johnson, mamusi – i to łączy mnie z nowym światem, który sobie stworzyłam. Tylko dzięki nim, to znaczy dzięki dzieciom i Robowi, nie odradza się we mnie tamta kobieta. Oszustka, niegodna zaufania, nieuczciwa. Problemem jest to, że jeśli po tym, co przydarzyło się Faye w zeszły weekend, mam ochronić swoją rodzinę przed Mitchellem Dykiem, muszę stać się znowu dawną sobą.

*

Taksówka zawozi mnie z powrotem do domu. Wypuszczam Archiego z kojca i gdy skacze wokół mnie, gotuję wodę w czajniku.

– No już dobrze, piesku, przecież nie było mnie zaledwie pół godziny!

Archie jednak ociera się o moje nogi, dopóki się nie pochylę i nie podrapię go za uszami, tam gdzie najbardziej lubi być pieszczony. Skończył już półtora roku i chociaż wciąż przez większość czasu rozrabia, zna rozkład dnia i z upodobaniem

się go trzyma. W dni powszednie odwożę dzieci do szkoły, wracam do domu, parzę kawę i idę do swojej pracowni na końcu ogrodu, gdzie Archie zwija się w kłębek na kanapie i czeka na porę lunchu, kiedy zabieram go na spacer. Ten dzień nie jest wyjątkiem – mimo tego, co wydarzyło się w weekend, mam do realizacji zamówienie. Nie mogę zawieść klientów.

Mój biznes – spersonalizowane prezenty, które sprzedaję na Etsy i eBayu – rozkręca się od trzech lat. Początkowo działało się to bardzo powoli, bo mogłam przyjmować jedynie zamówienia, które dałam radę wykonać w czasie, gdy George spał, ale kiedy podrósł i poszedł do przedszkola, brałam ich coraz więcej, aż nasza jadalnia zaczęła przypominać magazyn i pakownię. Wreszcie Rob oznajmił, tylko na pół żartobliwie, że „co za dużo, to niezdrowo”, i zafundował mi letni domek; stanął na końcu i tak niedużego ogrodu przy naszym bliźniaku z trzema pokojami na piętrze. Rob ocieplił go przez weekend – to znaczy stał i patrzył, jak robi to jego kumpel – i założył instalację elektryczną – również doglądając kogoś innego. Ale pomalował domek całkiem sam, wypiaszkował i zabejcował podłogę, po czym oddał mi całość do użytku podczas uroczystego otwarcia, razem z bukietem kwiatów, a Faye przecięła wstęgę. To było naprawdę wzruszające.

Chociaż Rob spędził w Ikei z tydzień, żeby urządzić pracownię z prawdziwego zdarzenia – bielone ściany, półki, koszyki i kolorowy dywanik, który nie mógł mi się nie spodobać – w następnym roku domek stał się azylem dla każdego z nas. Jeśli musiałam popracować w weekend, George szedł tam ze mną, siadał na końcu długiej drewnianej ławy i kolorował książeczki z bohaterami *Psiego patrolu* albo filmów Marvela (choć raz Rob przyłapał go na kolorowaniu ilustracji z mojej książeczki z przekleństwami dla dorosłych i położył temu kres; ja nie widziałam w tym nic strasznego, bo przecież George nie umie jeszcze czytać); a jeżeli Faye zadawano coś z zajęć plastycznych, przenosiła się tam i buszowała wśród przeróżnych wstążek, cekinów, taśm dekoracyjnych i pomponów. Większość z tego nie była mi potrzebna – klienci głównie zamawiali ręcznie malowane naklejki albo drzewa genealogiczne – ale zbierałam i zachowywałam wszystko, co mogłam, bo każda chwila spędzona z córeczką na takich pracach była dla mnie niezwykle cenna. Ja sama nie miałam

podobnych wspomnień związanych z moją matką, dlatego uważałam, że te wspólne godziny z Faye powinnam pielęgnować.

A czasami wieczorem, kiedy już poczytałam dzieciom przed snem i musiałam nadgonić robotę, Rob przynosił mi do pracowni kieliszek wina, sadowił się w starym, odnowionym przeze mnie fotelu, który uparłam się tam zaciągnąć, i narzekał, jak bardzo nie pasuje on do całej reszty. Miejsce, które Rob stworzył, było idealne. Rozmawialiśmy o tym, jak minął nam dzień, albo o dzieciach. Z upodobaniem wymyślaliśmy historie ludzi, dla których wykonywałam prezenty. Zamawiając spersonalizowaną mapę Australii dla Andrei, jej chłopak przekazywał jej, że ją opuszcza, by podróżować, a żona Rogera, ofiarowując mu spersonalizowaną papeterię, chciała dać mu do zrozumienia, że wie o jego romansie z sekretarką. Te chwile, kiedy byliśmy tam sami, tylko Rob i ja – i czasami Archie, jeśli nie spał w pokoju George'a – lubiłam w naszym związku najbardziej. Oczywiście czas, gdy poznaliśmy się jako dwudziestoparolatkowie, był ekscytujący – szalona miłość, wakacje i seks za dnia – ale wtedy łatwo czuć się szczęśliwym, prawda? Pragnęłam zatrzymać i zapamiętać późniejsze chwile, po tym, jak urodziły nam się dzieci, kiedy z wiekiem zmieniły się nasze ciała, a pod oczami pojawiły się cienie. Kiedy wciąż udawało nam się wykroić trochę czasu i znaleźć miejsce dla siebie, nawet jeśli to było tylko pół godziny. Te momenty, o które musisz się starać.

Wszystkie te myśli przemykają mi przez głowę za każdym razem, gdy zbliżam się do drewnianego domku, który pomalowaliśmy na zielono, tak że wtapia się w rosnące za nim krzewy, i wtedy od razu się uspokajam. Widzę Roba w tym fotelu, Faye nad pudełkiem z cekinami, małego George'a na blacie stołu. Dziś Archie biegnie przy mnie, tu skoczy, tam skróci sobie drogę, bo wie, dokąd idziemy.

Wyjmuję klucz z kieszeni, ale kiedy podchodzę do drzwi, okazuje się, że nie będzie potrzebny. Zasuwa leży na ziemi, a w drewnianej framudze zieje dziura. Ktoś włamał się do mojej pracowni.

16

Maisie

Lipiec 1999

Maisie obudziła się nazajutrz z wrażeniem, że przespała kilka dni. Dopiero po chwili przypomniała sobie, gdzie jest i dlaczego całą sobą czuje taką euforię. Obudziła się na plaży w Kanadzie... w namiocie Rica.

Rica przy niej nie było, ale zupełnie inaczej niż dawna Maisie, jeszcze sprzed dwóch dni, wcale się tym nie przejęła. Nie doznała napadu lęku ani wstydu – przecież tylko się całowali, a jest już na tyle dorosła, żeby robić, na co ma ochotę. Nie przestraszyła się, że Ric żałuje tego, co się stało, dał nogę i już nigdy więcej się nie pojawi – to w końcu był jego namiot. Jednak chodziło nie tylko o to, bo nawet jeśli Ric by jej powiedział, że to, co wydarzyło się między nimi, jest straszliwą pomyłką, nie poczułaby się zdruzgotana. Po raz pierwszy miała wrażenie, że panuje nad swoim życiem, i było jej z tym cudownie. Co za wolność!

Leżała jeszcze przez chwilę, napawając się tym uczuciem. W namiocie było ciepło, a na dworze słonecznie. Spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem zobaczyła, że jest już dziewiąta. O rany, ale dobrze jej się spało. Rozpięła śpiwór, wstała, rozsunęła wejście do namiotu i wyjrzała na zewnątrz.

Jej namiot wciąż był zamknięty i nagle uświadomiła sobie, że zostawiła w nim na całą noc swój plecak i wszystkie inne rzeczy. Zabawne – nawet specjalnie się tym nie zdenerwowała. *Que sera* i tak dalej.

A co do Sery... Jej nowa przyjaciółka stała po kostki w oceanie jakieś dwadzieścia metrów dalej – był przyływ – i rozmawiała z bratem. Maisie się wzdrygnęła. Była ciekawa, czy Sera zwróciła uwagę na jej pusty namiot i odgadła, gdzie Maisie spędziła noc. Z jakiegoś powodu nie chciała, żeby Sera dowiedziała się, co zaszło poprzedniej nocy między jej bratem a nią. Czuła, że powinno to pozostać tajemnicą. Sera była zwrócona do niej plecami, więc Maisie cicho poszła do swojego namiotu i skrzywiła się, kiedy zamek błyskawiczny zgrzytnął przy rozsuwaniu. Potem, po wejściu do środka, wystawiła głowę na zewnątrz i zawołała do tamtych dwojga:

– Cześć!

Sera obejrzała się, niemal zdziwiona, że ją widzi. Później uśmiechnęła się do niej i pomachała. Odwróciła się, by powiedzieć coś do Rica, i wreszcie podbiegła do Maisie z całą energią, jakiej można się było po niej spodziewać.

– Cześć! – krzyknęła i położyła się przed wejściem do namiotu. Do nóg przylgnał jej mokry piasek, a jej skóra pachniała słoną wodą i kremem przeciwsłonecznym. – Jak ci się spało?

W jej głosie nie było nuty dwuznaczności ani cienia porozumiewawczego czy poufalego tonu. Może naprawdę nie domyślała się, że Maisie spędziła noc w namiocie Rica. A może wcale jej to nie przeszkadzało. Maisie miała tylko siostry, ale nie wyobrażała sobie, że chciałyby wiedzieć cokolwiek o ich życiu seksualnym. Nie to, żeby ją i Rica łączył seks. Przynajmniej na razie.

– Naprawdę dobrze, szczególnie że zwykle nie nocuję w namiocie. A tobie?

– Spałam jak zabita – odpowiedziała Sera z szerokim uśmiechem. – My często nocujemy na kempingach, więc jestem przyzwyczajona do spania na ziemi. Choć spanie na piasku to jeszcze co innego. Nieważne, teraz musisz pójść ze mną! Wśród kamieni na plaży znalazłam sadzawki pełne rozgwiazd i dziwnych pąkli, a ludzie,

którzy przechodzili tędy jakiś czas temu, mówili, że można stamtąd zobaczyć wieloryby.

– Niesamowite – rzuciła Maisie. – Tyle że umieram z głodu.

Sera wskazała na brata.

– Ric może zrobić śniadanie. Wystaw zapasy na zewnątrz, a on się już wszystkim zajmie.

Sera najwyraźniej oczekiwała, że Maisie znowu podzieli się z nimi swoim jedzeniem. A co by było, gdyby nie natknęli się na nią? Ciekawe. Pewnie umarliby z głodu. Jednak nie bardzo miała ochotę na pichcenie, a skoro Ric chciał ją wyręczyć, gotowa była ich poczęstować. Obawiała się tylko, czy to, co zabrała, wystarczy dla całej ich trójki do końca wyprawy.

– No chodź! – ponagliła ją Sera, więc Maisie wygramoliła się z namiotu. Można było pomyśleć, że spała w ciuchach, w których chodziła poprzedniego dnia. Jeśli Sera to zauważyła, nie dała nic po sobie poznać. – Będziesz zachwycona.

17

Listopad 2019

W pierwszej chwili chcę od razu pchnąć drzwi i sprawdzić, czy w środku są wszystkie moje rzeczy: komputer, ploter, laminator... mam tam cały warsztat i serce ściska mi się na myśl, że mogłabym go stracić. Pracownia została sklasyfikowana jako szopa i ubezpieczeniu podlega tylko to, co zazwyczaj trzyma się w takim miejscu. Nie obejmuje mojego iMaca. Cholera.

Dopiero kiedy Archie cicho skomle, cofam rękę, jakby klamka parzyła. Co ja robię, zamierzam tak po prostu wejść? A jeśli włamywacz wciąż tam jest? W końcu nie było mnie tu raptem koło czterdziestu minut i jestem pewna, że zanim wyszłam, wszystko było po staremu.

Wycofuję się jak najciszej, gestem nakazując Archiemu, żeby szedł za mną, a on ku mojej uldze posłusznie wypełnia polecenie. Po powrocie do domu zastanawiam się, dłużej niż powinnam, co zrobić. W grę wchodzi zbyt wiele czynników, to może nie być zwykłe włamanie. Jeśli wezwę policję – a tak należałoby postąpić – i okaże się, że w pracowni jest Mitchell Dyke, wszystko się wyda. A jeżeli zadzwonię do Roba, powie mi, że bym zawiadomiła policję, jak normalny praworządny obywatel, i oczywiście nie zrozumie, kiedy się sprzeciwię. Zostawiam więc telefon tam, gdzie leżał do tej pory, i podchodzę do wyspy kuchennej, na której stoi blok z nożami. Biorę jeden z nich. Kilka razy lekko podrzucam go w ręce, by poczuć jego ciężar, po czym mocno ujmuję gładki czarny plastikowy trzonek. Czy będę umiała się tym posłużyć?

Nie masz wielkiego wyboru, mówię sobie. On przyszedł tutaj, żeby cię skrzywdzić. Musisz bronić siebie i swojej rodziny.

Głęboko wciągam powietrze przez nos, zatrzymuję je w płucach na kilka sekund i powoli wypuszczam. Zapędzam Archiego z powrotem do kojca – nie jest psem stróżującym i boję się, że może stać mu się coś złego – po czym zamykam tylne drzwi.

– Policja już jedzie! – mówię głośno, licząc, że sąsiadów nie ma w ogrodzie. – Dam ci szansę na ucieczkę. Jeśli z niej nie skorzystasz, zostaniesz aresztowany.

Mało wiarygodne kłamstwo. Gdybym zadzwoniła na policję, zamknęłabym się w domu i czekałabym na ich przyjazd albo schroniła się u sąsiadów. Nie stałabym w ogrodzie na tyłach domu, pozwalając włamywaczowi zbiec. I jeśli tam rzeczywiście jest Mitchell, będzie wiedział, że nie wezwę policji.

Cisza.

Czekam jeszcze chwilę, a później powoli ruszam do drzwi pracowni. Nie przejmuję się, że zostawiam odciski palców i inne ślady; tu już nie chodzi o policję. To sprawa między mną a Mitchellem. Jeśli tu jest, to tylko z jednego powodu: przeze mnie spędził pół życia za kratkami. Słuszne pretensje. Jednak przekroczył granicę, kiedy próbował porwać moją córkę. Miał pecha, nie udało mu się, i teraz, gdy wiem, do czego jest zdolny, nie pozwolę mu jej tknąć. Jeśli chce się zemścić, będzie musiał zmierzyć się z kimś równym sobie. Czyli ze mną.

Bez wahania podnoszę nogę, kopię w drzwi pracowni i uskakuję na bok, kiedy się otwierają. Nikt jednak nie rzuca się na mnie, nie słychać żadnych strzałów. Z plecami przy ścianie wolniutko posuwam się naprzód, jak to widziałam w serialach telewizyjnych, i wychylam się zza framugi.

W pracowni nikogo nie ma.

Jeśli miałby się gdzieś ukryć, to pod biurkiem, nie ma innego miejsca, a jeżeli tak zrobił, to już nie żyje. Nie zaatakuję mnie stamtąd. Zbliżam się jednak ostrożnie i z daleka patrzę pod biurko. Nic. Komputer i inne urządzenia są tam, gdzie powinny być. Wygląda na to, że nic nie...

I wtedy to zauważam. Zlecenie, nad którym pracowałam, wycięta laserem ramka na zdjęcia dla małżeństwa, Susan i Nicka, na ósmą rocznicę ślubu. Powinny być w niej ich fotografie, podpisane imionami, ale ktoś je wyjął i wstawił na ich miejsce zdjęcia dwóch dziewczyn. Dziewczyn, które dobrze znam. A pod zdjęciami – w serduszku – widnieją dwa imiona, których nie zapomnę, nawet gdybym bardzo chciała.

Seraphine i Maisie.

A poniżej ktoś nagryzmolił: *Kłamliwa suka.*

18

Maisie

Lipiec 1999

Sera miała rację. W małych sadzawkach, które powstały na plaży między kamieniami, znajdowały się kraby i rozgwiazdy, a w jednej nawet malutka meduza. Maisie była zachwycona.

– Masz taką minę, jakbyś nigdy wcześniej nie widziała rozgwiazdy. – Ric uśmiechnął się szeroko, klepiąc ją po ramieniu.

– Może dlatego, że faktycznie nie widziałam – przyznała Maisie. Roześmiała się, kiedy uniósł brwi. – No co? Nie wszyscy możemy być nieustraszonymi łowcami przygód jak Cunninghamowie. Mojej matki nie stać było na wakacyjne wyjazdy, a nawet gdyby było stać, rzadko czuła się na tyle dobrze, żeby gdzieś nas zabrać.

Ric spoważniał.

– Mówisz tak, jakby choroba matki rzutowała na całe twoje życie – zauważył, kładąc gładką opaloną dłoń na jej bladym kolanie.

Maisie się odwróciła, bo nie chciała się przy nim rozkleić.

– Mama nie jest temu winna. – Spróbowała nonszalancko wzruszyć ramionami. – Przecież nie prosiła się o depresję.

– No tak. – Ric kiwnął głową, jakby świetnie to rozumiał. – Ale to samo odnosi się do ciebie. Nie musisz poczuwać się do odpowiedzialności za innych.

– Komuś takiemu jak ty łatwo tak mówić – burknęła, czując, że ogarnia ją gniew.
– Nie musisz myśleć o nikim z wyjątkiem samego siebie. A ja co mam zrobić, zostawić swoją rodzinę? To nie takie proste.

– Ależ całkiem proste – odparł Ric, najwyraźniej wcale nieurazony jej słowami.
– Odchodzisz i nie oglądasz się za siebie. Czy któraś z nich myśli o tobie?

Wyciągnęła rękę i musnęła palcami rozgwiadę, która skurczyła się pod wpływem jej dotyku. Ric mówił tak, jakby świat był ostrygą, jakby Maisie nie łączyły z depresyjną matką i niesamodzielnymi siostrami niewidzialne więzy. A jeśli tak było? Jeśli nie wróciłyby do domu? Być może jej siostry zabrano by spod opieki matki. To byłby dla niej cios – chciała być dobrą matką i nie z własnej winy czasami sobie nie radziła – ale jeżeli Ric miał rację? To nie Maisie zdecydowała się na dzieci, którymi nie mogła się odpowiednio zaopiekować, i to nie ona brała leki i je odstawiała wedle własnego widzimisie. Gdyby porzuciła swoje dotychczasowe życie, ktoś w jej zastępstwie zająłby się dziewczynkami. Opieka społeczna albo ciocia Fiona, którą Maisie wprawdzie rzadko widywała, ale wiedziała, że to dobra osoba, kochająca siostrę i siostrzenice.

– Powiedz mi więc... – zaczęła już spokojnym głosem. Spojrzała na skały, gdzie Sera szukała szczątków rozbitych statków, z których słynął szlak West Coast. – Jak porzucić swoje dotychczasowe życie i zacząć od nowa? Przypuśćmy, że jesteś dziesiętnastoletnią dziewczyną ze stoma funtami na koncie w banku.

– Jak odkryłaś mój sekret? – zapytał żartobliwie.

Maisie się uśmiechnęła, ale nie odpuściła mu tak łatwo.

– No, słucham... Dokąd byś się udał? Jak byś się tam dostał?

– Można sobie poradzić na różne sposoby bez wielkich pieniędzy – oznajmił. Podniósł z ziemi patyk i zaczął rysować nim na mokrym piasku. – Przyjmijmy, że postanawiasz zostać na jakiś czas tu, w Kanadzie. Możesz zamieszkać w hostelu, znaleźć sobie pracę w barze, na zmywaku. Kiedy już zarobisz na bilet autobusowy,

jedziesz dalej i znajdujesz następny hostel, następny bar. Taka ładna dziewczyna jak ty zawsze dostanie robotę. Możesz sprzedawać ozdoby na plażach Bali. Malować zachody słońca w Mediolanie. Jako kieszonkowiec okradać ludzi w Rzymie.

Maisie spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

– Wy tak robicie, ty i Sera? Życie z kradzieży kieszonkowych?

Wzruszył ramionami.

– Czasami, gdy nie mamy innego wyjścia. – Musiał dostrzec na jej twarzy grymas, bo się roześmiał. – Ludzie robią rozmaite rzeczy, żeby przeżyć, Maisie. Jeśli ktoś ma bogatych rodziców, których stać na to, żeby dać mu forszę na założenie własnej firmy i jądanie wymyślnych dań w eleganckich restauracjach, to super, taki nie musi parać się tym wszystkim, co budzi twój niesmak. Ale reszta? My, których rodzice nie nasikaliby na nas, nawet gdybyśmy stanęli w ogniu? Nie zapewnili nam podstawowego wyżywienia, nie mówiąc już o kawiorze i szampanie? Mamy głodować na ulicach, bo tak się złożyło? To ślepy traf, w jakich warunkach przyszłaś na świat, i nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. Dlatego ci z nas, którym się nie poszczęściło, muszą robić to, co inni, którzy nigdy nie zaznali głodu, oceniają krytycznie. A kim oni są, żeby patrzeć na nas z góry? Albo nas oceniać? Zamień się ze mną miejscami, Maisie, i wtedy z dezaprobatą kręć głową, gdy będę ci mówił, jak przeżyć.

Ogarnął ją wstyd. Musiała przyznać Ricowi rację. Nie żyło jej się łatwo, ale zawsze miała dach nad głową i coś do jedzenia w lodówce – nawet jeśli była zmuszona korzystać z otrzymywanych przez matkę świadczeń socjalnych, żeby robić zakupy dla rodziny. I gdyby musiała posunąć się do kradzieży, żeby wykarmić siostry, wiedziała, że zrobiłaby to bez chwili wahania.

– Przepraszam – odparła, patrząc na bezkres oceanu.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że jest tutaj, w innym kraju, tak daleko od domu. Tu wszystko wydawało się możliwe, nawet życie, jakie opisywał Ric. Ale przecież jakoś znalazła się w tym miejscu – jeśli teraz jej się to udało, dlaczego miałoby się nie udać jutro, pojutrze i później?

– A jeśli... – Zawahała się.

Korciło ją, żeby zapytać go, co by było, gdyby chciała zostać z nimi, z nim i Serą, zamiast wracać do domu i swojego dawnego życia. Jak miałyby to wyglądać? Po prostu nie wsiadłaby do samolotu? Jednak się bała. Gdyby odmówił, to byłby koniec jej marzeń. Przecież sama by się na coś takiego nie odważyła.

– Jeśli co? – ponaglił ją. Wydawało się, jakby dobrze wiedział, o co Maisie zamierza go spytać, i tylko się z nią droczył. – Miałaś stać się nową osobą. Podejmować ryzyko, brać, co chcesz. Więc dalej. Pytaj.

Poczuła, że się rumieni.

– Jeśli zostałąbym z wami... po zakończeniu tej wędrówki? Tylko na jakiś czas – dodała pospiesznie. – Dopóki nie znalazłabym punktu oparcia. Nie dostałabym pracy...

Ric uśmiechnął się szeroko.

– Jeden pocałunek i chcesz pójść ze mną na koniec świata. Najwidoczniej całuję lepiej, niż myślałem.

– Co? Ja... ty...

Ze śmiechem podniósł rękę.

– O rany, tylko żartowałem. Pogadam z Serą, ale nie sędzę, żeby miała coś przeciwko temu. Chyba cię polubiła. – Spojrzał w stronę siostry, która siedziała na skałach, zapatrzona w morze, a potem pochylił się i szybko pocałował Maisie w usta.

*

Chociaż Maisie nie miała ochoty ruszać w dalszą drogę, wiedziała, że muszą pokonać odcinek trasy biegnący nad rzeką Klanawa poniżej dwóch metrów i siedemdziesięciu centymetrów nad poziomem morza, bo inaczej utkną w tym miejscu na jeszcze jedną noc, do następnego odpływu. Sera była zadowolona, że zwijają obóz – wyglądało na to, że szybko się nudzi – więc poszli dalej, aż dotarli

do kolejki linowej nad Klanawą, a potem do wodospadu Tsusiat. Kiedy się tam znaleźli, już prawie zapadł zmrok.

– Ojej! – wykrzyknęła z zachwytem Maisie, kiedy las się przerzedził i ukazała się przed nimi, w całej swojej krasie, kaskada wody. – Nie zobaczę piękniejszego widoku, choćbym dożyła setki!

Ric popatrzył na nią ze zdziwieniem, jakby ona sama była atrakcją turystyczną.

– To tylko wodospad – zauważył. – Nigdy wcześniej żadnego nie widziałaś?

Maisie, rumieniąc się, wzruszyła ramionami.

– Widziałam kilka u nas w kraju, ale małych. Nie większych ode mnie.

Ric objął ją i uściskał.

– Obiecuję ci niniejszym, że jeśli zostaniesz ze mną, ten wodospad będzie najmniejszą atrakcją, jaką napotkasz podczas tej wyprawy.

Maisie uśmiechnęła się i zdjęła plecak.

– Jednak dopóki nie pokażesz mi większej atrakcji, panie Cunningham, ta całkiem mnie zadowala. I zamierzam się nią nacieszyć.

Tym razem Ric i Sera byli tymi rozsądnymi i przekonali ją, że powinni chociaż rozstawić namioty, zanim wskoczą do zbiornika u podnóża wodospadu. Kiedy potem niebo złowróźnie poszarzało i na głowy spadły im pierwsze krople deszczu, cieszyła się, że tak zrobili.

– A niech to szlag – przeklęła Sera, patrząc ze zmarszczonym czołem w górę. – Myślałam, że uda nam się uniknąć deszczu.

– Już i tak jesteśmy mokrzy – zwróciła jej uwagę Maisie, zanurzając się po szyję w wodzie. – Więc to nie ma wielkiego znaczenia, prawda?

– Pewnie, że nie. Nie marudź, Sera – rzucił żartobliwie Ric. Odgarnął Maisie z oczu mokre pasmo włosów. – Myślałem, że jesteś wolnym duchem.

– Wolny duch nie musi lubić moknięcia na deszczu – odparowała jego siostra. Podpłynęła do brzegu. – Ja idę. Wy dwoje możecie pluskać się jak dzieci podczas ulewy.

– Jej chyba nie cieszy ta wyprawa – zauważyła szeptem Maisie.

Ric parsknął śmiechem. Zbliżył się do niej i pod wodą musnął ręką jej biodro. Maisie zadrżała, ale nie od chłodnego deszczu.

– Powinnaś coś wiedzieć o mojej siostrze – powiedział. Wsunął palec pod brzeg jej majtek od bikini i przyciągnął ją do siebie. – Nie jest osobą, za jaką chciałaby uchodzić. Nigdy nie była. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby miała pojęcie, jaka jest naprawdę. Nie pozwalano jej być kimś innym, niż życzyli sobie tego rodzice. To tak, jakby pod względem osobowości składała się z fragmentów, które widywała w telewizji i na filmach, i dobierała je zależnie od tego, z kim przebywa i czego się od niej oczekuje. Jednego dnia może być Elizą Doolittle, kwiaciarką, a następnego prawdziwą damą.

– Tylko nie mów, że oglądałeś *My Fair Lady* – prychnęła Maisie.

Nie chciała dłużej rozmawiać o jego siostrze, pragnęła poczuć na całym ciele czubki jego palców, jego usta. Wcisnęła nogę między jego uda.

– To mój ulubiony film – oznajmił, patrząc na nią z udawanym oburzeniem.

Stanął szerzej, ułatwiając jej dostęp, opuścił rękę i jednym ruchem zsunął jej majtki. Maisie gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy zatoczył palcem kółko wokół jej łechtaczki, i napała na jego dłoń.

– Nie musimy się spieszyć – wymruczał jej do ucha.

Zerknął w stronę namiotu, w którym zniknęła Sera, pochylił głowę i pocałował Maisie w usta, aż zadrżała. Wtedy wsunął w nią palec, a ona cicho jęknęła. Przeszył ją dreszcz, gdy Ric odchylił ją do tyłu, żeby dosięgnąć odpowiedniego miejsca, po czym zaczął poruszać palcem, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Poczowała napięcie w całym ciele, takie, jakiego do tej pory nie знаła. Przypominało to wyrefinowaną torturę, budzącą obce jej dotąd tęsknoty.

Do rzeczywistości przywołało ją głośne kasznięcie i kobiecy chichot. Odsunęła się od Rica i zobaczyła dwoje turystów, którzy patrzyli na wodospad, wyraźnie skrzepowani.

– Przepraszam, że przeszkadzamy! – zawołała kobieta, machając do nich.

Maisie uświadomiła sobie, że jedyne, co widzieli, to całującą się parę. Nie mieli pojęcia, że przerwali pierwszy w jej życiu orgazm.

– Nie wyglądają na skruszonych – zauważył cicho Ric, a Maisie wybuchnęła śmiechem.

– Chodźmy. – Wzięła go za rękę. – Wysuszymy się.

– Szkoda – powiedział z żalem. – Lubię cię taką mokrą.

19

Listopad 2019

Rozbijam młotkiem ramkę na zdjęcia, zbieram jej kawałki i niosę do kosza na śmieci przy przystanku autobusowym. Nie będę udawać, że nie jestem poruszona tym, co się zdarzyło – w końcu potwierdziły się moje najgorsze lęki. Ktoś – Mitchell – wie, kim jestem i gdzie jestem. Wie, gdzie mieszkam. Czego jeszcze się dowiedział? Musiał śledzić mnie w ostatnich dniach i obserwować mój dom, żeby się zorientować, o której godzinie zawożę dzieci do szkoły i o której wracam. O co mu chodzi? Rozumiem, dlaczego chce się odegrać, ale gdybym ja szukała zemsty, to prawdę mówiąc, nie bawiłabym się w subtelności. Dlaczego więc nie podpalił mojego domu czy nie zdemaskował mnie w mediach, zamiast pogrywać ze starymi zdjęciami i wypisywać obraźliwe teksty? To niewątpliwie ostrzeżenie – że może mnie dopaść, kiedy tylko zechce. Co zmusza mnie do pilnowania się na każdym kroku, bo nie wiem, gdzie on jest ani co zamierza.

Nie możesz pozwolić, żeby cię dopadł, myślę, zamykając na klucz frontowe i tylne drzwi domu. Musisz wyprzedzić jego ruchy. Tak jak postępowałaś przez całe życie, będąc o krok do przodu.

Dzwonię do Roba i dzwonię, a kiedy włącza się poczta głosowa, przerywam połączenie i próbuję od nowa. Po kilku sygnałach odbiera i w jego głosie słyszę troskę.

– Wszystko w porządku?

– Nie, właściwie nie – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Kiedy po odwiezieniu dzieci wróciłam do domu, ktoś wybiegł z ogrodu na tyłach. Włamał się do pracowni.

– Cholera, nic ci się nie stało? Zrobił ci coś? Wezwałaś policję? Już jadę... będę za pół godziny...

– Nie, Rob, nie ma potrzeby – przerywam mu w pół zdania. – On uciekł. Nie próbował zbliżyć się do mnie i niczego nie ukradł... pewnie mu przeszkodziłam. Już go nie ma. Po prostu przeżyłam wstrząs, to wszystko.

– Nie dziwię się. Co powiedziała policja?

– Nie zgłosiłam tego. Naprawdę... i tak nic by nie zrobili, bo nie doszło do kradzieży. Przyjechaliby za kilka dni i tylko kwota za ubezpieczenie wzrosłaby niebotycznie.

Rob milczy i wiem, że przekonałam go argumentem o kosztach ubezpieczenia domu. Myślałam o tym, żeby po prostu naprawić drzwi do pracowni i nic Robowi nie mówić, ale uświadomiłam sobie, że jeśli właściwie to rozegram, mogę na tej sytuacji skorzystać.

– Dobrze, że nie było twojego samochodu – dodaję i wstrzymuję oddech.

– Jak to, myślisz, że ktoś próbowałby ukraść samochód? – Strach w jego głosie staje się wręcz namacalny.

Samochód jest dumą i radością Roba. Mój mąż nie byłby taki wyrozumiały, gdybym to jego mercedesem, a nie moim nissanem, spowodowała wypadek.

– Nie mówiłam ci o tym? Rozmawiałam z Giną, tą, która mieszka kilka numerów dalej, i dowiedziałam się od niej, że ktoś kilka dni temu chwycił za klamki wozów przy naszej ulicy. Zdaje się, że zakładają monitoring. A przy drzwiach dzwonek z kamerą – dorzucam dla lepszego efektu.

– Niech to szlag. Uważasz, że my też powinniśmy zainstalować kamery?

Udało się. Nie można powiedzieć, żeby mój mąż nie był przewidywalny.

– Sama nie wiem, a ty? Może to dobry pomysł. Działałyby odstraszająco. Jest szansa, że jeśli złodziej zobaczy tu kamery, przestanie nas nachodzić.

A jeśli nawet nie, myślę, to przynajmniej będziemy go widzieli.

– No nie wiem, Lizaczku, nie mam czasu się tym zająć, a on pewnie już sobie odpuścił. Założę się, że napędziłaś mu strachu.

– Masz rację – przyznaję. – Gina panikuje. Wiesz, jak bardzo Adam lubi swój samochód. I nie sądzę, żeby włamywacz wybrał nasz dom, kiedy zobaczy, że ich jest monitorowany.

Rob wzdycha i mam wyrzuty sumienia, że go stresuję.

– Posłuchaj, może ja obejrzę jakieś tanie kamery i dzwonki z podglądem – proponuję, jakbym zdejmowała z jego barków wielki ciężar. – Dziś wszyscy je mają. Na pewno nie są takie drogie.

– Wzięłabyś to na siebie? – pyta z ulgą. Nie brakuje nam pieniędzy, ale głównie dlatego, że Rob nie jest rozrzutny. – Tylko nie przesadzaj, Lizaczku. Jak mówiłem, facet na pewno jest już daleko stąd.

– Uhm – odpowiadam, przeglądając strony z urządzeniami do monitoringu. – Daleko stąd.

20

Zapis odcinka podcastu *Crime Addict*, 21 sierpnia 2017

Odcinek 78 – SERAPHINE CUNNINGHAM

– Zniknięcie na szlaku West Coast

Stacie: Witajcie, fani kryminalnych historii. Nazywam się Stacie Plant.

Kellie: A ja jestem Kellie.

Stacie: Opowiemy wam historię tajemniczego zaginięcia Seraphine Cunningham na szlaku West Coast trzydziestego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, jednej z niesławnych spraw, która mimo braku zwłok ofiary doczekała się procesu sądowego, podobnie jak sprawa zniknięcia Petera Falconia w dwa tysiące pierwszym i biednej słodkiej sześciolatniej Logan Tucker w dwa tysiące drugim.

Szlak West Coast ciągnie się od Pachena Bay aż do rzeki Gordon w Kolumbii Brytyjskiej, w Vancouver. To piękna trasa, w niektórych miejscach zdradziecka, znana ze śliskich drewnianych chodników i ryzykownych drabinek. Każdego lata przemierzają ją tysiące turystów i latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku także dziewiętnastoletnia Maisie Goodwin postanowiła uciec od codziennego życia, żeby znaleźć się na plażach Vancouver. Miała odbyć tę wędrowkę ze swoją wieloletnią przyjaciółką, jednak w końcu wybrała się sama, ponieważ przyjaciółka w ostatniej chwili się wycofała.

Nie wiadomo do końca, jak i gdzie Maisie poznała swoją rówieśniczkę, Seraphine Cunningham. Według zeznań samej Goodwin poznały się na odprawie przed wyruszeniem w trasę, ale są świadkowie, którzy twierdzą, że widzieli je, jak wsiadały razem do autobusu już na lotnisku. Stwierdzono, że każda z nich przyleciała innym samolotem i że pochodzą z zupełnie innych miejsc, więc to mało prawdopodobne, żeby znały się jeszcze przed podróżą.

Seraphine Cunningham zawsze była tajemnicza i między innymi właśnie dlatego jej zaginięcie wzbudziło takie zainteresowanie. Istnieje niewiele zdjęć dziewczyny – Sera podróżowała od dwóch lat, ale nie wiadomo, gdzie konkretnie. Kiedy miała siedemnaście lat, jej rodzice, zamożne małżeństwo z Wielkiej Brytanii, zgłosili, że zaginęła. Wkrótce dowiedzieli się od policji, że ich córka żyje, mieszka we Francji i nie chce ich widzieć. Nie wiadomo, gdzie Seraphine spędziła te dwa lata, więc jej zaginięcie na szlaku West Coast mogłoby przejść zupełnie niezauważone, gdyby na początku wędrówki nie zaprzyjaźniła się z Maisie.

Pierwsze dwa dni na szlaku upłynęły, według zeznań Maisie, bez żadnych incydentów. Dlatego wydaje się dziwne, że kiedy trzeciego wieczoru zatrzymały się nad Cribs Creek, obozowały oddzielnie, a Maisie nie potrafi tego przekonująco wytłumaczyć. Świadkowie, łącznie z Mitchellem Dykiem, o którym za chwilę, twierdzą, że tamtego wieczoru Sera i Maisie prawie ze sobą nie rozmawiały, więc nikt nawet nie wiedział, że wcześniej szły razem.

Grupa złożona z Kaz Rigby, Keddiego Everetta i Mitchella Dyke'a piła alkohol z Maisie, gdy dołączyła do nich Sera. Ustalono, że to właśnie ona przyniosła narkotyki, które tego wieczoru zażyli. Podobno była to kokaina.

W pewnym momencie – żaden ze świadków nie umiał podać dokładnej godziny – Keddie i Kaz, którzy gawędzili z innymi turystami w obozowisku, zauważyli, że ich nowe koleżanki zniknęły, a wraz z nimi Mitchell Dyke. Nie przejmując się tym – na tego rodzaju wyprawach ludzie często odłączają się od grupy, by zawrzeć nowe znajomości – Keddie i Kaz udali się do swoich namiotów, żeby odespać narkotykowe odurzenie.

Około drugiej w nocy, jak pisze „Irish Herald”, Kaz obudziły ciche przeciągłe jęki, jakby kogoś bardzo cierpiącego, tak przynajmniej opowiadała. Ona i Keddie wyszli z namiotów i zobaczyli przerażoną Maisie.

Kellie: Czy powiedziała, co się stało?

Stacie: Kaz zeznała podczas rozprawy sądowej, że Maisie wyglądała na oszołomioną.

Kellie: Z powodu alkoholu i narkotyków?

Stacie: Możliwe. Nie była do nich przyzwyczajona, więc na pewno podziałały na nią silniej niż na pozostałych. Według słów Kaz, kiedy Maisie zaczęła mówić o Seraphine, że ją napadnięto, oboje z Keddiem uznali, że jej się przywidziało. Dopiero gdy wpadła w histerię, krzycząc, że muszą znaleźć Serę i jej pomóc, dotarło do nich, że coś jest nie tak.

Kellie: A gdzie wtedy był Mitchell?

Stacie: Hm, to jest pytanie za milion dolarów. Ponieważ później Maisie mówiła, że to właśnie Mitchell Dyke napadł Seraphine. Jednak Kaz utrzymywała, że Mitchell wyszedł ze swojego namiotu dziesięć minut po tym, jak Maisie, chwiejąc się na nogach, wróciła do obozu.

Kellie: A Keddie?

Stacie: No właśnie. Keddie za każdym razem powtarzał, że nie pamięta, by widział wtedy Mitchella, mimo że namioty ich wszystkich stały blisko siebie. To cały czas świadczyło przeciwko Mitchellowi... skoro był w obozie, to dlaczego Keddie go nie widział?

Kellie: Odegram rolę adwokata diabła: było ciemno, późno, dziewczyna krzyczała, że popełniono morderstwo. Czy Maisie wymieniła tamtej nocy imię Mitchella?

Stacie: Nie, mówiła „on”, ale nie potrafiła powiedzieć, o kogo chodzi.

Kellie: Co było dalej?

Stacie: Wszczęto poszukiwania Seraphine. Ale opowiemy o tym po krótkiej przerwie na reklamę.

21

Maisie

Lipiec 1999

Kiedy następnego ranka Maisie otworzyła oczy, pierwsze, co przyszło jej na myśl, to że kolejny raz po przebudzeniu jest sama. W namiocie było ciepło i wciąż pachniało seksem, ale Ric zniknął. Rozsunęła i podniosła klapę, spodziewając się, że ujrzy go na zewnątrz, przygotowującego śniadanie, lecz mimo że w obozowisku niewiele się działo, nie zobaczyła go nigdzie w pobliżu. Może miał ochotę na poranną kąpiel pod wodospadem albo na jogging. Uświadomiła sobie, że nawet nie wie, czy Ric jest typem biegacza. Niewykluczone, że należy do tych fanów fitnessu, którzy wstają o piątej rano, żeby przed świtem pobiegać i pomedytować. Nic na to nie wskazywało, ale skąd miała wiedzieć, jaki jest naprawdę? Tak jak nie wiedziała, jaka sama jest, kiedy nie ciąży na niej obowiązki i odpowiedzialność. Czy była z tych, którzy lubią rankiem biegać? Może gdyby nie musiała robić siostrze śniadania, karmić i przewijać niemowlęcia, sama szykować się do pracy... A jeśli była sową, która nie kładzie się spać przed pierwszą w nocy i wstaje dopiero o jedenastej? Nigdy nie miała okazji, by to sprawdzić. Najwyższa pora.

Namiot Sery był jeszcze zamknięty, więc Maisie ubrała się, wzięła swoją kosmetyczkę z przyborami do mycia i ruszyła nad wodospad, licząc na kolejne sam na sam z Rikiem.

W nocy było cudownie. Po tym, jak przerwano im w wodzie, poszli do jego namiotu, ściągnęli mokre kostiumy kąpielowe, wyrzucili je na zewnątrz i padli na śpiwór kompletnie nadzy. Maisie nie zdążyła nawet poczuć skrępowania, bo Ric od razu przystąpił do rzeczy – zaczął całować ją w usta, potem w szyję, obojczyki, piersi i sutki. Jeszcze czuła jego język, schodzący coraz niżej, aż odnalazł miejsce, które wcześniej pieścił palcem.

Pod tym samym wodospadem byli teraz oni dwoje – Ric i Sera. Ich widok zaskoczył Maisie. Żadne z nich jej nie zauważyło, więc cofnęła się nieco. Nie słyszała, co mówią, ale nie przedstawiali sielskiego obrazka. Sera, skrzywiona ze złości, wymachiwała palcem przed nosem Rica, który wznosił ręce w geście mówiącym: „No co?”.

Ona wie, że przespał się ze mną, i jest wściekła, pomyślała Maisie. Nie miała pojęcia, jak odgadła, że właśnie to jest powodem ich kłótni, ale była tego pewna.

Sera cisnęła czymś w Rica i odwróciła się w tę stronę, gdzie stała ukryta Maisie. Poruszając się jak najciszej, Maisie pospieszyła więc do swojego namiotu. Kiedy usłyszała, że Sera krząta się w obozie, rozsunęła zamek przy klapie i wystawiła zza niej głowę, jakby spędziła w środku całą noc.

– Cześć! – zawołała najwesелей, jak tylko mogła.

Sera spojrzała na nią tak, jakby chciała jej powiedzieć, dokąd może sobie pójść. Ale zamiast tego przywołała na twarz wyraźnie nieszczerzy uśmiech.

– Cześć. Dobrze spałaś?

– O tak – odrzekła Maisie. – A ty?

– Świetnie, dzięki.

Maisie wyszła z namiotu i udała, że rozgląda się wokół.

– A gdzie Ric?

– Kąpie się – oznajmiła Sera. – Powiedział coś w stylu, że chce zmyć z siebie swoje błędy.

Dla Maisie te słowa były jak policzek. Chyba się tak nie wyraził? Nie, na pewno nie, a Sera po prostu próbuje się na niej odegrać; jest zraniona, zazdrosna, że Maisie

i Ric nawiązali porozumienie poza nią. Tak, to objaw zazdrości, nie ma się czym przejmować. Kiedyś – jeszcze trzy dni wcześniej – zachowanie Sery by nią wstrząsnęło. Jednak czuła, że dorasta, nabiera odporności.

– Ale nieważne – ciągnęła Sera od niechcienia, przygotowując się do zadania ciosu, którego Maisie się nie spodziewała. – Odłącza się od nas. Chce zboczyć ze szlaku, żeby coś zobaczyć.

– Możemy pójść z nim – rzuciła Maisie. Jej świeżo nabyta odporność zniknęła w jednej chwili. – Co takiego zamierza zobaczyć?

Sera wzruszyła ramionami.

– Nie chce nas zabrać ze sobą. Powiedział, że tylko będziemy go spowalniać. Może potem nas dogoni, ale nie wiadomo.

Dla Maisie jednak wszystko było wiadome. Miała straszne przeczucie, że kiedy Ric się od nich odłączy, już więcej go nie zobaczy.

*

Gdy Ric wrócił do obozu, był jakiś inny. Surowszy, bardziej stanowczy. Wszystko, co mówili do tej pory, wisiało między nimi jak skażone powietrze. W milczeniu złożyli namioty, a potem Ric się z nią pożegnał, jak z obcą osobą, którą prawdopodobnie dla niego była. Chciała chwycić go za rękę, prosić, żeby poszedł z nimi, nie zostawiał jej, ale to byłoby głupie i żalosne – i nawet dawna Maisie nie zniżyłaby się do czegoś takiego. Zamiast tego stała i patrzyła, jak Ric odchodzi, mając nadzieję, że nie widzi go ostatni raz.

Listopad 2019

Wyciągam okrągły składany stolik, który tkwił za kanapą w oknie wykuszowym w naszej sypialni, rozkładam go i sadowię się przy nim z laptopem, w miejscu, z którego mam widok na całą ulicę. Mimo lęku, z jakim myślę o przeszłości, i mimo że zawsze byłam ostrożna, nigdy wcześniej nie patrzyłam na swój dom pod kątem bezpieczeństwa. Teraz widzę, jak łatwo dostać się do ogrodu na tyłach – wstępu broni jedynie dość licha boczna furka. Za pracownią biegnie żywopłot i chociaż świetnie osłania przed ciekawskimi spojrzeniami z zewnątrz, to również bez trudu można się za nim ukryć. Już sobie wyobrażam, jak Mitchell Dyke, ubrany na czarno, czai się w mroku, między żywopłotem a pracownią, i obserwuje moją rodzinę siedzącą w salonie. Mam ochotę nakrzyczeć na samą siebie za głupotę. Dlaczego wcześniej nie namówiłam Roba, żeby założyć kamery? Teraz jestem o krok do tyłu, a to niekorzystna sytuacja.

Pierwszy ochroniarz, do którego dzwonię, prosi o zdjęcia terenu wokół domu i życzy sobie tysiąc funtów za instalację czterech kamer ze stałym monitoringiem. Dzwonek z podglądem to już tylko trzysta funtów – informuje tonem sugerującym, że powinnam być mu za to wszystko dozgonnie wdzięczna. Muszę przyznać, że ten koszt powala mnie prawie tak jak samo włamanie. Kamery, które znajduję na Amazonie, kosztują niespełna pięćset funtów, a sprawiają wrażenie całkiem przyzwoitych, tyle że jest jeden szkopuł: nie mam pojęcia, jak je zainstalować. Nie chcę dawać Robowi powodu, żeby się wycofał albo zmienił zdanie, bo gdyby musiał wspinać się po

drabinie i sam montować coś na budynku, na pewno by się rozmyślił. Taki sam efekt odniósłby jednak rachunek na tysiąc funtów.

Wyglądam przez okno, patrząc na ulicę w dole. Mieszkamy w porządnej okolicy: stoją tu wiktoriańskie domy z zadbanymi ogródkami od frontu, latem pełnymi kwiatów. Od czasu do czasu spotykamy się z sąsiadami i znamy nawzajem swoje nazwiska, ale nikt się nikomu nie narzuca. Na pewno bym zauważyła, gdyby jeden z domów został wynajęty albo wprowadził się tu ktoś nowy, a nawet jeśli uszłoby to mojej uwagi, Gina od razu powiadomiłaby mnie o tym na WhatsAppie.

Kiedy więc patrzę na ulicę, jestem prawie pewna, że Mitchell nie obserwuje mnie z okien naprzeciwko. W takim razie skąd? Stojący na ulicy mężczyzna zwróciłby uwagę jednej z licznych niepracujących mam, a przecież mieszka tu także kilka pracujących zdalnie, w domu. To nie jest miejsce dla kogoś, kto chciałby się przyczaić w jakimś niecnym celu.

Drugi ochroniarz, do którego dzwonię, Terry, to, jak się okazuje, kobieta, i podaje już znacznie bardziej przystępną cenę. Chyba słyszy w moim głosie napięcie, bo kiedy pytam, jak szybko może zainstalować monitoring, odpowiada, że w następnych tygodniach jest zajęta, ale właśnie jutro wzięła dzień wolny, żeby pomóc przyjaciółce w przeprowadzce, a że do kupna domu ostatecznie nie doszło, to gdybym chciała, mogłaby przyjechać. Mam świadomość, że nie powinnam podejmować takich decyzji bez konsultacji z Robem, ale zależy mi, żeby w jakimś stopniu odzyskać kontrolę nad sytuacją, dlatego mówię, że bardzo mi to odpowiada. Umawiamy się na następny dzień, o dziesiątej, pod warunkiem że prześlę jej plan domu i wskażę, gdzie mniej więcej miałyby zainstalować kamery – a ona na miejscu doradzi mi, jaki kąt ustawienia byłby najlepszy. „Chce pani, żeby monitoring obejmował trzysta sześćdziesiąt stopni?”, pyta. A ja odpowiadam: „Tak, jak najbardziej”.

Tak więc przez resztę dnia – jest dopiero dwunasta – siedzę przy stoliku w swoim punkcie obserwacyjnym i sporządzam plan domu, zastanawiając się, którądy najłatwiej dostać się do środka. Archie leży zwinięty u moich stóp niczym

termofor. Tego dnia dzieci odbiera ze szkoły Rob, więc kiedy za piętnaście trzecia pies zaczyna skomleć, pochylam się i głaszczę go po głowie.

– No dobrze – mówię, kolejny raz szybko zerkając na ulicę. – Nie mogę się tu ukrywać w nieskończoność. Chodźmy na spacer.

Na dźwięk tego magicznego słowa Archie zrywa się i zaczyna wokół mnie biegać.

– Przestań! – Śmieję się. – Jeszcze mnie przewrócisz z tej głupiej radości.

Chociaż wiem, że nie rozumie, co mówię, szczeka wesoło i pędzi tam, gdzie trzymamy szelki i obrozę.

Archie wciąż się nie nauczył, że jeśli będzie stał spokojnie, kiedy zakładam mu szelki, spacer nastąpi szybciej; kręci się i podskakuje, dlatego wychodzimy dopiero po dziesięciu minutach. Po tym, co zdarzyło się przed południem, jestem niezwykle czujna i on pewnie to wyczuwa, bo jest bardziej uciążliwy niż zwykle, ciągnie mnie i prowadzi zygzakiem jak nawiedzony. Ostatnio szkolenie idzie nam lepiej, dzisiaj jednak nie mam na to siły.

Docieramy na łąkę, gdzie spuszczam Archiego ze smyczy, a on odbiega, ale wraca co kilka minut po nagrodę w postaci przysmaku, po czym znówu szaleje w trawie. Dalej, za łąką, przepływa strumyk i wiem, że pies w końcu do niego wskoczy i przyjdzie cały mokry. Wreszcie mogę się odprężyć – widać stąd okolice i jak okiem sięgnąć, nikt się nie zbliża. Wzdycham. Takie ma teraz być moje życie? Będę rozglądać się wokół za każdym zakrętem? Wprawdzie na to zasłużyłam, ale nie miałam złych intencji. Nie chciałam, żeby to Mitchell odpowiedział za coś, co było moją winą. Jednak został aresztowany i oskarżony, a wtedy było już za późno, żebym powiedziała prawdę. On z pewnością patrzy na to inaczej. Łatwo robić z siebie ofiarę, ale prawda jest taka, że według wszystkich jestem podła, zła. I zasługuję na to, co mnie spotyka.

Dopiero gdy o wpół do czwartej wyjmuję telefon, widzę, że Rob dzwonił dwa razy. Oddzwaniam z bijącym sercem, mając nadzieję, że nic go nie zatrzymało. Pani

Murray poczeka z dziećmi w szkole, ale nie lubię żerować na jej dobroci tylko dlatego, że Rob nie może ani razu dotrzymać obietnicy i wcześniej wyjść z pracy.

– Jesteś w domu? – pyta teraz nerwowo i serce podchodzi mi do gardła.

Sądząc po jego głosie, jest przerażony.

– Nie, wyszłam z Archiem na spacer. A dlaczego pytasz? Spóźnisz się po dzieci?

– Nie, odebrałem George'a. Faye nie było, miała wrócić do domu autobusem.

– Jak to „autobusem”? Przecież mówiłam pani Murray, że ty odbierasz dziś oboje.

W pierwszej chwili nie dociera do mnie, że to poważna sprawa. Rob musiał się pomylić, pani Murray nie pozwoliłaby Faye wrócić do domu autobusem, wiedząc, że Rob przyjedzie po dzieci. Żartowała nawet, że mamuśki się ucieszą, gdy go zobaczą.

– Twierdzi, że zadzwoniłem wcześniej, by powiedzieć, że zabieram George'a do lekarza i że może wsadzić Faye do szkolnego autobusu. A ty wyjdiesz po nią na przystanek.

Wtedy uświadamiam sobie z całą mocą, co to oznacza. Moja córka jedzie sama autobusem już prawie dwadzieścia minut i kiedy z niego wysiądzie, nikt nie będzie na nią czekał.

To jeszcze nie jest najgorsze, mówi mi głos w głowie. Bo jeśli wysiądzie i ktoś będzie na nią czekał? Ale nie ja?

23

Maisie

Lipiec 1999

– Powtórz. To dokąd Ric chce iść?

Sera westchnęła. Maisie wiedziała, że jest męcząca, ale nie mogła zrozumieć jego nagłego zniknięcia. Przecież nie wybrał się na zakupy. Droga była jedna – jeśli ktoś z niej schodził, ryzykował, że zabłądzi.

– Jak mówiłam, postanowił pójść i zobaczyć coś, o czym słyszał od kumpla. Chodzi szybciej niż my, więc nas dogoni.

Maisie chciała zapytać, dlaczego sam jej o tym nie powiedział albo co jest powodem, że nie mogą pójść tam wszyscy razem, skoro to coś niesamowitego, ale nie mogła wyjawic, czemu czuje się urażona, że wyruszył w drogę bez niej. Sera sądziła, że Ric jest dla Maisie jedynie znajomym, turystą, przypadkowo spotkanym na szlaku przed trzema dniami. I właściwie ma rację, uświadomiła sobie Maisie. Ric nic nie jest jej winien. Mimo to czuła wielkie rozczarowanie, kiedy składały namioty, pakowały swoje rzeczy i ruszały znad wodospadu. Miała wrażenie, jakby zostawiała nad wodą cząstkę siebie, może ukrytą w jakiejś pieczarze. Wydawało jej się, że coś się skończyło, jakby układ w grupie uległ zmianie, zepsuło się coś, czego nie da się już naprawić. Nie wiedziała, jak bardzo ma rację.

Dopiero kiedy doszły do przeprawy promowej kilka kilometrów dalej – tylko tą drogą można było dostać się do Nitinat Narrows – i Maisie się zawahała, Sera wybuchnęła.

– Powiedział, że nas dogoni, więc to zrobi! – rzuciła wrednym tonem, jakiego Maisie jeszcze u niej nie słyszała. – Nie musisz tak cierpieć. To żenujące.

– Wcale nie cierpię – odparła Maisie urażona. – Nie wiem, o czym mówisz.

Seraphine mruknęła coś, czego Maisie nie zrozumiała, i wzięła swój plecak.

– Jeśli przegapimy ten prom, możemy nie dostać się na drugą stronę przed przyływem. Idziesz? Czy chcesz czekać na Rica?

Maisie chciała czekać, dziwnie jej było bez niego, ale słysząc sarkazm w głosie Sery, nie śmiała tego powiedzieć. Zresztą Sera miała rację, szedł szybciej niż one i po południu mógł je bez trudu dogonić.

– Chętnie wróciłabym tym promem do cywilizacji – parsknęła gderliwie Sera, stawiając plecak na pokładzie.

Maisie to zastanowiło. Nie widziała, żeby Ric używał telefonu, więc pewnie nie miał jak skontaktować się z Serą – ani ona z nim. Gdyby więc Sera wróciła promem na początek szlaku, Ric by się o tym nie dowiedział. Szedłby dalej naprzód, szukając siostry, i znalazłby tylko Maisie.

Ogarnęło ją poczucie winy, że w ogóle rozważa taki scenariusz. Sera zaprzyjaźniła się z nią wcześniej niż Ric – gdyby Maisie teraz zachęciła ją do powrotu, by sama mogła spotkać się z Rikiem, na jaką przyjaciółkę by wyszła? Nie lepszą od Ruth, która wystawiła ją do wiatru. Nie, nie mogła tak zrobić.

– Żałowałabyś, że nie przeszłaś całej trasy – powiedziała. – Po co w ogóle tu przyjeżdżać, jeśli chce się w połowie zrezygnować? Czy w domu byłoby ci lepiej niż tutaj?

– Przynajmniej nie miałabym w majtkach komarów – nadal zrzędziła Sera, ale zaczynała ustępować.

Podczas krótkiej przeprawy obie milczały, a kiedy wysiadły na drugim brzegu, Sera ruszyła dalej szlakiem, nie patrząc, czy Maisie idzie za nią. A Maisie przemknęło przez myśl, czy się nie zatrzymać i nie przebyć reszty drogi w pojedynkę. Sera w takim stanie była mało zabawna, a ona nie miała wobec niej żadnych zobowiązań.

Potem, wracając pamięcią do tego momentu, żałowała, że nie podjęła innej decyzji. To znaczy nie zatrzymała się, nie znalazła miejsca na nocleg i nie pozwoliła, by Cunningham poszła swoją drogą. Albo że jeszcze wcześniej, na przystanku autobusowym, nie wsiadła do autobusu sama, z pieniędzmi w portfelu. Skąd jednak mogła wiedzieć, gdy tak się wahała, czy podążać za nową przyjaciółką, czy iść dalej sama, jak brzemienne w skutki okaże się ta decyzja?

24

Listopad 2019

– Musisz jak najszybciej jechać na przystanek – mówię do Roba, starając się stłumić panikę w głosie. – Może nawet zdążysz... autobus zatrzymuje się po drodze kilka razy. Tam się spotkamy.

Z domu na przystanek mamy dwie minuty piechotą, tyle że to w przeciwnym kierunku. Na łąkę idzie się piętnaście minut, ale jeśli pobiegnę, będę na przystanku za dziesięć minut. Modlę się, żeby Rob i Faye już tam byli.

Chcę ruszać, gdy uświadamiam sobie, że nie widzę w pobliżu Archiego. Niech to szlag!

– Archie! – wołam. – Archie, do nogi!

Nic. Nie ma po nim śladu. Zwykle jest posłuszny, reaguje na wezwanie, i w normalnych okolicznościach nie wpadałabym w panikę – pewnie po prostu mnie nie słyszy – ale dziś nie mam czasu na szukanie psa. Czy mam go zostawić? Oczywiście, córka jest ważniejsza, tylko jeżeli popędzę na przystanek i Rob już odbierze Faye, a ja będę bez Archiego... wolę nawet o tym nie myśleć.

– Archie! – wręcz wrzeszczę, biegnąc tam, dokąd mógł się oddalić. – Archie, wracaj!

Nie mogę zwlekać dłużej, muszę go zostawić. Któraś z nas, Rob albo ja, musi zdążyć na ten przystanek, bo inaczej możemy już nigdy nie zobaczyć naszej córki. Może wszystko dobrze się skończy, kierowca autobusu nie zostawi Faye samej, jeśli

nie będzie na nią czekało żadne z rodziców, ale nie mogę na to liczyć, wiedząc, że ktoś dzwonił do szkoły, podając się za Roba. I że ten ktoś zrobił to celowo.

Odwracam się i biegnę w stronę domu. Serce wali mi w piersi na myśl, że Archie się przestraszy i będzie zdezorientowany, kiedy wróci i nie znajdzie mnie tam, gdzie powinnam być. Czy będzie na mnie czekał? Czy też popędzi z powrotem, przez ulice, wśród samochodów? Decyzja, żeby go zostawić, jest bolesna, ale nie mam wyboru.

Dobiegam na koniec łąki i wtedy pędem mijają mnie brązowa kudłata kula. Niemal wybucham płaczem, widząc Archiego, który wyprzedza mnie, jakby to była zabawa. Cholerny pies!

– Chodź do mnie – mówię i zatrzymuję się tylko na chwilę, żeby wziąć go na smycz.

Archie jakby wyczuwa mój nastrój, bo przystaje i od razu siada. Kiedy znowu jest bezpiecznie na smyczy, szybko ruszam dalej, co on oczywiście przyjmuje z wielkim zadowoleniem, mnie jednak z każdym krokiem serce bije szybciej i szybciej. Proszę, żeby tylko nic jej się nie stało! – powtarzam w myślach, pędząc przed siebie. Proszę, żeby tylko mojej córeczce nic się nie stało.

Gdy jestem już u wylotu ulicy, z daleka widzę zatrzymujący się autobus, ale samochodu Roba nie ma. Policji też nie – czy powinnam po nich zadzwonić? A jeśli Faye wysiądzie i ktoś ją porwie...

Archie wyrywa się przede mną, jakby czuł, że czas nagli. W płucach pali mnie z wysiłku – od lat tak nie biegłam – i jeżeli tylko odbiorę Faye całą i zdrową, zaraz zapiszę się znowu na jakiś fitness.

Autobus powoli rusza, a ja ledwie powstrzymuję krzyk. Faye jest na przystanku. Stoi tam, widzę ją, ale pozostaje poza moim zasięgiem. I nie jest sama.

25

Grudzień 1999

CZY Z ZAGINIĘCIEM SERAPHINE CUNNINGHAM MAJĄ COŚ WSPÓLNEGO SATANISTYCZNE OBRZĘDY?

„Sunday Echo”

Mitchell Dyke, oskarżony o zabójstwo zaginionej turystki, Seraphine Cunningham, był – według jego dawnych znajomych – satanistą i wiccaninem.

„Ubierał się na czarno i farbował włosy na czarno – mówi jego kolega z klasy. – Słuchał heavy metalu. Jeśli odtwarza się utwory heavymetalowe od końca, można w nich usłyszeć przesłanie diabła”.

W USA satanizm szerzy się od czasu tak głośnych spraw jak mordy dokonane przez Rodzinę Mansona, historia Michelle Smith, autorki Michelle Remembers, procesy rodziny McMartinów (choć McMartinowie zostali później uniewinnieni, wiele osób wciąż uważa, że byli winni), a ostatnio zabójstwa w Robin Hood Hills. Śmierć trzech chłopców, zamordowanych w Robin Hood Hills, była szokiem dla mieszkańców West Memphis i rozeszła się szerokim echem po całych Stanach Zjednoczonych. Zaledwie sześć lat temu, w 1994 roku, trzech nastolatków, którzy podobno wielbili diabła i dokonywali satanistycznych obrzędów, zostali skazani za zabicie rok wcześniej Stevena Brancha, Christophera Marka Byersa i Jamesa Michaela Moore'a.

Po zaginięciu Seraphine władze obawiają się, że praktyki satanistyczne, obejmujące rytualne akty płciowe, składanie ofiar i picie krwi dziewic, dotarły do Wielkiej Brytanii. Podejrzewa się, że urodzona w Anglii Cunningham poznała rodaków Mitchella Dyke'a, Kaz Rigby i Keddiego Everetta na szlaku West Coast w Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej. Są oni, jak sami mówią, wyznawcami wicca, a Mitchell Dyke miał nawet przy sobie magiczny dziennik, w którym opisywał swoją drogę do świata magii i czarów, praktyki i obrzędy. Dyke podobno zamieścił tam cytaty ze sławnego okultysty, Aleistera Crowleya, i zaklęcia służące do przywoływania demonów zemsty. Prokuratura postara się dowieść, że zamordowanie Cunningham miało być częścią jednego z takich obrzędów.

26

Maisie

Lipiec 1999

Rozbiły obóz nad Cribs Creek i Maisie przez cały czas zastanawiała się, kiedy od poczucia wolności i kontroli nad własnym życiem przeszła do obsesyjnych rozważań, dlaczego Ric je opuścił, a Sera nagle zachowuje się jak nadąsane dziecko. Co zaszło między rodzeństwem, zanim obudziła się tego ranka?

Plaża nad Cribs Creek była wąska i pełna ludzi, którzy się tam zatrzymali. Maisie wolałaby, żeby poszły dalej, do odległego o cztery kilometry Carmanah, ale w powietrzu wisiła wilgoć i zanosilo się na deszcz, więc obawiała się, że zacznie padać, a ona będzie potem pluła sobie w brodę. Dlatego choć wiedziała, że obozowisko w Carmanah jest znacznie większe i dzięki temu na pewno mniej zatłoczone, rzuciła swoje rzeczy zaledwie trzy metry od stojącego już tam namiotu i zaczęła się rozpakowywać. Sera zerknęła na nią, demonstracyjnie odeszła tak daleko, jak tylko pozwalał na to wyznaczony obszar, i tam położyła swój plecak. Maisie pomyślała, że przy odrobinie szczęścia, zanim obudzi się następnego ranka, tamtej już nie będzie i w pojedynkę dotrze do końca trasy, a potem wróci samolotem do domu, nie zaprzatając sobie więcej głowy głupimi myślami o porzuceniu dawnego życia i podróżowaniu z rodziną Addamsów. Nie potrzebowała ich głupich kłótni, wystarczały jej te we własnym domu. Postanowiła już, że wszystko w jej

życiu się zmieni. Wyprowadzi się, znajdzie sobie jakiś kąt do wynajęcia – może mieszkanie ze współlokatorką w jej wieku. Pójdzie do college’u na jakiś kurs, zdobędzie zawód. To, że nie chce mieć więcej do czynienia z tymi cwaniaczkami, nie znaczy, że ma wracać z podwiniętym ogonem. Wróci jako nowa osoba i zacznie nowe życie.

Rozstawiła namiot, weszła do środka i właśnie zamierzała wyjąć jedzenie – to powinno sprawić, że Sera od razu tu przybiegnie – gdy usłyszała zbliżające się do sąsiednich namiotów głosy. Wystawiła głowę na zewnątrz i zobaczyła dziewczynę i dwóch chłopaków, których poznała na przystanku autobusowym – wciąż byli ubrani od stóp do głów na czarno.

– Cześć! – zawołała dziewczyna, Kaz, jak przypomniała sobie Maisie. – Żyjesz!

– Ledwo, ledwo – odpowiedziała z uśmiechem Maisie, ucieszona, że widzi życzliwą twarz. Po tym, jak tego dnia zachowywała się Sera, trójka znajomych objawiła się w samą porę. – Jak jest z tamtej strony szlaku?

– Powinniśmy zatrzymać się w Carmanah – odezwał się Keddie zrędlwym tonem, choć mimo wszystko dość pogodnie. – Tamtejsze obozowisko jest znacznie większe niż to. Ale tych dwoje chciało pokonać dziś dłuższy odcinek trasy.

– Tam szlak jest trudny – ostrzegła ją Kaz. – Wprawdzie nie aż tak, jak twierdzą w przewodnikach turystycznych, ale widzieliśmy, jak kogoś, kto złamał nogę w kostce, zabiera do szpitala helikopter.

– Chociaż ataków niedźwiedzi nie było – włączył się Mitchell.

– To już coś. – Maisie się uśmiechnęła.

Popatrzyła na Serę, która rozstawiała namiot, najwyraźniej zagubiona bez pomocy brata. Poczowała wyrzuty sumienia, że sama ze wszystkim sobie poradziła, a teraz śmieje się i żartuje ze znajomymi. Ale przecież to nie ona postanowiła rozłożyć się tak daleko.

– Wędrujesz samotnie? – zapytała Kaz.

Maisie przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć. Przecież znała Serę dopiero od kilku dni, przyleciała do Vancouver sama i sama dotarła na szlak.

– Tak. – Wzruszyła ramionami. – Miała wybrać się ze mną przyjaciółka, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

– Taaa – mruknęła Kaz. – Też mam takie przyjaciółki.

– Ja widocznie przyciągam ten typ – odrzekła Maisie.

Znowu spojrzała w stronę Sery, której udało się zwerbować do pomocy chłopaka z sąsiedniego namiotu.

– Dlatego wolę trzymać z tymi łobuzami – zażartowała Kaz, wskazując na swoich towarzyszy. – Nie mają nikogo lepszego, z kim mogliby ode mnie uciec.

– Może Keddie nie ma – wtrącił przekornie Mitchell. – Ja po prostu zlitowałem się nad waszą dwójką. Żadne z was nie umie zaparzyć porządnej kawy. Beze mnie byście przepadli.

– Skąd się znacie? – zapytała Maisie.

– Kaz i Mitch chodzili razem do szkoły – odezwał się Keddie. Mówił z lekkim australijskim akcentem, podczas gdy Kaz z wyraźnie brytyjskim. – Przeniosłem się do Anglii z Australii i poznałem tych dwoje w college’u. Mieliśmy zacząć studia dwa lata temu.

– Ale zrobiliśmy sobie rok przerwy – wtrąciła z uśmiechem Kaz. – Ja wracam do nauki w przyszłym roku, będę studiować ekonomię. Wiem, wiem, nie wyglądam na studentkę ekonomii. Będę musiała zmyć czarną szminkę i poczekać, aż odrosną mi włosy, żeby pozbyć się dredów, ale do tego czasu mogę wyglądać, jak chcę.

– Z czego żyjecie? – Maisie naprawdę to intrygowało, bo raczej nie sądziła, żeby tych troje było kieszonkowcami.

– Mitch jest sprawny manualnie – wyjaśniła Kaz. – Ima się różnych zajęć. Keddie pracuje w barach, zna się trochę na robieniu koktajli. Ja uwodzę starszych panów, wyłudzam od nich oszczędności całego życia i nakłaniam ich do zmiany testamentu na moją korzyść.

Maisie musiała otworzyć usta ze zdumienia, bo Kaz parsknęła śmiechem.

– Żartuję – rzuciła. – Dorabiam, zaplatając turystom włosy i robiąc im dredy. A ty?

– Ja... – Maisie już miała wyznać, że jest tylko turystką, że poza urlopem prowadzi normalne życie, pracuje w kawiarni, a w weekendy zajmuje się siostrami. Ale teraz to już nie odpowiadało prawdzie. Postanowiła przecież, że będzie kimś innym. Podała więc nową wersję. – Dostałam się w Anglii do college'u. I też zrobiłam sobie przerwę w nauce. Będę studiować literaturę angielską.

– Cool – rzuciła Kaz. Nikt jeszcze nie mówił o Maisie, że jest cool. – Właśnie zamierzaliśmy coś upichcić i mamy butelkę alkoholu, której nie chce nam się już dłużej nieść. Może przyłączysz się do nas?

Maisie jeszcze raz sprawdziła, jak radzi sobie Sera – jej namiot już stał, ale ona sama zniknęła z pola widzenia.

– Chętnie – powiedziała. – Dlaczego nie?

Listopad 2019

Przestaję biec i pochylam się, opierając ręce na udach. Faye jest z Robem. To Rob.

– O mój Boże. – Ledwie dyszę, gdy do nich dochodzę. – Jesteście! Nic ci się nie stało, Faye?

Przekazuję Robowi Archiego na smyczy i ujmuję w dłonie buzię córeczki. Nie mogę uwierzyć, że już drugi raz w ciągu czterech dni omal jej nie straciłam. Obiecałam sobie, obiecałam, że od tej pory będzie bezpieczna, ale przecież nie mogę czuwać nad nią w każdej minucie.

– Co się stało, do cholery? – pyta Rob i widzę, że jest bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek do tej pory.

Dostrzegam George'a bawiącego się w samochodzie, czego wcześniej w panice nie zauważyłam. Czuję, że tracę zmysły. Muszę zawieźć moje dzieci bezpiecznie do domu, natychmiast.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam i właściwie nie mijam się z prawdą. – Wracajmy do domu. Muszę się czegoś napić, a później zastanowimy się nad tym. Przejdę się z Faye i Archiem, a ty wróc samochodem. – Spoglądam przed siebie i mimo woli myślę: czy on nas teraz obserwuje? Czai się gdzieś, gotów porwać Faye? A jeśli to było kolejne ostrzeżenie, że może zaatakować w każdej chwili, nawet tam, gdzie czujemy się bezpieczni?

– Dlaczego się wściekasz, skoro sam powiedziałaś, że mam wrócić do domu autobusem? – zwraca się Faye do ojca. – Jeździłam nim już mnóstwo razy i nigdy nie byłeś taki zły.

– Trochę się poplątało, kotku – mówię do niej, ściskając ją za rękę. – Mama nie wiedziała, że ma wyjść po ciebie na przystanek, ale na szczęście tata z George’em zdążył przyjechać i wszystko jest w porządku. Tylko biedny Archie ma już dość!

Faye, udobruchana, puszcza moją dłoń i idzie obok Archiego.

Kiedy wchodzimy do domu, Rob wita mnie kieliszkiem wina. Jest wcześnie, ale nie obchodzi mnie to. Obejmuje mnie ramieniem, oczy ma pociemniałe z troski. Zwykle wystarczy już sam jego dotyk, żebym się uspokoiła – ale nie dzisiaj.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Kiwam głową, nie patrząc na niego, w obawie, że zaraz wybuchnę płaczem.

– Tak, teraz, gdy wiem, że jest cała i zdrowa.

– Dlaczego puścili ją samą? Pani Murray twierdziła, że ktoś zadzwonił do szkoły i powiedział, że dziś Faye ma wrócić do domu autobusem, ale to przecież nie może być prawda.

– W szkole jest jeszcze inna Faye. – Kłamstwo przychodzi mi bez trudu, ale muszę mówić cicho, bo inaczej mała usłyszy i mnie wyda. Szkoła jest nieduża i nasza córka na pewno by wiedziała, gdyby chodziła tam dziewczynka o tym samym imieniu. Tak już ma. – Więc to pewnie dzwonił jej ojciec. Dam głowę, że w tej chwili na jakimś innym przystanku stoi druga para rodziców i zastanawia się, gdzie jest ich córka.

– A niech to, co za bajzel – mamrocze Rob. – Porozmawiam na ten temat z kierownictwem szkoły.

– To zwykłe nieporozumienie – próbuję go uspokoić. – I wszystko dobrze się skończyło.

Przecież nie mogę mu powiedzieć, że to nie jest żadne nieporozumienie, że pani Murray zrobiła jedynie to, czego sobie życzył mężczyzna, który podał się za Roba. I mam teraz poważniejszy problem, bo najwyraźniej Mitchell wie nie tylko, gdzie

mieszkam, ale także do jakiej szkoły chodzą moje dzieci. W dodatku zna imię mojego męża, a może także jego miejsce pracy. Dużo o mnie wie, a ja o nim wiem tylko jedno. Że nie zabił Seraphine Cunningham. Ale chyba próbuje zabić mnie.

Sierpień 1999

WESOŁA JAK SKOWRONEK

„Morning Herald”

Angielska turystka, Maisie Goodwin, zabrana helikopterem ze szlaku West Coast po rzekomym brutalnym ataku na jej towarzyszkę, pierwszy raz od tego czasu pokazała się publicznie i jak mówią dobrze poinformowane osoby, sprawiała wrażenie „wesolej i odprężonej”. Goodwin widziano roześmianą podczas spaceru z funkcjonariuszem policji w ogrodzie botanicznym VanDusen, gdzie kupili sobie paszteciki i kawę; później wrócili na posterunek, prawdopodobnie na dalsze przesłuchanie.

Od tego rzekomego ataku, po którym szlak West Coast zamknięto dla turystów, by przeprowadzić tam poszukiwania, Goodwin wielokrotnie odmawiała wypowiedzi dla mediów i nie chciała udzielić prasie żadnych informacji, które mogłyby być pomocne w rozwikłaniu sprawy. Pojawiły się pytania o jej niewinność, gdyż była jedynym świadkiem zdarzenia i ostatnią osobą, która widziała Seraphine Cunningham żywą. Świadcowie wspominają o kłótni między nimi, a także o tym, że tuż przed zaginięciem Cunningham obie piły alkohol i zażywały narkotyki.

29

Maisie

Lipiec 1999

Okazało się, że trójka wędrowców ma ze sobą nie tylko jedną butelkę alkoholu. Kiedy zaczęło się zmierzchać, usiedli we czworo przy trzaskającym ognisku: Maisie w bluzie z kapturem, którą zostawił Ric, a Kaz przytulona do Mitcha. Keddie wyjął papierosa o znajomym zapachu i zapalił.

– Dokąd się wybieriecie? – zagadnęła dziewczynę Maisie. – Kiedy już przejdziecie cały szlak?

– Przez jakiś czas na pewno nie na wędrowkę. – Kaz się zaśmiała, żartobliwie rozcierając stopy. – Ja mam dość. Może pojedziemy do Ontario albo do Quebecu. Zdecydujemy na końcu szlaku.

Bez pytania przekazała jej jointa, jakby oczekiwała od niej, że też się nim zaciągnie. Maisie była zadowolona, że Ric pokazał jej, jak to się robi – przy nim mniej bała się ośmieszyć. Serce jej się ścisnęło – żałowała, że nie ma go tu z nimi. Widząc, jak Kaz i Mitch tulą się do siebie przy ogniu, pomyślała, że ona i Ric też by tak mogli, gdyby Sera go nie wkurzyła. Teraz wydawało się oczywiste, że tak właśnie było. Musieli się pokłócić, może Ric wcale nie zawrócił, tylko wysforował się do przodu i zatrzymał w Carmanah, gdzie w tej chwili powinna być.

Zapomnij o nim, nakazała sobie. To był wakacyjny przelotny romans. Przecież prawie go nie znasz. A jednak wiedziała – tak jak wiedzą wszystkie młode dziewczyny – że minie dużo czasu, zanim o nim zapomni. Jeśli w ogóle jej się to uda.

– Więc wy dwoje jesteście razem? – zapytała, ośmielona skrętem, który podała Mitchellowi i Kaz, siedzącym tak blisko, że stykali się udami i ramionami. Keddie się gdzieś ulotnił.

Kaz roześmiała się.

– W pewnym sensie. To znaczy właściwie nie, ale się lubimy.

– Chce powiedzieć – wtrącił z uśmiechem Mitch – że jeśli oboje jesteśmy wolni i mamy ochotę na seks, to się schodzimy.

Kaz trzepnęła go w rękę.

– To nie tak! – zaprotestowała. – Jeżeli potrzebuję trochę czułości, żeby ktoś mnie przytulił, to Mitch jest w tym niezastąpiony. Keddie należy do tych chłodniejszych. Ale w łóżku jest świetny. – Poruszyła brwiami.

Maisie ledwie się powstrzymała, by nie rozdziawić ust. Mitchell prychnął.

– Czyli spałaś z jednym i z drugim? – Uświadamiając sobie, że zabrzmiało to krytycznie, Maisie próbowała się wycofać. – Nie ma w tym nic złego... ja tylko...

Kaz śmiała się już na całego.

– W porządku – rzuciła i pociągnęła łyk z butelki. – Wiem, że kobieta tak nie powinna. Że ma zachować dziewictwo do ślubu, przez całe życie sypiać tylko z jednym facetem i tak dalej. Ja taka nie jestem. Lubię seks. Czasami potrzebuję, żeby ktoś mnie przytulił albo pocałował. A my wszyscy tak dobrze się dogadujemy, że szkoda byłoby zmarnować okazję.

Maisie nie mieściło się w głowie to, o czym mówiła Kaz. Ta dziewczyna była tylko parę lat starsza od niej, a dobrze wiedziała, czego chce od życia, i nie bała się po to sięgnąć, choć miała świadomość, że inni tego nie aprobują. O takiej wolności Maisie nawet nie mogła marzyć. To, jak Kaz się ubierała, jak niekonwencjonalnie żyła, budziło jej podziw.

– A czy ty jesteś zazdrosny? – zwróciła się do Mitcha. – Gdy Kaz sypia z Keddiem?

Chyba pod wpływem trawki i alkoholu pozwoliła sobie na takie śmiałe pytanie. Nic nie mogła na to poradzić – tych troje ją intrygowało.

Mitch pokręcił głową.

– Nie. Lubimy się i rozumiemy, ale to nie miłość. A jeśli nawet, jesteśmy za młodzi, żeby się wiązać. Kto wie, może pewnego dnia Kaz i ja się pobierzemy albo Kaz i Keddie to zrobią, a wtedy ten trzeci zda sobie sprawę, że był frajerem i że pokpił sprawę, ale później będziemy się tym martwić. Myślę, że Kaz wcześniej wyjdzie za jakiegoś beznadziejnego surfera.

– Beznadziejnego surfera? – Kaz zachichotała. – Masz na myśli bosko przystojnego wiccanina, który będzie mnie wielbił w blasku księżyca.

– To wy jesteście wiccanami? – zapytała Maisie. – Zastanawiałam się, czy tylko ubieracie się inaczej, czy to coś więcej.

Kaz pokiwała głową.

– Ja jestem wiccanką. Mitch studiuje okultyzm... nie to, żeby wierzył w szatana ani nic w tym stylu, ale interesują go zbrodnie i kiedy wróci na studia, na psychologię i kryminologię, chce specjalizować się w kultach. Keddie jeszcze nie zdecydował, czym będzie się zajmować.

Maisie zastanawiała się właśnie, gdzie jest Keddie, gdy ten wyłonił się z ciemności z naręczem drewna... i z Seraphine przy boku.

– Znalazłem drugiego samotnego wilka – oznajmił, rzucając drewno na stos. Kaz spojrzała na Serę, a Maisie odniosła wrażenie, że widzi niepokój w oczach nowej koleżanki. – To Sarah.

Sera go nie poprawiła. Patrzyła na Maisie, czekając na jej reakcję.

– My się znamy – powiedziała Maisie. Chciała zachować kontrolę nad sytuacją. – Szliśmy razem przez pewien czas.

– To właśnie uwielbiam w tych wyprawach – zauważył Keddie. – Codziennie zawiera się nowe znajomości. Siadaj, Sarah.

Mitchell, na którego Maisie nie patrzyła od chwili pojawienia się Sery, zerwał się na nogi tak gwałtownie, że Kaz o mało nie wpadła do ognia.

– Proszę. – Zrobił Serze miejsce między sobą a Kaz, a ta wyraźnie się nachmurzyła. – Możesz usiąść koło mnie.

– Dzięki. – Sera przywołała na twarz swój anielski rozbijający uśmiech. – Jesteś bardzo miły. Ale obawiam się, że nie mam żadnego alkoholu, żeby się z wami podzielić.

Typowe, pomyślała Maisie. Będzie przez cały wieczór żerować na innych.

– Ale mam to! – Pokazała przezroczystą torebkę z białym proszkiem.

Na ten widok Keddiemu rozszerzyły się oczy.

– Do diabła! – rzucił i usiadł po drugiej stronie Sery. – To dopiero będzie szalona noc.

Listopad 2019

Pani ochroniarz nazywa się Terry Baker i jeździ vanem w kolorze srebrny mat z umieszczonym na boku logotypem: obiektyw wewnątrz oka. Kiedy zajeżdża pod dom, wyobrażam sobie, że sąsiedzi wyglądają przez okna – nie muszę się bać, że okłamuję Roba, a w ciągu tygodnia wszyscy już będą mieli monitoring. Jak Johnsonowie. Gdy Terry wysiada z samochodu, staram się nie okazać zdziwienia. Jest niziutka, ma niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, do tego długie jasne włosy, nosek jak guzik i zielone oczy. Jak z obrazka.

Na pewno widzi takie miny jak moja ze sto razy dziennie, bo się śmieje.

– Wiem, nie wyglądam na agenta ochrony.

– Przepraszam – mówię, zirytowana na samą siebie, że ją osądzam. – Musi pani mieć dość tego rodzaju spojrzeń.

– Nie przeszkadzają mi – odpowiada, wzruszając ramionami. – To dobrze, że ludzie mnie nie doceniają.

Podoba mi się ta kobieta. Mnie też ludzie nigdy nie doceniali.

– Obejrzałam plany państwa domu. – Rozgląda się po terenie od frontu. – I myślę, że proponowane przez panią rozmieszczenie kamer jest dobre. Obejmą cały obszar, jeśli o to pani chodzi.

– A samochód przy ulicy? – pytam, bo pamiętam, że pod tym właśnie warunkiem Rob zgodził się na to wszystko.

Cóż, tak naprawdę jeszcze nie wie, co się kroi, ale znacznie łatwiej zdołam uzasadnić całe przedsięwzięcie, jeśli dzięki monitoringowi będziemy mieli na oku przynajmniej jego wóz.

– Lepiej uważać z filmowaniem czegokolwiek, co nie dzieje się na państwa nieruchomości – uprzedza Terry. – Ochrona danych. Można to robić, ale należy wystawić znak ostrzegawczy, a jeśli ktoś poprosi o udostępnienie nagrania, trzeba spełnić tę prośbę. Mam takie znaki w samochodzie, jeśli jest pani zainteresowana.

Zastanawiam się nad tym. Tak, niech wie, że jest obserwowany.

– Świetnie – odpowiadam. – No to do roboty. Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję, jeżeli wypiję przed południem za dużo kawy, będę bez przerwy schodzić z drabiny, żeby latać do toalety. Zabiorę się do pracy.

Wszelkie wątpliwości, jakie może budzić we mnie jej wygląd, rozwiewają się w chwili, gdy widzę, jak rozstawia drabinę – robi to jak każdy facet, nawet sprawniej niż mój własny mąż. Rob dostaje zawrotów głowy, kiedy tylko musi sięgnąć dzieci z dachu szopy, więc teraz, patrząc, jak Terry wspina się po szczeblach, cieszę się, że zatrudniłam fachową siłę.

Wracam do środka i próbuję zająć się bieżącymi sprawami – w gruncie rzeczy powinnam pójść do pracowni i wykonać od nowa tamto zamówienie, które musiałam wyrzucić, ale nie byłam w niej od czasu włamania. Czułabym się tam dziwnie, już nie tak bezpiecznie jak wcześniej. Zresztą po tej całej wczorajszej historii z Faye nie mogę swobodnie oddychać.

Zeszłego wieczoru leżałam bezsennie w łóżku i myślałam o tym, co mogłoby się stać, gdyby Rob nie zdążył na przystanek. To, że Tamra gorąco przeprosiła mnie za wszystko dziś rano, kiedy odwiozłam dzieci do szkoły, jeszcze pogorszyło moje samopoczucie. Nie ma pojęcia, co się stało, to nie ona odebrała tamten telefon i jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi jej do głowy, to że ktoś źle usłyszał imię dziecka. Tyle że pod koniec dnia w szkole nie było już żadnego, które zamiast Faye należało wysłać do domu autobusem.

– A Rob jest pewny, że nie dzwonił? Może później po prostu o tym zapomniał? – zapytała, patrząc na mnie ze skruchą.

Oczywiście chciałyby znaleźć wyjaśnienie, które zwolniłoby szkołę z odpowiedzialności, ale prawda jest taka, że pozwolili, by jedno z ich podopiecznych zostało prawie... Boże, nawet nie chcę o tym myśleć. W szkole powinien być monitoring. Choć nie mogę im wyjaśnić dlaczego.

– Może trzeba by wymyślić hasło dla rodziców, kiedy dzwonią, żeby zmienić instrukcje w sprawie odbioru dzieci? – sugeruję.

Tamra patrzy na mnie ze zgrozą.

– O Boże, Laura, czy myślisz, że ktoś chciał, żeby Faye wracała do domu sama?

– Nie wiem, co myśleć, jeśli mam być szczerą – kłamię. – Ale w takiej małej szkole podobne rzeczy się nie zdarzają... Dopóki się nie zdarzą.

Czuję się okropnie, zostawiając ją z tymi słowami, które pewnie wciąż będą dźwięczeć jej w uszach, ale jeśli dzięki temu dwa razy sprawdzi, zanim ponownie wypuści Faye spod swoich skrzydeł, to nic innego się dla mnie nie liczy.

Wpisuję do wyszukiwarki w swoim telefonie na kartę „szczęśliwe szlaki West Coast”. Pojawiają się dwa nowe artykuły, ale nie ma w nich nic ponad to, co podano już w zeszły weekend: że trwają testy, na razie nic więcej nie wiadomo, kanadyjska policja nie chce snuć domysłów.

Nie mogę usiedzieć w miejscu, więc z kubkiem parującej kawy wychodzę przed dom, żeby popatrzeć, jak Terry dokonuje pomiarów i wierci otwory. W pewnym momencie schodzi z drabiny, trzymając coś w ręce. Podaje mi to.

– Zdjęłam tamtą kamerę – mówi. – Nie będą jej państwo już potrzebować, bo te, które zainstalowałam, spełniają to samo zadanie.

Przez chwilę nie mam pojęcia, o co jej chodzi. Potem widzę kamerę, którą wręcza mi niczym dar. Na dachu był już monitoring!

– Nic o niej nie wiem – oświadczam, a ona marszczy brwi.

– Może pani mąż ją założył? Mężczyźni bywają tacy pomocni. Jednak byłoby bardziej, gdyby informowali nas, co robią.

Powinnam zgodzić się z nią i zakończyć tę rozmowę, ale zanim zdążę pomyśleć, odpowiadam:

– On by tego nie zrobił. Nie jest dobry w takich rzeczach, nie poradziłby sobie.

Terry ogląda kamerę.

– Słoneczna. Nie najgorszej jakości, choć nie taka dobra jak te, które właśnie zamontowałam. – Patrzy na mnie z niepokojem. – Jeśli to nie pani ją zainstalowała ani mąż, to powinni się państwo skontaktować z policją.

– Tak zrobimy. – Oczywiście znów kłamię. Nagle coś przychodzi mi do głowy. – A jeśli to nie jedyna kamera?

Kiedy to mogło się stać? Czy ktoś mógł ją zainstalować w nocy, kiedy wszyscy byliśmy w domu? Przypominam sobie, że w zeszłym miesiącu pojechaliśmy na weekend do rodziców Roba. Czy ktoś był wtedy tutaj? Obserwował, jak opuszczamy dom, i wykorzystał okazję? Przeraza mnie ta myśl.

Terry przechyla głowę na bok.

– Ma pani jakieś kłopoty? Wie pani, czyja to może być robota?

Może dlatego, że okazuje mi życzliwość, że jest kobietą albo że po prostu mam już dość tych wszystkich kłamstw, mimo woli mówię prawdę.

– Tak, chyba tak. Kogoś, kogo kiedyś znałam, mężczyzny.

To wystarczy, by uznała, że nęka mnie jakiś szurnięty eks. Kiwa głową i posyła mi smutny uśmiech, który oznacza, że wie, co przeżywam.

– Zajęłam się ochroną właśnie z powodu takiego „kogoś, kogo kiedyś znałam” – wyznaje głosem pełnym współczucia. – Proszę posłuchać, tak jak wspomniałam, nie mam dziś innych zleceń. Chętnie się rozejrzę, sprawdzę, czy nie ma tu więcej takich urządzeń. Potem podam pani kilka informacji, żeby przekazali je państwo policji, i namiary agencji, która wtedy mi pomogła. Będą państwo mieli nowe kamery, monitoring, dzwonek z podglądem. Wyjaśnię, jak z nich korzystać. Mam w samochodzie parę alarmów... żeby poczuła się pani bezpieczniej.

– Dziękuję – odpowiadam z wdzięcznością i jednocześnie wstydem.

Terry zakłada, że jestem, tak jak ona, niewinną ofiarą byłego faceta, który ma obsesję na punkcie kontroli. Nie mogłaby się bardziej mylić. Ale naprawdę potrzebuję jej pomocy, więc trudno, będę kłamała dalej, żeby ją otrzymać. Muszę chronić swoją rodzinę.

– Zrobię nam coś do picia.

*

Kiedy nalewam kawę, Terry puka do tylnych drzwi. Otwieram je – tak, mam już taką manię prześladowczą, że za każdym razem, gdy wchodzę, zamykam je na klucz – i wpuszczam ją do środka. Trzyma w dłoni drugą kamerę.

– Była z tyłu – wyjaśnia.

Jej twarz wyraża gniew w moim imieniu, ale ja jestem jakby otepiała. Więc stąd Mitchell zna mój rozkład dnia. Od jak dawna mnie obserwuje? Teraz moja kolej, myślę. Dobiorę się do ciebie.

– Jezu – szepczę.

– To straszne, do czego ludzie są zdolni. – Terry kręci głową. – Pewne rzeczy, z jakimi się spotykam, sprawiają, że martwi mnie kondycja ludzka. Mężowie szpiegujący żony, skłócenie sąsiedzi, którzy próbują znaleźć coś na sobie wzajemnie... Znałam jednego faceta, który chciał, żebym zainstalowała mu kamery, bo codziennie rano po wyjściu z domu znajdował na trawniku od frontu ludzkie odchody. Ktoś dosłownie zdejmował gacie i srał mu na trawę. Miał koty i myślał, że to sąsiad próbuje dowieść, że załatwiają się w ogrodzie.

– I złapała pani winowajcę?

Uśmiecha się, pociągając łyk kawy.

– Pewnie. To była jego żona.

Śmieję się, choć wcale nie jest mi wesoło.

– Jego żona?

– No. Chciała pozbyć się tych kotów, więc miało wyglądać na to, że sąsiedzi z ich powodu wypowiedzieli mu wojnę. Codziennie wieczorem, kiedy szedł spać,

wymykała się z domu, zadzierała koszulę nocną i załatwiała się na trawnik. Miała siedemdziesiąt pięć lat. Ten obraz wciąż staje mi przed oczami, mówię pani.

Teraz obie się śmiejemy, ale kiedy odstawia kubek z kawą i spogląda na mnie z poważną miną, wiem, co powie.

– A tak serio, Laura, musi pani być ostrożna. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam, żeby ktoś zadał sobie tyle trudu i ryzykował, umieszczając na czyimś domu kamery. Powinna pani zgłosić tę sprawę na policję. To nie jest drobny zatarg.

– Tak zrobię – mówię. – Potraktuję to z całą powagą.

Dopija kawę, podaje mi informacje dotyczące kamer, które znalazła: nazwę producenta, model i tak dalej, i radzi, co mam powiedzieć policji. Tłumaczy, jak działają zamontowane przez nią kamery, pomaga mi zainstalować apkę w telefonie, żebym miała do nich dostęp niezależnie od tego, gdzie jestem. Dzwonek z podglądem ma czujnik ruchu, który obejmuje zasięgiem teren aż do bocznej bramy, więc jeśli ktokolwiek wtargnie do ogrodu, natychmiast otrzymam powiadomienie esemesem.

– Mogę zostawić panią samą do powrotu męża? – pyta, pakując swoje rzeczy.

Odpowiadam, że tak, nic mi nie będzie. Nie wiem, ile czasu upłynie, zanim Mitchell zorientuje się, że jego kamery są zdjęte, ale wątpię, żeby zaryzykował i wrócił tu za dnia. Poza tym wcale nie skończyłam. Mam jeszcze coś do zrobienia.

31

Maisie

Lipiec 1999

Kaz naciągnęła gumkę na ostatni warkoczyk Maisie i przysiadła na piętach.

– *Voilà!*

Maisie podniosła rękę, żeby dotknąć zaplecionych włosów. Głowę miała jakby cięższą i czuła chłód na skórze. Kaz wstała.

– Poczekaj tutaj. Mam lusterko, jest małe, ale zawsze... – Pobiegnęła do swojego namiotu, wzięła z niego plecak i zaczęła w nim grzebać, wyjmując różne rzeczy.

Maisie spojrzała w stronę Sery, która siedziała obok Mitchella i żywo z nim rozmawiała. Prawie nie patrzyła na Maisie i w ogóle się do niej nie odzywała. U ich stóp leżał zwinięty w rulonik banknot z resztkami kokainy. Kiedy i ją poczęstowano, Maisie pokręciła głową – mogła popalać zielsko, ale nigdy nie próbowała czegoś mocniejszego i nie sądziła, że teraz jest na to dobra pora.

– Masz! – Kaz podała jej małe kompaktowe lusterko i Maisie zbliżyła się do ognia, żeby w jego blasku obejrzeć swoją nową fryzurę.

– *Niesamowite.* – Uśmiechnęła się.

Zupełnie nie przypominała dziewczyny, która trzy dni wcześniej wkroczyła na szlak. Czuła się jak motyl, który wyłania się z kokonu.

Keddie po drugiej stronie ogniska gwizdnął z uznaniem, a Sera spojrzała w jej kierunku.

– Pasuje ci! – skomentowała głośno. – Ale nie wiem, co powiedziałyby na to Ric.

– Jaki Ric? – Kaz popatrzyła spod uniesionych brwi na Maisie. – Myślałam, że nie masz chłopaka?

– Bo nie mam – odparła stanowczo Maisie, obrzucając Serę ciężkim wzrokiem.

Ta odwzajemniła jej spojrzenie, jakby coś rozważała. Pochyliła się, wzięła przewodnik, na którym odmierzali kokainę, i wysypała na niego jedną porcję. Kartą kredytową – nie wiadomo czyją – uformowała z proszku kreskę i całość podała Maisie.

– Może wciągniesz trochę? Żeby uczcić metamorfozę?

– Nie, dzięki. – Maisie machnęła ręką, żeby Sera to zabrała. – Już mówiłam, że nie chcę.

– Myślałam, że masz ochotę na przygodę? – Sera wyduła usta. – Na nowe doświadczenia? Trochę ryzyka?

– Jeśli poszukujesz nowych wrażeń, to nie ma lepszego sposobu – powiedział Keddie, teraz z wyraźniejszym australijskim akcentem.

Maisie przeniosła wzrok na Kaz i Mitcha, którzy zachęcająco kiwali głowami. Zauważyła, że Mitch trzyma rękę na kolanie Sery i kciukiem delikatnie muska ją po udzie.

Oni wszyscy już trochę wciągnęli i nic takiego się z nimi nie dzieje, pomyślała Maisie. Co może się stać? Przecież takiej wolności pragnęłaś, chciałaś robić to co inni w twoim wieku: pić, eksperymentować... przecież Ric jeszcze może się pojawić. Wyobraziła sobie jego dłoń na swoim udzie, pieszczącą je tak, jak w tej chwili Mitch pieścił udo Sery. Przypomniała sobie jego usta na swoich ustach, ciepły język. Co by szkodziło, gdyby teraz wyluzowała się trochę?

– Dobrze. – Wyciągnęła rękę.

Keddie wydał okrzyk radości, a Kaz wyraźnie się ucieszyła. Na twarzy Sery pojawił się triumfalny uśmiezek.

– Pokażę ci, jak to się robi – zaoferowała Kaz.

Maisie odniosła wrażenie, że Kaz autentycznie chce jej pomóc, żeby było to dla niej przyjemne doświadczenie.

– Przerzuć warkocze na plecy, schyl się i sunąc banknotem przytkniętym do nosa, po prostu nabierz powietrza.

Maisie wzięła od niej banknot i zrobiła to. Poczła w nosie proszek i aż przysiadła na piętach, kaszląc i się dławiąc.

– O rany! – zawołał Keddie. – Musisz się jeszcze sporo nauczyć!

Spojrzała na Serę, która miała minę bez wyrazu. Po chwili odwróciła się do Mitchella i powiedziała mu coś na ucho. Gdyby miał ogon, na pewno by nim zamerdał, bo na jego twarzy pojawił się zachwyty. Kiwnął głową i zerknął na zegarek.

Maisie usiadła prosto, choć kręciło jej się w głowie. Ogień wydał jej się wielki i zrobiło jej się gorąco, naprawdę gorąco. Całe jej ciało stało się wrażliwe i poczuła mrowienie na skórze. Zaśmiała się, chociaż nie wiedziała, co ją tak bawi. Ale coś musiało być na rzeczy, bo Keddie też zaczął się śmiać, potem przyłączyła się do nich Kaz i śmiali się już wszyscy.

Kaz wciągnęła kolejną kreskę i podała kokę Serze, która odmówiła.

Nie chcesz poczuć się wolna? – pomyślała Maisie. Własny głos tak donośnie zabrzmiał jej w głowie, że nie była pewna, czy tego nie powiedziała. Nie chcesz poczuć się wolna, Sera?

Listopad 2019

Udało mi się wytrwać do końca dnia i nie zadzwonić do szkoły, żeby spytać, czy Faye i George wciąż tam są, ale przyjechałam po nich pół godziny wcześniej i zaparkowałam na wprost wyjścia. Jeszcze tego było mi trzeba, żeby w szkole uznali mnie za wariatkę, jednak jeśli coś zrozumiałam w ciągu kilku ostatnich dni, to że wcale nie jesteśmy tak bezpieczni, jak nam się wydaje. Jeden zły człowiek może podważyć fundamenty całego twojego życia. Jeden człowiek, który obserwuje cię z ukrycia i tylko czeka, żeby powinięła ci się noga. Nie zamierzam do tego dopuścić. Jeśli Mitchell chce skrzywdzić mnie i moją rodzinę, to niech się ujawni i stanie ze mną do walki.

Siedząc w samochodzie, przez apkę w telefonie przewijam obrazy z kamer monitorujących teren wokół naszego domu. Wszystko w porządku, cisza i spokój. Przez jakiś czas oglądam obraz z kamery od strony ulicy, widzę, że przeszła Gina, pewnie idąca do sklepu, i dwie nastolatki, które prawdopodobnie wypuszczono ze szkoły wcześniej niż uczniów podstawówki. Żadnej przemykającej się postaci w kominiarce.

Wreszcie dzieci wychodzą ze szkoły, pełne wrażeń z całego dnia. Aż czuć podniecenie na boisku – nazajutrz pierwszy grudnia, a z początkiem tego miesiąca szkoła przełącza się na tryb świąteczny. Nie wiem, czy nauczyciele w ogóle oczekują jakichś postępów w nauce. Słyszę, jak jeden chłopczyk pyta mamę, czy wieczorem przybędą elfy, i aż się wzdrygam. Zapomniałam o cholernym elfie na półce.

Elf na półce to coś, co wprowadzają rodzice we wczesnych latach życia dziecka. W domu pojawia się taki zabawkowy elf, który co wieczór, kiedy dzieci zasypiają, ożywa i psoci. Nasz elf w pierwszym roku owinął bożonarodzeniową choinkę w ozdobny papier, stoczył bitwę na śnieżki z należącymi do Faye lalkami Barbie, wysypał mąkę i narysował na niej sylwetki aniołów. W drugim jednak stracił walor nowości, a co za tym idzie – atrakcyjność. Nie dla dzieci – one codziennie rano budzą się podekscytowane i zaciekawione, co takiego zbroił w nocy. Gorzej dla rodziców, którzy budzą się o trzeciej w nocy, uświadamiając sobie, że zapomnieli przenieść go w inne miejsce. I muszą cicho zejść na parter, gorączkowo szukając pomysłu, co takiego zabawnego i nietypowego elf mógł zrobić, zanim w końcu wepchną go do kredensu, gdzie ma „bawić się w chowanego”. W trzecim roku – który właśnie, jeśli jeszcze się nie domyśliliście, wypadał u nas – zaczynają się zastanawiać, czy nie uwolnić się od tego wszystkiego, mówiąc, że elf miał po drodze tragiczny wypadek, i wyprawiając mu pogrzeb.

– Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę nasze elfy – mówi Faye radosnym tonem i już wiem, że nie mogę posunąć się do czegoś takiego.

I owszem, użyła liczby mnogiej, powiedziała „elfy”. Nie wiadomo dlaczego Rob uznał, że dobrze będzie wprowadzić całą ich menażerię, choć sam w ciągu dwóch lat żadnego z nich nie przestawił.

– Hm, jeśli będą takie niegrzeczne jak rok temu, to może odeślę je z powrotem do Świętego Mikołaja – podejmuję grę, a Faye z przerażenia wydaje cichy okrzyk.

– Nie odeślesz ich, mamusiu, prawda? Uwielbiam nasze elfy, George tak samo.

– Pewnie, że nie.

– Czy możemy już od jutra robić świąteczne dekoracje?

Powstrzymuję westchnienie. To nie wina tego dziecka, że moje życie się rozpada i Boże Narodzenie to ostatnia sprawa, o której mam ochotę myśleć.

– Spytaj tatę – odpowiadam i oboje krzyczą z radości, bo wiedzą, że tata się zgodzi.

A potem będzie stał i patrzył, jak mama ubiera choinkę, starając się, żeby ozdoby wisiały tam, gdzie trzeba.

*

– Miałem dziś obiecującego klienta, który powiedział, że jego żona chodziła z tobą do szkoły – mówi Rob i podaje mi kieliszek wina.

Natychmiast tężeję. Rob myśli, że dorastałam w sąsiednim hrabstwie, więc nie ma powodu, żeby jakiś jego klient nie mógł znać mnie z dawnych czasów. Tylko ja wiem, że to niemożliwe. Kiedy chodziłam do szkoły, nie miałam na imię Laura i ta szkoła była daleko stąd.

– A kto to taki? – pytam jakby od niechcienia.

– Nazywa się Mitch Goodwin. Ona chyba ma na imię Maisie, jeśli dobrze pamiętam. – Spodziewałam się, że wypowie któreś z tych imion, ale na ich dźwięk krew krzepnie mi w żyłach. Teraz Mitch odwiedza mojego męża w pracy? I udaje, że mnie zna? – Zabrzmiało mi to jakoś znajomo, może o niej wspominałaś?

Gwarantuję, że nigdy nie wspominałam mężowi o Maisie Goodwin. Jeśli to imię i nazwisko wydają mu się znajome, to dlatego, że kiedy miał dwadzieścia parę lat, widniały we wszystkich gazetach, ale przecież mu tego nie powiem.

W co Mitchell gra? Chce mnie zmusić, żebym wyznała prawdę? Żebym powiedziała Robowi, kim w rzeczywistości jestem, zanim on przekaże mojemu mężowi wystarczająco dużo tropów?

– Nie pamiętam żadnej takiej – odpowiadam w końcu. – Pewnie wtedy nie miała na nazwisko Goodwin, skoro jest mężatką. Jednak imię Maisie nie jest takie częste. Może chodziła do wyższej albo niższej klasy.

– Może. – Rob wzrusza ramionami i nie drąży dalej tematu.

To też w nim lubię. Jest taki nieskomplikowany. Nie ma konta na Facebooku, Snapchacie, Instagramie czy Twitterze, bo jak mówi, nie znosi tego całego teatru i nie ciekawi go, co inni jedli na śniadanie ani jak dużą mają choinkę. Ja, ze swoją podejrzliwością, tak łatwo sobie nie odpuszczam, mam zupełnie inne podejście.

– O Boże, Rob, możesz znieść te elfy? Jeśli nie pojawią się rano, dzieci będą niepokieszone. W szkole o niczym innym się nie mówi.

– Tylko nie znowu to cholerstwo – burczy. – Naprawdę upłynął cały rok? Kiedy dzieci zasną, pójdę na strych. Faye i tak już zadaje zbyt dużo pytań.

Jednak gdy w kuchni jest już posprzątane po kolacji, a dzieci są w łózkach, spędzam cały wieczór, próbując nie myśleć o Mitchellu Dyke’u, i zupełnie zapominam o tych przeklętych elfach.

*

– Mamusiu! Mamusiu! Musimy sprawdzić, czy elfy wróciły!

Te słowa Faye to pierwsze, co słyszę, kiedy się budzę, i drętwieję. Jak mogliśmy zapomnieć! Przecież wczoraj wieczorem po kolacji mówiłam Robowi, żeby zniósł elfy. Faye i George tańczą przed naszą sypialnią i za chwilę odkrywają, że elfów nie ma.

– Nie gniewajcie się na nie, jeśli się spóźnią – uprzedzam, wkładając szlafrok. – Mają długą drogę do przebycia, przecież pamiętacie.

– O, widzę jednego! – Faye wskazuje w stronę okna od frontu, więc odwracam się, żeby zobaczyć, na co patrzy.

Rzeczywiście, za szybą dynda elf. Dzięki Bogu! Rob musiał sobie przypomnieć już po tym, jak zasnęłam. I to całkiem nowy elf – wygląda, jakby nie mógł dostać się do środka. Fajnie.

– Na czym on tak wisi? – pyta Faye, podchodząc bliżej okna. – Ma coś na szyi! Mamusiu, on nie może oddychać! Czy on nie żyje?

Idę za nią i wyteżam wzrok. Na szyi elfa tkwi sznurek z kolorowymi paciorkami, który przypomina pętlę.

– Nic mu nie jest, kochanie – odpowiadam, przeklinając w duchu Roba za głupie dowcipy. – Pójdę po niego.

W kapciach i płaszczu narzuconym na piżamę wychodzę na zewnątrz. Zdejmuję dyndającego na sznurku elfa. Wisiał na pinezce wbitej w ramę okienną. To do Roba

niepodobne, nie lubi, żeby wbijać cokolwiek w drewno. I skąd wziął ten sznurek?

To bransoletka przyjaźni, z tych dla dzieci, które można zrobić domowym sposobem, z brązowego sznurka i koralików; między białymi, różowymi i fioletowymi koralikami są wisiorki: miś i słonik. Wygląda tak znajomo, że wiem, co zobaczę, kiedy obrócę białe koraliki. Literki. Tworzące napis: SERAPHINE. Taką samą bransoletkę miała kiedyś Seraphine Cunningham.

33

Wątek z forum internetowego poświęcony zaginięciu Seraphine Cunningham

Seraphine Cunningham zaginęła na szlaku West Coast 30 lipca 1999 roku. Jej zniknięcie zgłosiła towarzysząca wędrowni, Maisie Goodwin, która wszczęła alarm po tym, jak rzekomo zobaczyła, że nad Cribs Creek jakiś tajemniczy mężczyzna atakuje Cunningham. Policja przez wiele tygodni przeczesała okolicę, ale nie trafiła na żaden ślad Seraphine, z wyjątkiem podartej i zakrwawionej koszulki oraz zabłoconych butów, które podobno miała na sobie. Plecak z jej rzeczami pozostał w obozowisku. Znalezione w nim kilka skradzionych kart kredytowych i nielegalne substancje odurzające. Mówi się, że Seraphine w wieku siedemnastu lat uciekła z domu i od tamtego czasu podróżowała. Jej rodzice ani razu nie wypowiedzieli się na temat jej zniknięcia, oświadczając tylko, że „nie utrzymują z córką kontaktów i nie widzieli jej od dwóch lat”.

AKTUALIZACJA: W pobliżu szlaku West Coast znaleziono ludzkie szczątki – czy możliwe, że to Seraphine?

Pinkyandthebrain:

Cała ta historia jest dziwna. Dlaczego nie szukali jej przyjaciele i rodzina?

Everyafter:

Kilka lat wcześniej uciekła z domu. Wieść głosi, że sprzedawała narkotyki i podpadła niewłaściwym ludziom. Jej rodzice byli zamożni i nie chcieli mieć z nią nic wspólnego.

Happycamper:

Wiem, że to działo się w latach dziewięćdziesiątych, ale ta sprawa od początku była źle prowadzona. A facet, z którym kłóciła się na przystanku autobusowym? Dlaczego policja go nie odnalazła? Mnóstwo świadków twierdziło, że podróżowała z jakimś gościem. Gdyby był niewinny, toby sam się zgłosił. Dyke to kozioł ofiarny.

Therealslimshady:

Nie ma żadnego dowodu, że ten facet w ogóle istniał. To zasłona dymna. Miała pojedynczy bilet, na wędrowkę zgłosiła się sama. Faceta w ogóle nie było.

Happycamper:

A jak wytłumaczyć, że widziało go tylu ludzi?

Therealslimshady:

To pewnie za każdym razem był ktoś inny. Z tymi dawnymi sprawami stale tak jest. Świadców z biegiem czasu zmieniają zeznania. Nie można na nich polegać.

Happycamper:

Skoro mowa o niewiarygodnych świadkach, to weźmy samą Maisie Goodwin.

WhoframedMitchellDyke:

Jeśli to szczątki Seraphine, Goodwin powinna siedzieć za krzywoprzysięstwo. Miejmy nadzieję, że ich identyfikacja ją obciążą.

JustlikeJessieJames:

Czego miałyby to dowieść? Jeśli Seraphine nie żyje, to ktoś musiał ją zabić. Według mnie Dyke jest najbardziej podejrzany.

WhoframedMitchellDyke:

Seraphine umarła na skutek przedawkowania, a Goodwin spanikowała i ukryła ciało. Wymyśliła historyjkę o tym, jak widziała, że jej koleżankę napadnięto. Kiedy Dyke trafił za kratki, było już za późno, żeby powiedzieć prawdę, bo zabrnęła w tych kłamstwach za daleko.

JustlikeJessieJames:

Fajna teoria, ale jest jeden szkopuł... brakuje dowodów na jej poparcie.

OzzyB:

Myślę, że to najbardziej prawdopodobna wersja ze wszystkich.

Pixel8me:

Zawsze wydawało mi się obrzydliwe, jak gazety potraktowały Maisie Goodwin za to, że nie chciała udzielać wywiadów dzień po tym, jak zaginęła jej przyjaciółka. A potem, jak już zaczęła mówić, dziennikarze zrobili z niej histeryczkę. Kogoś dziwi, dlaczego nie miała zaufania do mediów?

Happycamper:

Policja także nie uwierzyła w wersję Goodwin. Nic tam nie trzyma się kupy. To jasne, że była naćpana.

Pixel8me:

Ojej, wciągnęła kilka kresek. Pokażcie mi nastolatka, który tego nie robi. Wszyscy wiemy, że ty też wciągałeś, Happycamper.

Happycamper:

Ale nie mam na sumieniu niczyjej śmierci.

34

Maisie

Lipiec 1999

Maisie nie bardzo wiedziała, kiedy po tym pierwszym zażyciu koki zaczęło źle się dziać.

Rozmawiała z Kaz, nie gadała, tylko rozmawiała na serio, o ważnych życiowych sprawach, chociaż nie pamiętała, czego dotyczyła ta rozmowa. Po raz pierwszy czuła, że ktoś jej słucha, poświęca jej uwagę. Wszystko wydawało się takie... obiecujące. Miała coś do powiedzenia i zainteresowanych słuchaczy. Może powinna uprawiać zawód związany z wystąpieniami publicznymi – mówiłaby o tym, jakie skutki wywiera depresja na rodziny z klasy pracującej, albo byłaby reprezentantką nastoletnich opiekunów. Nigdy wcześniej nie miała takiego poczucia celu, misji.

Nie zauważyła, kiedy Mitchell i Sera zniknęli, choć później wydawało jej się, że nie widziała ich już od jakiegoś czasu. Gdy zobaczyła, że Mitchell wraca sam i idzie do swojego namiotu, wstała chwiejnie, odzyskała równowagę, wzięła leżącą na ziemi latarkę i poszła szukać Sery. Przez cały dzień chciała z nią porozmawiać, spytać, co takiego, do cholery, stało się wczoraj, że Sera jest na nią taka zła. Ma żal, że Ric i Maisie przespali się ze sobą? A jeśli tak, to dlaczego? Czy wynikało to z troski o brata, czy może z zazdrości? W końcu Maisie była jej nową przyjaciółką; może wkurzyła się, że Ric ją przejął, zmonopolizował. Niewykluczone, że dlatego

go odprawiła. Cokolwiek było powodem, Maisie zamierzała wyjaśnić sprawę. To było głupie, że zachowywały się tak, jakby się nie znały, podczas gdy w pierwszych trzech dniach spędzały ze sobą każdą chwilę. Po prostu musiały odbyć szczerą rozmowę, żeby znowu móc się przyjaźnić. To konieczne, jeśli Ric ma wrócić, a Maisie była przekonana, że tak się stanie.

– Sera?! – zawołała, wkraczając do lasu rosnącego za plażą.

Było tam całkiem ciemno, tylko co kilka kroków widziała przeświecający spomiędzy drzew księżyc i nikły blask ognisk na plaży. Skierowała latarkę między drzewa – jasny snop światła wydobywał przed nią z mroku przestrzeń w promieniu dobrego metra.

W miarę jak posuwała się naprzód, las gęstniał, więc zaczęła świecić sobie latarką pod nogi. Kiedy na ziemi pojawiły się drewniane deski, wiedziała, że znajduje się na tym odcinku szlaku, który przebyła wcześniej, podążając w stronę strumienia. Teren był nierówny i powoli się wznosił – trudno było iść tędy w ciemności, zwłaszcza po alkoholu i narkotykach. Miała świadomość, że powinna zawrócić – ale jednocześnie czuła, że Sera gdzieś tam jest, i chciała z nią porozmawiać, dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Szkoda, że nie zawróciła. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Grudzień 2019

Kiedy wchodzę z powrotem do domu, widzę, że Rob przytula zdruzgotaną Faye, która zalewa się łzami. George też płacze, chociaż nie wie, z jakiego powodu.

– Co się dzieje? – pyta mnie Rob, więc pokazuję mu elfa.

– Faye, nic mu nie jest, naprawdę. Zanieś go do swojego łóżeczka, bo na pewno zmarł po całej nocy na dworze, a potem wracaj, żeby przygotować się do szkoły.

Chyba się uspokaja, że elf nie „umarł”, bo bierze go ode mnie i mocno ściska.

– Hej, elfie! Chodź, położymy cię pod kołderką. George, idziemy!

Rob rzuca mi spojrzenie pełne ulgi.

– Co się stało, do licha? Myślałem, że zapomnieliśmy znieść te elfy ze strychu? A tu Faye wyciąga mnie spod prysznic i mówi, że to cholerstwo nie żyje.

– Znalazłam zapasowego elfa, którego kupiłam i zostawiłam w pracowni – kłamię jak z nut. – Ale chyba za bardzo się spieszyłam, żeby go wystawić, zanim Faye się obudzi, i sznurek owinął mu się wokół szyi. Wyglądał jak powieszony, koszmar!

Staram się zrobić z tego zabawny incydent, który będziemy opowiadać znajomym przez lata, ale wciąż mam przed oczami elfa, złowroźnie dyndającego na sznurku. Mitchell nocą przyszedł pod dom, a ja nie otrzymałam żadnego ostrzeżenia.

Kiedy zaglądam do telefonu, okazuje się, że aplikacja działa, był sygnał, tyle że go nie słyszałam. O trzeciej dwadzieścia osiem ciemna postać w bluzie z kapturem

dostała się do ogrodu i podeszła pod okno od frontu, gdzie przebywała przez sześć minut, a potem się oddaliła. Trudno powiedzieć, czy to był Mitchell, czy nie, bo kaptur opadał tej osobie na oczy, a widoczne spod niego fragmenty twarzy są tak białe, jakby bił od nich blask.

Przewijam nagranie, oglądam je jeszcze cztery razy i powoli dociera do mnie, że choćbym zainstalowała setki kamer, nie będę bezpieczniejsza. Gdyby Mitchell Dyke zechciał tej nocy wrzucić tu przez otwór na listy zapaloną zapałkę, niczego nieświadoma spałabym w swoim łóżku i już bym się nie obudziła.

36

Maisie

Lipiec 1999

Nie zawróciła. I wkroczyła prosto w swój najgorszy koszmar.

Osiem godzin później

Maisie przebywała na posterunku policji już od sześciu godzin. Była wyczerpana. Zamrugła, bo przed oczami latały jej mroczki, i stłumiła ziewnięcie, ponieważ ziewanie nie wyglądałoby dobrze. Miała wrażenie, że od dawna porządnie się nie wyspała. Powinna być do tego przyzwyczajona, bo dziecko budziło się co najmniej raz w nocy, a matka nie była w stanie zwlec się z łóżka, żeby się nim zająć, więc w końcu robiła to Maisie, nawet jeśli rano musiała iść do pracy. To jednak było inne zmęczenie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Nie opuszczało jej poczucie, że to wszystko nie mogło się wydarzyć, że jest nierzeczywiste. Wciąż podnosiła rękę, żeby dotknąć warkoczyków, które Kaz zaplotła jej zaledwie kilka godzin wcześniej. Wydawało się, że od tego czasu minęły wieki.

Policjanci skontaktowali się z jej matką, tak powiedzieli, ale nie mogła przylecieć do Kanady. Nie stać jej było na bilet samolotowy, a nawet gdyby było

stać, nie miałyby z kim zostawić reszty dzieci. Czy chce porozmawiać z matką? – zapytali Maisie policjanci. Nie, odparła. Nie ma potrzeby.

– Powiedz nam, gdzie byłaś, kiedy dostrzegłaś tego mężczyznę, który zaatakował Serę – odezwał się siedzący naprzeciwko niej detektyw.

Był potężny, a jego gruba szyja nasunęła Maisie myśl, że na pewno trudno mu kupić koszulę. Miał bardzo krótko ostrzyżone włosy, jakby przez całe dorosłe życie służył w wojsku, i najśmieszniejsze wąsy, jakie kiedykolwiek widziała. Ale nawet one nie wywołały u niej uśmiechu, co świadczyło o tym, w jakim jest stanie. Towarzyszyła mu funkcjonariuszka – z Kanadyjskiej Policji Konnej – drobna kobieta, która przy tym Hulku wydawała się jeszcze drobniejsza. Jasne włosy miała związane w gładki kucyk i nosiła okrągłe okulary w oprawkach barwy różowego złota.

Na stole leżały mapy i zdjęcia. Hulk podsunął je Maisie.

Westchnęła.

– Już mówiłam ze sto razy. Doszłam tutaj... – Pokazała punkt na mapie. – Było strasznie ciemno i straciłam orientację. Wołałam Serę. Pojawił się prześwit między drzewami i zobaczyłam ją w świetle księżyca. Znajdźcie miejsce, gdzie las rzednie, i to będzie tam.

– Kłopot w tym, Maisie, że wzdłuż tej ścieżki las jest bardzo gęsty. Czyli albo szłaś dłużej, niż mówisz, albo do ataku na Seraphine doszło wcześniej, kiedy jeszcze się nie ściemniło. To by oznaczało, że zgłosiłaś tę napaść dopiero po kilku godzinach.

Maisie wyprostowała się na krześle.

– Myślicie, że mam z tym coś wspólnego, tak? – zapytała piskliwym głosem, z wyraźnym przerażeniem. – Że ją zabiłam? Nie. Mylicie się. Mówię wam, nic jej nie zrobiłam. Może coś mi się pomieszało, było późno i ciemno, i...

– I byłaś pod wpływem używek – przypomniał jej detektyw, a ona wzdrygnęła się na tę insynuację. Albo jesteś kłamczuchą, albo narkomanką, zdawali się mówić policjanci. – Usiłujemy tylko zrozumieć, jak się w to wpakowałaś, Maisie. Wszystko

wskazuje na to, że jesteś porządną dziewczyną, dotąd nienotowaną, w szkole dobrze ci szło, nie opuściłaś ani jednego dnia w pracy. A zadawałaś się z dziewczyną, która ma w plecaku dragi i plik skradzionych kart kredytowych.

– Już powiedziałam, nawet jej nie znam!

– I opłaciłaś jej bilet, żeby mogła tu przyjechać? – Funkcjonariuszka pytająco uniosła brwi.

– Tak, ale...

– To bardzo wspinałomyślne, skoro w ogóle się nie znałyście.

Maisie miała ochotę krzyczeć z rozpaczy. Jak wytłumaczyć coś, czego sama nie rozumie? Wciąż nie wiedziała, dlaczego opłaciła Seraphine przejazd... no, może to przez ten jej wygląd, który sprawiał, że chciało się jej pomóc, być przy niej. Przez te kilka krótkich dni Sera była jak słońce, w którego ciepłe Maisie się grzała. A teraz dziewczyna nie żyła i Maisie znalazła się w najmroczniejszym miejscu, w jakim kiedykolwiek była, i przeżywała koszmar na jawie.

Policjantka wciąż patrzyła na nią, czekając na odpowiedź.

– Pewnie tak – odrzekła słabo.

– Zaplanowałaś spotkanie z Cunningham w Kanadzie?

– Nie, już mówiłam, że nie znałam jej wcześniej.

– Zobaczyłaś ją na przystanku autobusowym, opłaciłaś jej przejazd na początek szlaku i co dalej?

– Powiedziała, że ma gdzieś pieniądze, że będziemy szły razem, a gdy je odzyska, zwróci mi wszystko.

– I nie wydało ci się to dziwne?

– Nie, dlaczego? Sera sprawiała wrażenie zabawnej, sympatycznej. Byłyśmy w tym samym wieku. Po to się podróżuje, prawda? Żeby poznawać ludzi.

Policjanci wymienili spojrzenia.

– A ten mężczyzna, którego widziano z wami na początku szlaku? I z którym Sera kłóciła się na przystanku autobusowym?

Maisie zacisnęła szczęki.

– Nie widziałam jej z nikim na przystanku. Powiedziała, że podróżuje sama, i usiadła obok mnie w autobusie. – To przynajmniej była prawda. – Może gawędziła z jakimś facetem na odprawie... ja też rozmawiałam z kilkoma osobami. Już mówiłam, to normalne na tego rodzaju wycieczkach. Takie poczucie wspólnoty. Człowiek jest przejęty i trochę zdenerwowany... dlatego wdaje się w rozmowy z innymi.

– Ale szłyście tylko we dwie?

Maisie przypomniała sobie dotyk ciepłej dłoni Rica, kiedy tamtego pierwszego dnia na plaży pomógł jej wstać. Jego śmiech i drzewny zapach jego wody po goleniu, gdy szli obok siebie, co jakiś czas dotykając się ramionami. Smak jego ust, to wrażenie, kiedy w nią wszedł, wypełnił ją całą. Jego ręce na jej twarzy, w jej włosach.

– Tak – powiedziała cicho. – Tylko we dwie.

– Chcesz się napić? – padło pytanie. – Potrzebujesz przerwy?

– Tak, poproszę – odparła.

Ujęta tym nagłym przejawem życzliwości w tak trudnej sytuacji, poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Myśli o Ricu były nie do powstrzymania, przypominały projekcję slajdów w jej głowie: jego ciemne oczy, patrzące na nią, ściszony głos, którym mówił, żeby uciekała, że on o wszystko się zatroszczy. „Uciekaj, Maisie, ja się tym zajmę. Musisz stąd zniknąć! Uciekaj! Już cię tu nie ma”.

Grudzień 2019

Żeby było jeszcze gorzej, Faye uznała, że bransoletka jest prezentem od elfa – który musi mieć na imię Seraphine – i uparła się, że pójdzie w niej do szkoły. Wracam pamięcią do chwili przed dwudziestu laty, kiedy widziałam tę drugą bransoletkę, od pary, i na to wspomnienie robi mi się niedobrze. Usiłowałam wymazać z pamięci tamtą noc i do tej pory jakoś udawało mi się o niej nie myśleć. To wtedy stałam się morderczynią. A teraz stale będzie mi o tym przypominać bransoletka na nadgarstku mojej córki, dopóki jej się nie znudzi i z moją pomocą będzie mogła się gdzieś „zawieruszyć”.

Od czasu, gdy dowiedziałam się, że Mitch został zwolniony z więzienia, nie po raz pierwszy rozważam, jak mogłabym namówić Roba do przeprowadzki. Jeśli o mnie chodzi, mogę pracować wszędzie – chociaż bardzo lubię swoją pracownię i nasz piękny dom. Dzieci dobrze się czują w szkole... to byłby duży kłopot.

Nie mogę przez cały dzień siedzieć w domu, obserwować ulicy i zastanawiać się, czy gdzieś tam nie czai się Mitchell, albo obsesyjnie myśleć, co on knuje. Nie mogę także pojechać pod szkołę i stamtąd czuwać nad dziećmi, chyba że chcę, by ktoś na mnie doniósł za podejrzanе zachowanie w pobliżu placówki opiekuńczo-wychowawczej. Do Bożego Narodzenia pozostał już niespełna miesiąc, a ja nie zrobiłam jeszcze żadnych zakupów – więc mam na czym się skupić.

W dzień powszedni panuje w mieście znacznie mniejszy ruch i przez kilka godzin przechadzam się po sklepach, wybierając piżamki dla dzieci, najnowsze książeczki z ich ulubionych serii, bransoletkę Pandory i kilka zawieszek dla siebie. Może to wyda się komuś niezbyt romantyczne, ale zawsze sama kupuję sobie prezenty na Gwiazdkę – chcę mieć pewność, że dostanę to, co mi się podoba, a przyjemność z zakupów rekompensuje mi niespodziankę. Nigdy nie lubiłam niespodzianek – wolę zachować kontrolę nad sytuacją.

Kupuję to, co mogę zawieźć do domu autobusem – mój samochód jeszcze nie wrócił z warsztatu – ale zamiast wracać od razu do domu, wstępuję do jednej z kawiarni przy głównej ulicy i zamawiam gorącą czekoladę ze wszystkimi dodatkami, a do tego pianki. Siedząc przy stoliku, przyglądam się właśnie, jak bita śmietana łączy się z czekoladą, kiedy słyszę nad sobą czyjś głos.

– Laura?

Unoszę głowę i widzę kobietę, którą poznałam w zeszłą sobotę – tę, która uratowała moją córkę. Stoi przede mną z naręczem zakupów.

– Cześć! – odpowiadam, nieco zaskoczona. – Cally, prawda?

– Tak. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Chciałam tylko zapytać, jak się ma Faye.

– Jasne, że nie przeszkadzasz. Przysiądziesz się i napijesz czegoś? Czy może z kimś jesteś? – Rozglądam się wokół, ale ona kręci głową.

– Robiłam świąteczne zakupy – wyjaśnia. – Zamówię coś do picia i chętnie się do ciebie przyłączę. Mogę zostawić to tutaj? – Wskazuje torby.

Kiwam głową i patrzę, jak składa zamówienie. Jest w tym samym długim beżowym płaszczu co wtedy, ale dzisiaj ma pod spodem czerwoną jedwabną bluzkę koszulową i czarną wąską spódnicę. Wygląda, jakby właśnie wyszła z pracy.

– Cieszę się, że cię spotkałam – mówię, kiedy siada naprzeciwko mnie ze swoją latte. – Chciałam ci podziękować za to, co zrobiłaś. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z zagrożenia. Dosłownie ocaliłaś moją córkę życie.

Najwidoczniej wprawiam ją tym w zakłopotanie, bo opuszcza wzrok na kubek z kawą.

– Chętnie powiedziałabym, że nic złego by się nie stało, ale potem myślałam o tym przez całą noc: jak łatwo mogło dojść do nieszczęścia. Człowiekowi zawsze się wydaje, że takie rzeczy dzieją się gdzieś indziej, nie tu, gdzie sam mieszka.

– Każdy tak sądzi, dopóki jemu samemu się to nie zdarzy – przyznaję. – Już na samą myśl o tym, co mogło się stać, robi mi się niedobrze. Czy kontaktowała się z tobą policja?

– Tak, dostałam wiadomość od sierżanta, z prośbą o kontakt. Wygląda na to, że potraktowali sprawę poważnie, ale jeszcze nie złapali tego faceta.

– No tak. – Myślę o Mitchellu, jak kręci się koło mojego domu, wiesz elfa w oknie, instaluje kamery na dachu. – Wciąż jest na wolności.

– Przerazające. Jak czuje się Faye?

– Och, zapomniała już o tym wszystkim. – Uśmiecham się. – Myśli o Bożym Narodzeniu i jest bardzo przejęta. A ty? Masz dzieci?

– Nie – odpowiada i znowu opuszcza wzrok. Wyrzucam sobie brak delikatności. To jedno z tych pytań, które wydają się całkiem zwyczajne, dopóki nie zadasz ich komuś, kto nie może mieć dzieci, bo wtedy są jak uderzenie w twarz. – Nie trafiłam na odpowiedniego mężczyznę. Wydawało mi się, że go znalazłam, ale wiesz, jak to bywa.

– Masz jeszcze mnóstwo czasu – rzucam, ale brzmi to nieszczerze nawet w moich własnych uszach. Musi mieć mniej więcej tyle lat co ja, a mnie rok temu stuknęła czterdziestka. Kobiety w naszym wieku odczuwają presję. – Byłaś w pracy?

Niemal spodziewam się od niej usłyszeć, że właśnie została zwolniona – nie umiem prowadzić towarzyskich pogawędek – ale kiwa głową.

– Wyszłam wcześniej, żeby zrobić zakupy. Pracuję w radzie miejskiej, w tych nowych budynkach, tam przy drodze wylotowej. To zbyt daleko od miasta, żeby wyskoczyć w przerwie na lunch, a winni mi byli kilka godzin.

– Czym się zajmujesz? – pytam, popijając czekoladę.

Jest jeszcze bardzo gorąca i parzę sobie czubek języka. Niech to szlag.

– Pracuję w dziale płac. – Przewraca oczami. – Wiem, to nudne, prawda? A ty co robisz?

– Projektuję prezenty i mam własną firmę – mówię. – To dla mnie najbardziej gorący okres w roku i powinnam teraz pracować, ale od czasu tego zdarzenia z Faye w zeszły weekend jakoś nie mogę się skupić. Tak naprawdę trochę się niepokoję.

Dobrze przyznać się komuś, że jest mi ciężko, nawet jeśli nie mogę powiedzieć dlaczego. Cally słucha, rzuca współczujące komentarze – i dobrze się czuję w jej towarzystwie. Mam wrażenie, jakbyśmy znały się od zawsze. Od bardzo dawna nie czułam takiego porozumienia z żadną kobietą. W szkole jest kilka matek, które lubię, ale ciągle byłam tak zajęta i odrzucałam tyle zaproszeń, że żadna już nic mi nie proponuje. Trochę mi ulżyło, kiedy dały sobie z tym spokój – jeśli masz jakiś ważny sekret, wszystko sprowadza się do tego, by się nie wydał. Im bliższe relacje nawiązuję z ludźmi, tym bardziej się boję, że coś mi się wymknie. W ciągu tych dwudziestu lat Rob był jedyną osobą, przed którą się otworzyłam.

Zerkam na zegarek, jest już po drugiej.

– Ojej, muszę odebrać dzieci. Wracam autobusem do domu, a potem jadę taksówką do szkoły.

Opowiedziałam jej już o swoim wypadku, tylko nie zdradziłam, dlaczego do niego doszło. Patrzy na mnie ze zrozumieniem.

– Może cię podwieźć?

– Nie, naprawdę, poradzę sobie, dziękuję.

Nie nalega, chociaż odmówiłam tylko dlatego, że chciałam zabrzmieć uprzejmie. Cholerna uprzejmość. Wymieniamy się więc tylko numerami telefonów, żeby może kiedyś umówić się na kawę, i uświadamiam sobie, z dreszczykiem podniecenia, że właśnie odbyłam perfekcyjnie zwyczajną pogawędkę z drugim człowiekiem. Może w ostateczności dałoby się mnie zaliczyć do normalnych ludzi.

Październik 2000

MYŚLAŁAM, ŻE PÓŹNIEJ PRZYJDZIE MOJA KOLEJ „Sunday Echo”

Maisie Goodwin, znajoma zaginionej angielskiej turystki, Seraphine Cunningham, powiedziała, że zaczęła się bać o swoje życie, kiedy zobaczyła, jak na szlaku West Coast jej towarzyszkę atakuje jakiś mężczyzna. „Byłam pewna, że mnie zauważył i że później przyjdzie moja kolej – wyznała Martinowi Gerantowi z «The Daily Globe» w jednym z pierwszych wywiadów, jakich udzieliła po tamtej napaści. – Wpadłam w histerię, miałam zamęt w głowie. Media wynajdują nieścisłości w mojej wersji wydarzeń, ale byłam pod wpływem szoku”.

Jej zeznanie doprowadziło do skazania innego turysty, Mitchella Dyke’a. Goodwin mówi o nim: „Łaził za Seraphine przez cały wieczór. Nie chciał przyjąć do wiadomości jej odmowy”.

W tym tygodniu Dyke został uznany za winnego uprowadzenia i zamordowania Seraphine, a następnie skazany na trzydzieści lat więzienia, mimo że ciała ofiary nie odnaleziono.

Takie wyroki, gdy nie ma zwłok, zapadają w kanadyjskich sądach niezwykle rzadko, chociaż w tym roku za morderstwo 72-letniego Hugh Sinclaira, którego ciała także nie odnaleziono, został skazany Timothy Culham. Sceptycy zastanawiają się, czy te dwa przypadki nie staną się precedensami dla spraw, w których nie ma dowodów, że doszło do zabójstwa.

Goodwin jest jednak zadowolona z tego orzeczenia. Odnosząc się do sceptycyzmu, z jakim jej wersja została przyjęta przez media i niektórych przedstawicieli KKKP (Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej), powiedziała: „Od dwóch lat media ingerują w moje życie, zupełnie je rujnując. Bałam się, że zostanę zabita, a ludzie wątpią w moje słowa, bo są żądni sensacji. Teraz, kiedy zapadł wyrok, wreszcie będę mogła ruszyć naprzód”.

Grudzień 2019

Po tym, jak wracam z dziećmi do domu, kompletnie opadam z sił. Na kilka godzin zapomniałam, że moja rodzina jest nękana i pewnie nie spędzę z nią Bożego Narodzenia, bo wyląduję w więzieniu. Ale nie da się na długo odpędzić od siebie takich myśli i potem następuje brutalny powrót do rzeczywistości, dlatego teraz, u siebie w kuchni, płaczę cicho w rękaw.

Chcę być silna, zawsze taka byłam. Przez te dwadzieścia lat, od tamtej strasznej nocy na szlaku West Coast, starałam się nie myśleć o tym, co zrobiłam. Sprawa była jasna: albo on, albo ja. Musiałam postąpić tak, jak postąpiłam. I przez długi czas w to wierzyłam. Pozwoliłam sobie zacząć od nowa, a kiedy dziesięć lat temu poznałam Roba, pozwoliłam sobie być szczęśliwa i założyć rodzinę. Wiem, że na to nie zasłużyłam, ale robię wszystko, żeby zasłużyć. Staram się być najlepszą żoną, matką i w ogóle człowiekiem. Wspomagamy miejscowy bank żywności, w każde święta Bożego Narodzenia udzielamy się jako wolontariusze w schronisku dla bezdomnych i wspieramy różne akcje charytatywne. Uczę dzieci, że przede wszystkim należy być dobrym. Ale w przeszłości kogoś zabiłam i przeze mnie trafił do więzienia niewinny człowiek. Dwoje ludzi straciło szansę, by założyć rodzinę, okazywać dobroć i pomagać innym czy wychować dzieci, które mogłyby dokonać na świecie wielkich rzeczy. To nie ma znaczenia, że stałam się dobrym człowiekiem – nawet gdybym ufundowała tyle zupy, że wypełniłaby cały Ocean Atlantycki, i tak

niczego by to nie zmieniło. Jestem morderczynią i oszustką. I któregoś dnia przeszłość mnie dopadnie.

Mam więc trzy opcje. Mogę siedzieć i czekać, aż to nastąpi, aż pojawi się Mitchell i albo mnie zabije i skrzywdzi moje dzieci, albo wyjawi prawdę policji i pójde do więzienia. Mogę też znowu uciec; powiedzieć wszystko Robowi, licząc, że mi przebaczy, a wtedy wyjechalibyśmy gdzieś, gdzie Mitchell by nas nie znalazł, ale wciąż oglądałabym się przez ramię. Jeżeli raz udało mu się mnie znaleźć – tylko jak to zrobił? – to uda mu się ponownie. Ta opcja niesie jednak ryzyko, że Rob każe mi iść do diabła, i będę musiała wyjechać bez niego, albo porywając dzieci – a wówczas on sam pójdzie na policję, jestem tego pewna – albo na zawsze porzucając Faye i George’a. Jeśli tylko to będzie zależało ode mnie, nie opuszczę swoich dzieci. I nie zamierzam czekać, aż zostanę aresztowana albo zabita. Jeśli przyjdzie mi je opuścić, to po walce, bezpardonowej, podczas której nie zawaham się krzyczeć, gryźć i kopać.

Czyli w grę wchodzi tylko trzecia opcja. Wiedziałam, że tak się skończy, od czasu, kiedy moja córka wyszła ze sklepu z człowiekiem, którego przeze mnie skazano za zabójstwo.

Muszę odnaleźć Mitchella Dyke’a i zmierzyć się z nim.

*

Kiedy już decyzja jest podjęta, wszystko staje się prostsze. Po pierwsze, muszę skutecznie chronić swoją rodzinę.

Po tym, co wydarzyło się w Kanadzie, stałam się innym człowiekiem. Nie chodzi tylko o nazwisko czy wygląd – te łatwo było zmienić. Stałam się twardsza, bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowana, by nie dać nikomu się skrzywdzić. Zostałam oszukana przez kogoś, kogo – jak mi się zdawało – kochałam, a ten ktoś uczynił mnie bezbronną i wystawioną na ciosy. Nie mogłam pozwolić, by doszło do tego ponownie. Więc kupiłam broń.

Ćwiczyłam z nią niemal codziennie, aż spotkałam Roba. Zaledwie po kilku miesiącach znajomości z nim spakowałam całe swoje dotychczasowe życie

i zamknęłam je w magazynie poza granicami Reading, z dala od mojego nowego życia i osoby, którą za sprawą Roba chciałam się stać.

I wszystko to nadal tam trzymam.

– Mamusiu, George nie chce mi oddać misia! – piskliwie skarży się Faye, co przypomina mi, że jestem matką dwojga małych dzieci, a nie zatwardziałym samozwańczym stróżem prawa. Ta część mnie należy tak bardzo do przeszłości, że prawie mam wrażenie, jakby w ogóle nie istniała.

– George! – wołam, chociaż wiem, że ta nieprzekonująca próba odzyskania wrogo przejętej zabawki nie zadowoli Faye. – Oddaj siostrze misia!

– Nie! – odpowiada, krótko i spokojnie: nie i już.

– Mamo! – wrzeszczy Faye. Z westchnieniem zamykam laptopa. – Archie pogryzł swoją obrozę!

Tylko Bóg wie, jak on tego dokonał, ale już chyba wspomniałam, że nasz pies to wyjątkowy spryciarz. Jakimś cudem udało mu się pogryźć obrozę, mimo że tkwiła w jedynym miejscu na jego ciele, który którego nie mógł dosięgnąć zębami. Na szczęście mam gdzieś w szafie zapasową. Obroże drażnią go w szyję – i teraz, kiedy się nauczył, jak sobie z nimi poradzić, ta też nie przetrwa długo, ale wystarczy na jakiś czas, dopóki nie kupię nowej.

– Chodź do mnie, ty upierdliwy kundlu! – mówię, ale Archie myśli, że chcę się bawić, i skacze wokół mnie jak kangur. – Spokój! Archie, spokój!

Kiedy wreszcie udaje mi się włożyć mu obrozę, rozlega się dzwonek do drzwi. Zerkam na podgląd z kamery, żeby sprawdzić, czy to nie kurier – pierwszy raz, odkąd tu mieszkam, próbowałby doręczyć przesyłkę do rąk własnych, zamiast tylko przerzucić ją przez bramę. Archie natychmiast zaczyna szczekać i skakać na drzwi.

– Poczekaj chwilę, Faye, zaraz się tym zajmę – mówię i jednocześnie chwytam Archiego za obrozę, żeby nie dopadł do kuriera, gdy tylko otworzą się drzwi. Nie chcę mieć na sumieniu kolejnej śmierci, tym razem przez zalizanie. – Dzień dobry! – rzucam zdyszana, otwierając drzwi, i ku swojemu zaskoczeniu widzę, że młody

ciemnowłosego chłopaka wciąż stoi za progiem. – Nie przypominam sobie, żebym coś zamawiała.

– Może to ma być niespodzianka. – Obojętnie wzrusza ramionami.

Zupełnie nie wygląda na kuriera. Przesyłka to duże pudełko bez żadnych nadruków. Kurier pochyła się, żeby zrobić zdjęcie potwierdzające dostarczenie paczki.

– Czy to dla mnie? – pyta Faye, wystawiając głowę za drzwi.

– Jest na moje nazwisko, więc nie bądź wścibska – odpowiadam, zadowolona, że to odwróciło jej uwagę od misia.

Jeśli tylko nie będzie próbowała go odzyskać, George się nim znudzi i go zostawi. Chyba że wywinie taki numer jak ostatnim razem i żeby ją rozzłościć, wsadzi go do muszli klozetowej. Zwłaszcza że ostatnio robi kupę, nie mówiąc mi o tym – i oczywiście nie spuszcza potem wody.

Idę z pudełkiem do kuchni, usiłując sobie przypomnieć, czy nie zamawiałam czegoś dla dzieci pod choinkę. Na wszelki wypadek nie otwieram go przy Faye. Czekałam, żeby poszła na górę, i dopiero wtedy wyjmuję nożyczki i przecinam taśmę.

Można by pomyśleć, że przy mojej obecnej manii prześladowczej, odbierając paczkę, której najwyraźniej nie zamawiałam, będę przygotowana na najgorsze. Ale chyba przez to, że dzieci się kłóciły albo że musiałam zapanować nad psem, zupełnie tracę czujność. Poniewczasie uświadamiam sobie, że w środku mogła być bomba rurowa i że mam szczęście, bo nic nie eksploduje mi w twarz. Nie czuję jednak ulgi, ponieważ na widok tego, co znajduje się w pudełku, zapiera mi dech w piersi i ściska mnie w gardle.

40

Maisie

Lipiec 1999

– Macie prawo mnie tu przetrzymywać? – zapytała ostro Maisie. – Jestem świadkiem, nie jedną z podejrzanych. Tak czy nie? A może już jestem podejrzana?

– Nie, jesteś świadkiem. – W domyśle „na razie”. – I wolno ci w każdej chwili sobie pójść. Oczywiście doceniamy, że nam pomagasz, i chcielibyśmy zadać ci jeszcze wiele pytań, ale...

– Jestem zmęczona – oznajmiła Maisie. – Pora na mnie.

Policjantka uniosła na to brew, ale skinęła głową.

– Jak powiedziałam, nie możemy cię zmusić, żebyś została, ale...

– W takim razie wychodzę.

Chociaż rozpaczliwie chciała opuścić posterunek, to gdy tylko znalazła się na zewnątrz, zapragnęła biegiem do niego wrócić. Na schodach prowadzących do budynku tłoczyli się reporterzy, którzy natychmiast skierowali na nią aparaty fotograficzne i podsunęli jej mikrofony. Ogłuszyły ją pstryknięcia migawek i okrzyki.

– Maisie! Możesz nam powiedzieć, co stało się z Seraphine?!

– Maisie! Czy wiesz, dlaczego nie ma tu jej rodziców?!

– Maisie! Jak długo ją znałaś?!

Odwróciła się i pospieszyła z powrotem na posterunek. Położyła dłonie na kontuarze, przy którym stał policjant o grubym karku i patrzył na nią z pewnym rozbawieniem.

– Musicie mi pomóc – oświadczyła. – Rozszarpią mnie tam. Jestem ważnym świadkiem! Potrzebuję ochrony.

Detektyw z wolna pokiwał głową. Wiedziała, że się przedstawił, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska.

– Chodź ze mną – powiedział, wskazując inne wyjście. – Masz gdzie się zatrzymać?

– Nie. Wracam do Anglii dopiero za trzy dni. Do tego czasu miałam być na szlaku.

– Musisz zmienić termin wylotu – oznajmił. – Będziesz nam potrzebna dłużej. Poproszę Claire, żeby na dzisiejszą noc zabukowała ci pokój w hotelu. Później spróbujemy przełożyć twój lot powrotny.

Z jego tonu wynikało jasno: potrzebujesz nas, mamy cię w garści. I Maisie zrozumiała, że nie może sobie pozwolić na żadne fochy.

*

Derek Barnes, bo tak nazywał się ten detektyw, dotrzymał słowa. Zaprowadził ją do tylnego wyjścia, dał jej kurtkę z kapturem, na wypadek gdyby któryś z reporterów zaczął się po drugiej stronie budynku, i wezwał samochód. Maisie naciągnęła kaptur na głowę, pochyliła się i pobiegła do wozu. Jego drzwi otworzyły się przed nią. Usłyszała okrzyki:

– Jest tam! Z tyłu!

Ale zdążyła wsiąść i Claire wcisnęła gaz, zanim ktokolwiek dobiegł do samochodu.

W hotelu poczuła się jak w przedsionku raj. Nie był to najbardziej luksusowy hotel w Kanadzie, ale po trzech dniach na szlaku i prawie ośmiu godzinach na posterunku policji już samo to, że była tam wanna z gorącą wodą, wydało jej się

cudowne. Maisie odkręciła kurek i wlała do wanny hotelowy płyn do kąpeli. Zdjęła szary dres, który dali jej na policji, żeby wziąć do badania jej ubranie, i rzuciła go na podłogę łazienki. Kiedy weszła do pełnej wanny, poczuła, jak pali ją skóra. Z tych części ciała, które wystawały nad powierzchnię wody, unosiła się para. Maisie zanurzyła się po ramiona i szyję. Jej mięśnie się rozluźniły. Ale gdy przymknęła powieki, ponownie zobaczyła Seraphine, jej przerażony wzrok, otwarte usta, z których wydobywał się krzyk. A tuż obok twarz Rica... „Ja się tym zajmę... uciekaj... uciekaj... uciekaj!”

Otworzyła oczy, gwałtownie wciągając powietrze, bo zabrakło jej tchu. Jak miała je zamknąć, żeby znów nie ujrzeć przerażonej Sery?

Szorowała każdy centymetr ciała, aż stało się czerwone i piekące. Sama nie wiedząc kiedy, rozplakała się, a gdy już zaczęła, nie mogła przestać. Leżała w kąpeli i szlochała, aż woda całkiem wystygła. I cały czas walczyła z pokusą, żeby zanurzyć się pod powierzchnię i już nigdy nie wypłynąć. Owca

*

Mimo że poprzedniego dnia umknęła przed mediami, nazajutrz rano na pierwszych stronach niemal wszystkich gazet widniała jej twarz. Nagłówki wręcz krzyczały: „Jak udało jej się ująć z życiem?” i „Co wie świadek?”. Wszędzie było też zdjęcie, jak z kamienną miną opuszcza posterunek.

Może popełniła błąd, nie rozmawiając z dziennikarzami. Może powinna była zdobyć ich przychylność, dać im to, na czym tak bardzo im zależało, ale wystarczająco trudno jej było kłamać na policji, żeby jeszcze powtarzać te kłamstwa przed całym światem. Policja jej nie uwierzyła – Maisie nie miała co do tego złudzeń. Jeśli w dodatku media uznają, że jest winna... sama widziała, co spotkało Lindy Chamberlain, kiedy Australijczycy nie dali się przekonać, że to pies dingo porwał jej dziecko. Spędziła w więzieniu trzy lata, zanim w końcu została uniewinniona... a nie zawsze tak się dzieje.

Zasłużyła na więzienie za to, co zrobiła. Wiedziała o tym. Ale zabrakło jej odwagi, żeby wyznać prawdę. Teraz pozostawało jej tylko liczyć na to, że Ric

dotrzymał słowa i zajął się wszystkim. I mieć nadzieję, że ciało Seraphine nigdy nie zostanie odnalezione.

41

Grudzień 2019

Kiedy otwieram pudełko, przede wszystkim w nos uderza mnie ohydny zapach. Odór zepsutego mięsa jest tak silny, że nie wiem, dlaczego nie przeniknął przez karton i nie zasmrodził całego kurierskiego vana. Aż odruchowo się cofam i zbiera mi się na wymioty.

Co to ma być, do diabła?

Coś, co znajduje się w pudełku, jest okrągłe i różowe, ma białe chrząstki i leży na czarnej bibułce. Kiedy chcę to dźgnąć, zaczyna się ruszać.

O Boże, to się rusza!

Odskakuję do tyłu, uderzam biodrem o krawędź kuchennego blatu i strącam leżący na nim talerz, a ten rozbija się z brzękiem, przerywając dziwną ciszę. Podnoszę rękę do ust, żeby powstrzymać krzyk. Dzieci są na górze i jeśli zaczną krzyczeć, zaraz przybiegną. Nie mogę dopuścić, żeby to zobaczyły.

Czy to się rusza?

Wyjmuję z bloku nóż i wyciągam przed siebie obronnym gestem niczym miecz. Nie mam pojęcia, jak to, co na pierwszy rzut oka wydawało się zgniłym mięsem, może pulsować, wiem jednak, że raczej nie ma szans z nożem. Gorączkowo rozważam możliwości. Czy to jakieś zwierzę? Obdarte ze skóry i jeszcze na tyle żywe, żeby mnie zaatakować? Myśl, że zajrzawszy do pudełka, zobaczyłam

oskórowanego królika albo świnę morską, jest tak przerażająca, że nie mieści mi się w głowie. Kto byłby na tyle chory, by przysłać coś takiego?

Cokolwiek to jest, muszę działać szybko, przezwyciężyć strach i zbytnią wrażliwość, bo jeśli Faye albo George zobaczą tę potworność, już nigdy więcej nie zasną. Albo, co gorsza, moja córka, jak ją znam, uprze się, żeby zatrzymać to pozbawione skóry i włosów obrzydlistwo jako zwierzątko domowego. Brr!

Ostrożnie wyciągam rękę i próbuję zamknąć pudełko nożem. Potem delikatnie zdejmuję je z blatu i pospiesznie idę z nim do tylnych drzwi. Na zewnątrz je przechylam, stawiam na boku i odsuwam się na pewną odległość, trzymając w dłoni nóż.

To coś nie rzuca się na mnie, tylko z głuchym odgłosem upada na terakotę, czarny papier się odchyła i widzę setki robaków wijących się na kawale mięsa. Zbiera mi się na wymioty. To serce jakiegoś zwierzęcia, barana albo jagnięcia, sądząc z rozmiaru. Smród jest nie do wytrzymania, robactwo – obrzydliwe, ale uświadamiam sobie swoją głupotę, bo poniosła mnie wyobraźnia. To tylko szczeniacki dowcip, żeby napędzić mi strachu, nic więcej. Mitchell musi bardziej się postarać, jeśli chce wytrącić mnie z równowagi.

Nadzievam serce na nóż, zanim Archie je zwęszy i zeżre – taki wybredny, jeśli chodzi o psią karmę, którą mu kupujemy, chętnie zjada każde świństwo, jakie tylko znajdzie na ulicy albo na łące. Lisie odchody, krowie placki, stare zapleśniałe kanapki – zajada się tym wszystkim w imię badań naukowych. Nie sądzę, żeby zniechęcił go nawet ten smród – a robaki to pewnie tylko dodatkowa atrakcja.

Wrzucam mięso do pojemnika na zewnątrz, wpychając je między dwa plastikowe worki pełne śmieci. Rob może i nie jest trudny w codziennym pożyciu, ale pojawienie się zarobaczonego zwierzęcego serca pewnie wywołałoby nieprzyjemną rozmowę między nami. Z obrzydzeniem wycieram ręce o spodnie, a potem wyciągam podłączony do kurka z wodą wąż ogrodowy i spłukuję terakotę – robaki spływają strumieniem na grządkę kwiatową. Wzruszam ziemię szpadelkiem Faye i one także znikają.

Muszę się już tylko pozbyć pudełka. Karton tak cuchnie, że nie chcę oddawać go do recyklingu. Spalenie też nie wchodzi w grę, więc polewam go wodą, aż zamienia się w mokrą kupkę papier mâché. Z odrazą biorę ją w dwa palce i także wrzucam do kubła, a następnie pokazuję środkowy palec, na wypadek gdyby Mitchell skądś mnie obserwował.

– Tak łatwo się nie dam! – wołam w kierunku pustej ulicy. – Jestem od ciebie silniejsza! Powinieneś już to wiedzieć.

I zadowolona, że wygrałam tę rundę, wracam do domu, zamierzając pozbić rozbitą talerz. W środku jednak zastaję Faye wrzeszczącą wniebogłosy, że Archiego nigdzie nie ma.

42

Maisie

Sierpień 1999

– Mieliśmy nadzieję, że lepiej zapamiętałaś mężczyznę, który napadł Seraphine – odezwała się policjantka. – Teraz, kiedy już wyszłaś z szoku... – Podniosła rękę. – Wiem, że było ciemno, rozumiemy to. Ale kiedy zobaczyłaś, co on jej robi... nie przyjrzałaś mu się?

Maisie już otwierała usta, by odpowiedzieć, że tak jak mówiła, właściwie go nie widziała, gdy uświadomiła sobie, że to ich nie zadowoli. Dopóki nie poda jakiegoś rysopisu, policja nie zostawi jej w spokoju, podobnie zresztą jak media. Jeśli jednak opiszę Rica i go zatrzymają... wołała nie myśleć, co mógłby w odwecie zeznać.

– Był wysoki – zaczęła, zdając sobie sprawę, jak nieprzekonująco to brzmi. – I szczupły.

– Białe? – spytała Claire. – Czy czarne?

– Białe. – Może należało powiedzieć, że czarne... to od razu wykluczyłoby Rica. Ale już było za późno. – I do tego bardzo błąd, tak wtedy pomyślałam – dodała szybko, przypominając sobie opaleniznę Rica.

– A jakiego koloru miał włosy? – podjęła Claire zachęcająco, bo wreszcie czegoś się od Maisie dowiadywali. – Ciemne?

– Nie, nie – zaprzeczyła Maisie, widząc przed oczami brązowe włosy Rica. – Ale też nie blond. – Westchnęła, uświadamiając sobie, że wkopuje się w sytuację bez wyjścia, byle tylko nie podać jego rysopisu. – Może czarne.

Zauważyła, że ci dwoje spoglądają na siebie znacząco, i ponieważ dotarło do niej, że musiała powiedzieć coś nie tak. Pomieszczenie, w którym siedzieli, wydawało się mniejsze niż wcześniej, a pokryte jasnoszarą boazerią ściany jakby z każdą mijającą godziną coraz bardziej zbliżały się do siebie. Maisie była zmęczona, bardzo zmęczona, i piekły ją oczy – ostre światło jarzeniówki miało w sobie coś, co wywoływało najgorszy rodzaj migreny. Czuła pod okiem lekkie pulsowanie, które dokuczało jej od pół godziny. W tej chwili zeznałaby wszystko, byle tylko już stąd wyjść i wrócić do taniego, ale przynajmniej bezpiecznego i wygodnego hotelu.

– Jesteś tego pewna? – Claire patrzyła na nią z błyskiem w oku, wyczekująco.

Przecież niewątpliwie tego od niej oczekiwali. Później Maisie przez całe lata miała żałować swoich następnych słów, ale w tym momencie nie zdawała sobie sprawy, jakie będą tego konsekwencje.

– Tak – potwierdziła. – Jestem pewna. Zdecydowanie były czarne.

Policjanci znowu wymienili spojrzenia. Derek wolno pochylił się nad stołem i otworzył teczkę, którą mieli przed sobą. Maisie była zdziwiona, że coś w ogóle w tej teczce jest, bo wcześniej nikt do niej nie zaglądał. Jeszcze bardziej ją zaskoczyło, kiedy Derek wyjął stamtąd zdjęcie i jej podsunął.

– Rozpoznajesz tego mężczyznę? – zapytał niemal przymilnie.

– Tak – odrzekła zgodnie z prawdą.

– Czy to on mógł zaatakować Seraphine?

– Nie – zaprzeczyła odruchowo. – Nie, to nie mógł być on. Był dla nas naprawdę miły... nie sprawiał wrażenia zdolnego do... nie, na pewno, to nie był on.

– Zapomnij o tym, jakie sprawiał wrażenie – rzuciła Claire, znowu z wyraźną frustracją w głosie. – Skup się na tym, co tamtej nocy zobaczyłaś. Powiedziałaś, że wieczorem Mitchell Dyke i Seraphine spędzili ze sobą dużo czasu i że razem

oddalili się od obozowiska, dlatego poszłaś jej szukać. Kilku innych świadków widziało, jak mężczyzna odpowiadający rysopisowi Dyke'a wchodzi między drzewa z młodą kobietą.

– Może akurat ktoś szedł przez las – rzuciła Maisie. – Ktoś, kto nie zarejestrował się na wędrowkę tym szlakiem.

– Ale przecież rozbiłaś namiot obok grupy, do której należał Mitchell, prawda? Piłaś razem z nimi. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś podobny do opisanego przez ciebie mężczyzny dostał się na szlak i zabił twoją znajomą? Chyba że... – Policjantka urwała i popatrzyła wymownie na Dereka.

– Chyba że co? – zapytała Maisie, spoglądając to na jedno z nich, to na drugie. – No co? Chyba że co?

– Chyba że nas okłamujesz, Maisie – powiedziała spokojnie Claire.

Maisie nagle poczuła, że zalewa ją falami atak migreny, który zbliżał się od jakiegoś czasu.

– Chyba że to ty skrzywdziłaś Seraphine i teraz próbujesz się z tego wywinąć.

– Nie – wymamrotała. Objęła głowę rękami. To wszystko zmierzało w niewłaściwym kierunku. Bardzo niewłaściwym. Przede wszystkim po co w ogóle wszczęła alarm? Dlaczego nie posłuchała Rica i nie trzymała buzi na kłódkę? – Nie, nie, nie.

– W takim razie powiedz nam, dziewczyno... – podjęła Claire.

Maisie zapragnęła, żeby policjantka zamilkła choć na chwilę, dała jej pomyśleć, zastanowić się, co powiedzieć. Niech wreszcie się od niej odczepią, zostawią ją w spokoju, żeby mogła wsiąść do samolotu i wrócić do swojego nudnego, spokojnego życia, w którym tylko zmieniałyby pieluchy dziecku, chodziła do pracy, podawała kanapki z bekonem i kawę. I nie miałyby już więcej do czynienia z policją, żaden gliniarz nie zwracałby się do niej po imieniu, jakby mówił: „Chcemy ci pomóc, jesteśmy po twojej stronie”, choć ona za każdym razem słyszy w tym jedynie: „Jesteś winna, winna, winna” i wie, że dopóki tego nie przerwie,

dopóki czegoś nie zrobi, już zawsze będzie to słyszeć – od policji, sędziego, mediów, całego świata. Winna, winna, winna.

– Od początku kłamałaś? Mówiąc, że widziałaś, jak ktoś napada na Seraphine? Czy może tym kimś był mężczyzna ze zdjęcia?

– Tak – szepnęła. Wzrok mąciły jej łzy, a skronie tętniły boleśnie. – Tak.

– Co „tak”, Maisie? – włączył się Derek gniewnym głosem, jak kochanek, który pyta, czy tego chcesz, czy naprawdę tego chcesz.

– Tak, to był on. – Po policzkach spłynęły jej łzy i zobaczyła przed oczami błysk.
– On to zrobił. Zabił Seraphine.

Grudzień 2019

– Nie ma go! – krzyczy zapłakana Faye. – Nie ma Archiego!

– Ej, spokojnie – mówię jej.

Moja córka jest histeryczką i lubi dramatyzować. Nasz pies pewnie chowa się przed nią i jej ulubioną zabawą w „inwazję sapiącego potwora”, polegającą na tym, że Barbie z Malibu i Barbie z Przyjścia Piżamowego razem walczą z nim jako z wielkim czarnym sapiącym potworem, który zajął Krainę Sypialni. Archie nie lubi zwłaszcza jej końca, kiedy obie lalki próbują zapędzić go do Pieczary Przeznaczenia, czyli do szafy. Kiedy widzi, że pojawiają się Barbie, pospiesznie zwiewa, zostawiając potężnemu Georgezaurowi rolę czarnego charakteru.

– A zajrzałaś do łazienki? – pytam.

Archie marzy, żeby któregoś dnia sięgnąć do muszli klozetowej i napić się z niej wody.

– Tam też go nie ma! Drzwi frontowe były otwarte i uciekł!

Zastygam w bezruchu. W naszym domu nie obowiązuje zbyt dużo zasad, ale większość dotyczy Archiego, a pierwsza z nich to niezostawianie drzwi otwartych.

– Dlaczego je otworzyłaś? – pytam, niemal potykając się o stertę klocków Duplo, żeby dostać się do przedpokoju.

– Nie otworzyłam – twierdzi Faye. – Już były otwarte. I zawołałam: „Archie, co to jest?!”, ale nie przyszedł.

Serce podchodzi mi do gardła. „Archie, co to jest?” to niezawodna metoda. Ten przeklęty pies tak lubi smaczki, że usłyszałyby otwieranie puszek z przekąskami, nawet gdyby był na łące przy końcu ulicy, dam głowę.

– Idź po smaczki! – rozkazuję i już wkładam klapki, które stoją przy drzwiach.

Wybiegam na ulicę i rozglądam się we wszystkie strony, ale nigdzie nie widzę Archiego. Kiedy wyobrażam sobie, jak wpada pod samochód, ogarnia mnie panika.

Faye dogania mnie po chwili, trzymając puszkę ze smaczkami. Energicznie nią potrząsa i obie krzyczymy:

– Archie! Archie, co to jest?!

Wołamy tak raz po raz, ale jego nie ma. Zastanawiam się, kiedy zniknął – wtedy, gdy dostarczono tę odrażającą przesyłkę. Czyli co najmniej pół godziny temu. O Boże!

– Biegnij do sąsiadów! Poproś Lindę, żeby przysłała do George’a!

Jeszcze tego mi trzeba, żeby podczas szukania psa zaginął George. Wskakuję do domu, wkładam wysokie buty i chwytam kurtkę oraz smycz, na wypadek gdybym musiała złapać na lasso tego małego drania.

– Laura, czy coś się stało? Biedna Faye przybiegła, wołając, że George zaginął.

Przysłała Linda. Mimo że co najmniej raz w tygodniu wpada na herbatę, a czasami także na coś konkretnego, zupełnie nie wiem, w jakim jest wieku. Na pewno starsza ode mnie, ale równie dobrze może mieć czterdzieści pięć, jak i sześćdziesiąt lat. Rob uważa, że bliżej jej do sześćdziesiątki, tylko świetnie się trzyma, i wszystko, co od niej słyszałam, raczej to potwierdza. Niezależnie od tego, ile ma lat na karku, przez całe dni musi ćwiczyć albo pielęgnować włosy i paznokcie, bo widuję ją tylko w legginsach i bluzach z kapturem i ani razu nie zauważyłam, żeby jej tlenione blond włosy miały choćby milimetrowy odrost. Teraz wygląda, jakby właśnie ćwiczyła. Albo – znając ją – uprawiała seks. Jej mąż zmarł pięć lat temu, zostawiając po sobie dużą kwotę ubezpieczenia, i Linda nie ma za dużo zajęć z wyjątkiem wspomnianych właśnie ćwiczeń oraz numerów z niczego niespodziewającymi się akwizytorami, którzy wpadają w jej sidła.

– O Boże, nie, przepraszam cię, Linda. To Archie zniknął. Mogłabyś przypilnować George’a, w czasie gdy będę szukała psa? Byłabym ci bardzo wdzięczna.

– Och, co za szczęście. – Kwituje moją prośbę kiwnięciem ręki i wchodzi do środka. – Idź i znajdź tego łobuza. Ja zajmę się George’em.

– Dziękuję – rzucam i praktycznie wyciągam Faye z domu.

– Zadzwonisz do tatusia? – pyta Faye, gdy biegniemy ulicą, a ja co chwilę wołam Archiego.

– Nie ma potrzeby – odburkuję. Skąd w niej taka wiara w możliwości tych cholernych mężczyzn? Bo na pewno nie przejęła jej ode mnie. Zawsze świetnie sobie radzę ze wszystkimi problemami, a jednak dyżurnym rozwiązaniem Faye pozostaje telefon do ojca. – Archie pewnie pobiegł na łąkę i zaraz go znajdziemy.

Nagle przychodzi mi do głowy, że jeśli ten cholerny pies wydostał się na ulicę, to zabranie ze sobą Faye nie było najlepszym posunięciem. Tak się spieszyłam, żeby już wyjść i szukać psa, że nie pomyślałam o konsekwencjach. Boże, mam nadzieję, że nie stało mu się nic złego.

Kiedy wpadamy na łąkę i rozglądamy się dokoła, adrenalina krąży mi w żyłach. Ale psa nigdzie nie ma. Byłam przekonana, że zobaczę jego czarną sylwetkę w trawie. Aż robi mi się słabo i muszę oprzeć ręce na kolanach, żeby nie upaść.

– Gdzie on jest, mamusiu? – zawodzi Faye.

– Na pewno nie odbiegł daleko, kochanie – odpowiadam, ale wiem, że to nieprawda.

Archie może już być Bóg wie gdzie i wszystko mogło mu się przydarzyć. Na szczęście jest zaczipowany, więc jedyna nadzieja w tym, że ktoś go znajdzie i powiadomi weterynarza.

– Musisz zadzwonić do tatusia – domaga się Faye.

Wzdycham i dzwonię.

– Laura? Co się stało? – pyta Rob, słysząc mój łamiący się głos. – Z dziećmi wszystko w porządku?

– Chodzi o Archiego – wyrzucam z siebie. W pełni zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji dopiero wtedy, kiedy muszę powiedzieć o wszystkim Robowi. – Zaginął. Wydostał się z domu i nie wiadomo, gdzie jest.

– Cholera – mruczy Rob. – Jak długo go nie ma?

– Nie wiem, ponad pół godziny. Pewnie wybiegł, kiedy przyszła przesyłka.

Paczka, która tak bardzo mnie zaaferowała. Po raz pierwszy, odkąd zobaczyłam otwarte drzwi i dowiedziałam się o braku psa, uderza mnie, że moment, w którym się to stało, może nie być przypadkowy. Mitchell przysłał kuriera, żeby ukraść nam zwierzę.

– O Boże. Zaraz przyjadę – mówi Rob, a ja nagle żałuję, że do niego zadzwoniłam.

Jeśli to, co właśnie przyszło mi do głowy, jest prawdą, nie mam pojęcia, co zdarzy się teraz. Moja rodzina powinna trzymać się z dala od tej sytuacji, a ja potrzebuję czasu, żeby pomyśleć. Czy to możliwe, że Mitchell Dyke pojawił się pod moimi drzwiami po odjeździe kuriera? Czy zaplanował to wszystko?

– Laura? – zaskakuje mnie podniesiony głos Roba. Nawet nie zauważyłam, że wciąż do mnie mówi.

– Przepraszam, tak?

– Pytałem, czy zaczniesz sprawdzać u sąsiadów, zanim skończę coś w pracy i wrócę? Archie pewnie dostał się do czyjegoś ogrodu i właśnie wyjada komuś śmieci z kosza.

Budzi się we mnie nadzieja. Oczywiście, zwabił go jakiś zapach. Za bardzo panikuję – przecież to nie pierwszy raz, kiedy drzwi były otwarte. Archie pewnie przez cały czas buszuje w ogrodzie za domem Lindy.

– Tak, trzeba to sprawdzić – odpowiadam.

Może Faye ma rację i rzeczywiście potrzebuję faceta do pomocy przy rozwiązywaniu swoich problemów.

44

Maisie

Sierpień 1999

Wszystko stało się tak szybko. Funkcjonariusze policji kanadyjskiej dali Maisie do podpisania złożone przez nią zeznanie, zanim zdołałaby je zmienić – choć oczywiście nie mogła tego zrobić. Powiedziała to, co chcieli usłyszeć, a potem wydarzenia potoczyły się już same.

Aresztowania dokonano następnego dnia. Ledwie zdążyli zatrzymać Mitchella, który był już spakowany i jeszcze przed wieczorem miał lecieć do domu. W gazetach uznano to za przyznanie się do winy – po co uciekać, jeśli nie ma się nic do ukrycia? Nie wspomniano o tym, że Mitchell i ci, z którymi podróżował, już wcześniej przełożyli wylot, żeby pomóc policji w śledztwie, i nie widzieli powodu, dlaczego nie mogliby już wrócić do domu. Nie spodziewali się, że trafi to na pierwsze strony gazet, pod wręcz śmiesznymi nagłówkami w stylu: „Na złodzieju czapka gore”. Dowodzone także, że winę Mitchella potwierdzają wyniki ekspertyzy, choć Maisie nie miała pojęcia, co to znaczy, bo wiedziała, że nie jest winny. Czy może jednak był?

Kiedy usłyszała o jego aresztowaniu, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Oczywiście sądziła, że do tego dojdzie – Derek i Claire niemal otworzyli szampana, kiedy przyznała, że mężczyzną, którego widziała tamtej nocy z Seraphine, mógł być

Mitchell. To miałoby sens, bo przecież przez cały wieczór okazywał Serze zainteresowanie... w pewnym momencie nawet kleili się do siebie u wejścia do jej namiotu... i czy nie zniknęli razem na jakiś czas? Im dłużej Maisie myślała o wydarzeniach tamtego wieczoru, tym bardziej dochodziła do przekonania, że Mitchell naprawdę dziwnie się zachowywał i zdecydowanie było w nim coś nachalnego. Ewidentnie miał ochotę na Seraphine, w tej kwestii nie musiała kłamać, i może właśnie dlatego oddalili się razem od obozowiska, jak sugerowała policja, i może stał się zbyt natarczywy, a ona wciąż mówiła „nie”. A jeśli rzucił się na nią, a potem ją udusił, żeby nikomu nic nie mogła powiedzieć? Tak musiało być. Matka stale opowiadała Maisie makabryczne historie o kobietach gwałconych wieczorami, gdy samotnie wracały na piechotę do domu albo wsiadały do taksówki. Zawsze była pewna, że w ten sposób matka chce ją zatrzymać, wzbudzić w niej strach, żeby nie odeszła, nie zostawiła ich, tylko siedziała w domu i karmiła dziecko, kiedy budziło się w nocy. I teraz właśnie, myślała Maisie, coś takiego się przydarzyło, tyle że nie jej, ale Seraphine, choć czy rzeczywiście tak się stało? Może jednak tak. Przecież wiedziała, co spotkało Serę, no nie? Może Ric mówił prawdę... Jeśli Mitchell napadł na Serę i zostawił ją na pewną śmierć, to wtedy nie byłoby winą jej, Maisie, że... „Idź już, ja się tym zajmę, uciekaj!”

I przecież policja mówiła, że od początku podejrzewali Mitchella, i ktoś widział, jak się całują, on i Seraphine... No i zdjęcie Mitchella było w tamtej teczce, bo miał w kieszeni bransoletkę, którą nosiła Sera. On twierdził, że bransoletka się rozerwała i chciał ją rano naprawić, jak obiecał, ale policjanci sądzili, że zatrzymał ją jako trofeum – tak robią seryjni mordercy, o których słyszy się w wiadomościach. No i te badania kryminalistyczne, które przyniosły kolejne dowody, tak pisano w gazetach. Więc może jednak to był on, może to, co widziała... co zrobiła, to była tylko narkotykowa halucynacja. Albo koszmarny sen.

Jakże łatwo wmówiła sobie, że nie miała nic wspólnego ze śmiercią Seraphine.

Sierpień 2000

ON JEST NIEWINNY – TWIERDZI KOLEŻANKA ZE SZLAKU

„Morning Herald”

Koleżanka Mitchella Dyke’a, oskarżonego o porwanie i zabójstwo angielskiej turystki, Seraphine Cunningham, zeznała, że nie może on być winny. Dyke, który miał dwadzieścia lat w czasie, gdy dziewczyna zaginęła, jest sądzony w sprawie zabójstwa dokonanego na szlaku West Coast 30 lipca 1999 roku.

Kaz Rigby, podróżująca wtedy z Dykiem, twierdzi, że to bardzo dobry człowiek i gdyby spotkała go odmowa ze strony Cunningham, nie posunęłyby się do zamordowania dziewiętnastolatki. Wyśmiała zarzut, że cała grupa wyznawała satanizm i Cunningham została złożona w ofierze podczas obrzędów satanistycznych. „Ubieraliśmy się na czarno, i co z tego? Mitchell zamierza studiować kryminologię, chce pomagać w rozwiązywaniu zagadek zbrodni, a nie te zbrodnie popełniać. Ubieranie się na czarno nie jest przestępstwem”.

O głównym świadku policji, Maisie Goodwin, Rigby mówi: „Nie wiem, czy ona kłamie, czy po prostu się myli, ale to nie było tak. To nie Mitchell powinien stanąć przed sądem”.

Goodwin i Cunningham poznały tamtych na szlaku West Coast dzień przed tym, jak Cunningham zaginęła. Podobno Mitchell Dyke poczuł „instynktowny pociąg” do zaginionej, co według niektórych z grupy mogło nie

spotkać się z wzajemnością. „Ledwie ją znał. Mitch nie jest z tych, którzy zachowują się wobec kobiet agresywnie, gdy dostają kosza – oświadcza stanowczo Rigby. – Wiem, że on tego nie zrobił. Jest niewinny”.

Rozprawa będzie kontynuowana po długim weekendzie – i wtedy zeznanie złoży główny świadek w tej sprawie, Maisie Goodwin, która twierdzi, że widziała, jak Dyke morduje Seraphine.

Grudzień 2019

Rob przyjechał godzinę temu. Pukamy do wszystkich drzwi przy ulicy, sąsiedzi wychodzą z domów, żeby pomóc nam szukać, ale Archiego jak nie było, tak nie ma. Linda zamieściła posty na każdej lokalnej grupie na Facebooku, Faye wciąż płacze i nawet Rob wygląda, jakby stracił już nadzieję na odzyskanie psa. Kiedy siedziała uwięziona u nas, pilnując George'a, Linda wydrukowała zdjęcie naszej kudłatej zmory, żeby rozdać je sąsiadom. Powstała prawdziwa spontaniczna ekipa poszukiwawcza, ale gdy obserwuję jej członków pukających do kolejnych drzwi i zachęcających gospodarzy do przetrzebienia ich ogrodów, uderza mnie to z całą mocą... Archie zaginał. I być może nigdy się nie odnajdzie.

– To nie może być przypadek – powtarza Rob chyba już czwarty raz. – Najpierw ktoś w mieście próbuje uprowadzić Faye, a teraz porywa naszego psa. Nie rozumiem, co się tu dzieje.

Po raz pierwszy żałuję, że nie mam odwagi powiedzieć mu, co się tu dzieje. O Kanadzie, o Mitchellu, o wszystkim, co zrobiłam. Zaczynam naprawdę płakać, a Rob mnie przytula.

– Przepraszam, skarbie – mówi. – Gadam głupoty. To musi być fatalny zbieg okoliczności. Najpierw to, co stało się z Faye, a teraz jeszcze to, gównianie się z tym czuję. Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować.

Wtulam twarz w jego pierś i daję sobie chwilę, żeby się opanować. Potem znów się rozdzielamy i szukamy: pod żywopłotami, za zaparkowanymi autami. Wtykam

fotografię Archiego każdemu, kto przechodzi. Widzę, że mój mąż robi to samo po drugiej stronie ulicy. Para, która mieszka naprzeciwko, zmierza w naszym kierunku.

– Przykro nam, Laura, doszliśmy aż do Queensway i Rydal, ale nigdzie go nie ma. – Kręcą głowami. – Pójdziemy w przeciwną stronę, do Victorii.

– Dziękuję wam, bardzo wam dziękuję.

Ktoś się zbliża, więc wyciągam zdjęcie i dopiero wtedy dociera do mnie, że to Cally.

– O. – Ściągam brwi. – Co ty tu robisz?

– Zobaczyłam post na Facebooku o zaginionym psie i przysłałam pomoc w poszukiwaniach – odpowiada. – Nie wiedziałam, że chodzi o ciebie... napisała go jakaś Linda? W każdym razie nie potrafię nie zareagować, kiedy widzę psisko w potrzebie.

– Post wrzuciła nasza sąsiadka. Nasz pies wabi się Archie. Mały łobuz uciekł, kiedy odbierałam paczkę.

– Zauważyłaś, w którą stronę poszedł?

– Nie. Musiałam zostawić uchylone drzwi i zanim wróciłam do środka, dał nogę. – Coś przychodzi mi do głowy. – Cholera, nie pomyślałam, żeby sprawdzić podgląd z kamery.

Wyjmuję telefon i przewijam nagranie od przyjazdu kuriera. Widzę siebie, wnoszącą do domu tę ohydłą paczkę, i aż wzdrygam się na samo wspomnienie. W chwili, kiedy drzwi się zamykają, doręczyciel szybko wyciąga rękę.

– Co on robi? – pyta Cally. – Co tam trzyma?

– Chyba kartkę albo kawałek kartonu – odpowiadam i serce zaczyna walić mi w piersi. – Wetknął to między drzwi a framugę, żeby się nie zatrzęsnęły.

A więc to nie był przypadek. Żaden okropny zbieg okoliczności. Nie widać mnie na nagraniu. Kurier otwiera stopą drzwi i pojawia się w nich łeb Archiego. Pies wychodzi z nosem przy ziemi, wyniuchuje coś na niej, potem idzie dalej.

– Facet rzucił mu smaczki. – Cally aż wciąga powietrze. – Co za drań!

Nie ma sensu dłużej chodzić po okolicy. Nasz biedny Archie został uprowadzony przez faceta, który doręczył mi gnijące zwierzęce serce. Niemożliwe, żeby te dwa wydarzenia nie miały ze sobą związku, i myślę już tylko o tym, że człowiek, któremu zrujnowałam życie, ma mojego ukochanego psa.

*

Rob dzwoni na policję, a ja zawiadamiam tych, którzy pomagają nam szukać Archiego, że to bezcelowe. Po drodze zastanawiam się, co mam powiedzieć funkcjonariuszom – będą chcieli wiedzieć, co zamówiłam, żeby mogli dotrzeć do firmy kurierskiej i ich pracownika. Tyle że niczego nie zamawiałam i facet nie pracuje w żadnej firmie kurierskiej.

– Wiem, że to zabrzmia głupio, jeśli spytam, czy dobrze się czujesz – mówi Cally, idąc przy mnie – ale wydaje mi się, że coś innego cię gnębi. Chodzi tylko o Archiego? Bo ciągle myślę o tym, że przedtem próbowano porwać twoją córkę, a dzisiaj uprowadzono psa...

– Tak, musi ci się wydawać, że jestem najgorszą osobą na świecie, skoro nie potrafię upilnować swoich podopiecznych. – Łzy napływają mi do oczu. – Nie zasługuję na to, żeby mieć dzieci, a nawet zwierzęta.

– Ojej, nie przesadzaj... – Głaszczę mnie po ramieniu. – To oczywiste, że ktoś cię nęka. Były chłopak? Wściekły pracownik?

Chciałabym, myślę. Gdyby to było takie proste...

– Dobra – rzucam i odwracam się do niej. Jakoś muszę jej to wyjaśnić. Mam ochotę wyjawic komuś prawdę, ale nie mogę zdradzić Cally wszystkiego, oczywiście, że nie. – To stalker. Rob nie może się dowiedzieć, bo wtedy będzie pytał, dlaczego to przed nim zataiłam. Myślałam, że facet przyjmie odmowę i zostawi mnie w spokoju. Nie sądziłam, że posunie się tak daleko.

– Nie powiedziałaś nic Robowi nawet po tym, co przydarzyło się Faye?

– Nie mogłam – mówię wręcz błagalnym tonem, bo zależy mi, żeby zrozumiała. – Wtedy było już na to za późno. Nie chciałam, by pomyślał, że to przeze mnie Faye

znalazła się w niebezpieczeństwie. I że sama wszystko sprowokowałam.

– Posłuchaj. – Cally patrzy na mnie i kładzie mi rękę na ramieniu serdecznym gestem, jakiego nie spodziewałam się ze strony kogoś, kogo ledwie znam. – Nie osądzam cię. Rozumiem, dlaczego nie chciałaś wtajemniczać Roba. Co to za mężczyzna?

– Dawny znajomy – mamroczę, dając do zrozumienia, że Mitchell to mój były chłopak. – Co mam powiedzieć policji?

– Wiesz, gdzie go znaleźć? Dokąd mógł zabrać Archiego?

– Nie. – Jestem zła na siebie, że nie dowiedziałam się jeszcze, gdzie może przebywać Mitchell, chociaż obiecałam sobie, że nie będę siedzieć bezczynnie i czekać, aż skrzywdzi moich bliskich, a przecież to właśnie robi. – Nie mam pojęcia, gdzie on mieszka, gdzie pracuje i tak dalej.

– Aha. – Cally się zastanawia. – A ten kurier? Co to była za przesyłka?

– Baranie serce.

– A niech to. – Aż się krzywi. – Domyślam się, że o tym Rob też nie wie.

– Nie.

– Powiedz im wszystkim, że pudełko było puste – radzi. – I właśnie się zastanawiałaś, czy nie zgłosić tego na policję, gdy zauważyłaś, że nie ma Archiego. Uznają, że dostarczono puste pudełko, żeby uprowadzić psa.

– Jesteś genialna! – mówię. Skręcamy w ulicę, przy której stoi mój dom. – Wstąpisz do nas czegoś się napić? Czy jestem dziwna, że to proponuję?

– Wpadnę tylko na trochę – odpowiada. – Gdybyś okazała się dziwna.

Uśmiecham się, ale tylko przelotnie. Nie chce mi się wracać do domu, żeby stanąć przed histeryzującymi dziećmi i pełnym wątpliwości Robem, ale nie mam wyboru. Policja najwyraźniej jeszcze nie przyjechała i kiedy wchodzimy do środka, Cally proponuje, że zaparzy nam wszystkim kawy, i pyta, gdzie jest kuchnia. Wolałabym napić się ginu, ale wskazuję jej, gdzie ma iść, i zbieram siły przed spotkaniem z dziećmi.

– Mamusiu, znalazłaś Archiego?! – woła George, gdy mnie widzi, i przypada do moich kolan. – Ja chcę Archiego!

– Jeszcze nie, kochanie, ale już niedługo – obiecuję.

Patrzę na Roba, który unosi brwi. Musi zdawać sobie sprawę, tak jak ja, że szanse na odnalezienie psa są małe, ale przez wzgląd na dzieci robi dobrą minę do złej gry.

– Przygotowujemy plakaty – mówi.

Pokazuje kartkę, na której George bazgroli podobiznę Archiego albo raczej dinozaura. To, co rysuje Faye, bardziej przypomina psa, choć nie naszego. Zmuszam się do uśmiechu.

– Wspaniale – rzucam. – Po tym Archie szybko wróci.

– A tymczasem Linda – dodaje Rob – zamieszcza zdjęcie Archiego w mediach społecznościowych i ma już setki udostępnień. Wstawiła je na wszystkie okoliczne grupy. Szkoda, że nie miał na sobie starej obroży, tej z GPS-em.

Wtedy doznaję olśnienia. Przed oczami staje mi obraz sprzed paru godzin: Archie patrzy na mnie skruszony, z pogryzioną obrożą wiszącą mu na szyi, a ja ją zdejmuję i zakładam mu starą – tę, która go drażniła, więc przestaliśmy jej używać. Z GPS-em.

– Wiem – mamroczę, intensywnie myśląc. – Co za pech.

I tak po prostu wpadam na to, jak wytropię Mitchella. Nie wiem tylko, co będzie, kiedy już to zrobię.

47

Maisie

Sierpień 1999

Czekała i czekała, żeby Ric się z nią skontaktował, ale daremnie. Zamartwiała się przez całe dni, że wściekł się na nią za wszczęcie alarmu... nie tak się umówili. Miała wrócić do obozowiska, wsunąć się do śpiwora i próbować zasnąć, a rano zawiadomić wszystkich, że wyniknęła pilna sprawa i Sera musiała w nocy ruszyć w drogę.

– A jej rzeczy? Czy to nie będzie wyglądało podejrzanie, że wszystko zostawiła?

– Ukryj jej plecak w lesie – polecił. – A potem powiedz, że nie miała czasu złożyć namiotu i prosiła, żebyś zrobiła to za nią. Kto wie, może nawet, jeśli dopisze ci szczęście, już ich nie będzie, kiedy wstaniesz. Na takich szlakach nikt nie zwraca uwagi na innych, każdy chce tylko wędrować dalej.

Tyle że poszło inaczej. W drodze powrotnej Maisie się potknęła i kiedy w zupełnych ciemnościach dotarła na miejsce, była przerażona i całkiem rozbita. W głowie jej się kręciło, tak że ledwie mogła iść prosto. Przewróciła się, praktycznie lądując na jednym z namiotów, a wtedy wyszła z niego Kaz i zaczęła pytać, co jej się stało, czy tak ją ścięło, że nie może zachować równowagi.

– Ona nie żyje! – wykrztusiła Maisie, całkiem mimo woli. – Seraphine... nie żyje.

– Jak to? – Kaz chwyciła ją za rękę uspokajającym gestem. – Co to znaczy... co się stało? Jak to „nie żyje”?

– Nie wiem.

Maisie się trzęsła, nie mogła nad sobą zapanować. Wszystko rozmazywało jej się przed oczami. Czy zaraz straci przytomność? Zwymiotuje?

– Gdzie ona jest, Maisie? – dopytywała się Kaz. – Musimy sprowadzić pomoc. Gdzie ona jest?

Ale Maisie tylko kręciła głową. Potem opuściła ją między kolana i jedyne, co słyszała, to jakiś głuchy jęk. Dopiero po chwili zorientowała się, że ona sama go wydaje. Nagle zobaczyła przed sobą tamtych chłopaków. W pośpiechu się ubierali.

– Ona mówi, że Sera nie żyje – przekazała im Kaz piskliwie, z paniką w głosie.

– On rzucił się na nią – odezwała się, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego, ale Kaz usłyszała to i Maisie zdała sobie sprawę, że nawaliła. – Tak... no nie?

Sama nie potrafiła zrozumieć, dlaczego to powiedziała. Bo tak pomyślała w tamtym momencie, prawda? Że Ric rzucił się na siostrę, a ona, Maisie, próbowała pomóc... Sera upadła, a wtedy on warknął: „Co narobiłaś, Maisie? Co narobiłaś? Ona nie żyje, zabiłaś ją, nie żyje...”.

– Kto się na nią rzucił?

Maisie pokręciła głową.

– Ja nie... nie wiem. Trzeba wezwać pomoc, musimy się stąd wydostać...

– Przestań – odezwał się jeden z chłopaków. – Chodźmy tam. Gdzie to było?

Poniewczasie pomyślała o Ricu, który miał zająć się ciałem Sery. Jeśli zostanie przyłapany, wszystko wyjdzie na jaw. Co ona zrobiła? Jak mogło do tego dojść?

– Tędy. – Wskazała w kierunku przeciwnym niż ten, z którego właśnie przyszła.

Chłopcy ruszyli w tamtą stronę, a Kaz pobiegła do jednego z namiotów i przyniosła bluzę z kapturem.

– Masz. – Podała ją Maisie. – Włóż to. Cała drżysz. Pewnie jesteś w szoku. Spróbujemy skontaktować się z policją... Na plaży jest jako taki zasięg. Pójdiesz ze mną?

Maisie, całkowicie otępiała, kiwnęła głową. Nie mogła myśleć, nie wiedziała, co dalej, więc była wdzięczna Kaz, że sama wezwała policję. Pod wpływem szoku i przerażenia trochę oprzytomniała, ale pragnęła, żeby ktoś nią pokierował, zwolnił ją od wszystkich decyzji. Po jakimś czasie stwierdziła, że Ric pewnie wściekł się na nią, gdy zrozumiał, że nie trzymała się planu, zrobiła inaczej, niż jej kazał. Czy dlatego się z nią nie kontaktował? Czy może byłoby to zbyt ryzykowne? W końcu żadne z grupy, którą wieczorem spotkały na szlaku, Kaz ani chłopcy, nie widziało z nimi Rica. W jego najlepiej pojętym interesie było trzymać się z dala.

Z tego, co on i Seraphine mówili jej podczas wędrówki, wynikało, że ich rodzice raczej nie przylecą do Kanady, spodziewała się jednak, że zjawą się ich ciotka i wuj. Ale widać albo byli starsi, niż można by sądzić ze słów Rica, albo nie mieli pieniędzy na podróż. Jej pobyt w hotelu opłacała policja – pewnie dlatego, że Maisie była im potrzebna jako świadek. Czowała się okropnie na myśl, że ciotka i wuj Sery siedzą w domu i martwią się o nią. Czy Ric ich zawiadomił?

Dopiero siódmego dnia, po aresztowaniu Mitchella, Maisie powoli uświadomiła sobie, że dała się nabrać. W gazetach pisano, że Seraphine pochodzi z zamożnej angielskiej rodziny, a jej rodzice odmówili wszelkich komentarzy, oświadczając tylko, że zerwali z córką stosunki i że dla nich dawno umarła. „Już ją opłakaliśmy – powiedział w ich imieniu rzecznik. – Straciliśmy nasze jedyne dziecko kilka lat temu”.

Jedyne dziecko. Żadnej wzmianki o Ricu ani o wujostwie z Australii. Tylko bogata rodzina i wyrodna córka. Kim więc był Ric? I dlaczego udawali z Serą brata i siostrę? Nic na tym nie zyskali oprócz tego, że nie musieli sami płacić za przejazd autobusem na szlak West Coast. Czy o to im chodziło, czy za pomocą tej cynicznej sztuczki chcieli wyłudzić pieniądze od jakiegoś frajera? Jeśli tak, to znaleźli sobie świetną ofiarę. Wytypowali Maisie już na początku. Prostolinijna, stłamszona, zdesperowana. A skoro tak łatwo udało im się ją omamić i naciągnąć na bilet... to

dlaczego nie posunąć się dalej? Dlaczego nie uwieść biednej naiwniaczki, nie pograć trochę na jej uczuciach? Do czego zmierzali? Planowali, że pozbawią ją całej forsy i zostawią z niczym? Może „zgubiliby” bilety na samolot i Maisie tak bardzo pragnęłyby im pomóc, że lot też by im opłaciła?

Sama się prosiłaś, powiedziała sobie z niesmakiem. Jesteś żalosna.

Co poszło nie tak? Jak to się stało, że Seraphine straciła życie? Boże, Maisie bardzo żałowała, że nie może sobie tego lepiej przypomnieć. Co takiego widziała... albo wydawało jej się, że widzi? O co oni się kłócili... jak to się stało, że Sera upadła? Jedyne, co miała przed oczami, to martwe ciało na szlaku i Ric, mówiący, że zajmie się wszystkim.

Zresztą i tak było już za późno. Spełniło się jej życzenie: straciła kontrolę. Ktoś ją przejął i teraz wszystko toczyło się samo, wykraczając poza jej najgorsze koszmary. Mitchell Dyke siedział w areszcie i miał być sądzony za zabójstwo – i Maisie nie mogła nic na to poradzić.

Grudzień 2019

Lokalizator GPS mam w laptopie i Cally ze zdziwieniem unosi głowę, gdy wpadam do kuchni, podekscytowana. Cholera, prawie zapomniałam, że ona tu jest.

– Wszystko w porządku? – pyta, unosząc brwi.

Mam jej powiedzieć? Wie już o „stalkerze”, ale jeśli jej zdradzę, że zamierzam stanąć z nim oko w oko, prawdopodobnie będzie próbowała mnie od tego odwieść, nakłonić, żebym szczerze porozmawiała z Robem. Jednak po tych wszystkich latach radzenia sobie samej, duszenia w sobie sekretów, dobrze by było znowu komuś zaufać. No i przecież nie powiem jej całej prawdy.

– Chyba mogę odnaleźć Archiego – mówię i przytykam palec do ust, wskazując sąsiedni pokój, w którym siedzą Rob i dzieci, żeby nie zareagowała zbyt głośno.

– Jak? – pyta ściszym głosem.

– Ma na szyi starą obrozę, z GPS-em – wyjaśniam. – Ale od dawna jej nie nosił, więc może nadajnik przestał działać. Muszę zalogować się na swoje konto, żeby to sprawdzić.

– O Jezu, to się pospiesz.

Obie wstrzymujemy oddech, kiedy klikam „Enter” i na stronie zaczyna ładować się duża mapa. Po chwili ukazuje się migająca czerwona kropka.

– Gdzie to jest? – pyta Cally. – Co to za miejsce?

– Magazyny Boreham – odczytuję, patrząc na współrzędne. – Szybko, możesz mi podać jeden z tych długopisów?

Sięga do kącika, gdzie zwykle rysuje Faye, i podaje mi długopis, a ja zapisuję adres na przedramieniu i naciągam rękaw, żeby go zakryć. Rozlega się dzwonek do drzwi.

– To pewnie policja – mówię. – Kiedy sobie pójdą, wybiorę się tam.

– A może lepiej powiedzieć policji i niech oni się tym zajmą? – sugeruje Cally, ale mówi tak, jakby wiedziała, że nie posłucham.

– Jeśli odkryją, że znam porywacza, będę musiała wytłumaczyć się ze wszystkiego Robowi, a to za duże ryzyko – odpowiadam, zresztą całkiem zgodnie z prawdą. Nie wiem, czy następne zdania też są prawdziwe. – Nie martw się. – Staram się, żeby zabrzmiało to przekonująco. – On nie jest groźny. Chce tylko zwrócić moją uwagę.

*

Funkcjonariusze okazują nam współczucie, ale szczerze mówią, żebyśmy nie robili sobie wielkich nadziei na odzyskanie porwanego psa. Najlepiej rozgłosić sprawę, radzi młodszy, który wygląda, jakby po powrocie mógł usiąść do odrabiania lekcji. Tak jak Linda już to robi, zamieszczając posty w mediach społecznościowych. Możemy także skontaktować się ze stronami, które pośredniczą w sprzedaży psów, wysłać informacje o Archiem i jego zdjęcia, na wypadek gdyby ktoś chciał go sprzedać. Mam wyrzuty sumienia, że marnuję czas policji – wiem, że Archie nie zostanie wystawiony na sprzedaż – i nie mogę się doczekać, kiedy ten miły, ale bezużyteczny chłopak już sobie pójdzie, a ja będę mogła odszukać człowieka, który robi piekło z mojego życia. Rob jednak wciąż zadaje jakieś pytania, a policjant jest zbyt uprzejmy, by powiedzieć, że ma ważniejsze rzeczy do roboty – albo że już powinien iść spać.

Cally wychodzi zaraz po przyjeździe policjantów. Każe obiecać, że wyślę jej esemesa, zanim zrobię coś głupiego. Nie znam jej zbyt długo, ale uświadamiam sobie, że należy do tych niezawodnych przyjaciół, którzy są gotowi pójść za tobą

w ogień, zamiast odwodzić cię od tego zamiaru. Obiecuję spełnić jej prośbę i pewnie spełnię.

Tylko że nie powiedziałam jej o broni w kryjówce ani o tym, że już przed zniknięciem Archiego rozważałam wyciągnięcie jej stamtąd. Teraz czekam, aż mąż położy się do łóżka, żebym mogła zadzwonić po taksówkę i wybrać się w dwudziestominutową trasę na obrzeża Reading, gdzie przechowuję swoje stare życie i w każdej chwili mogę je odzyskać.

To chyba ten moment. Moment, w którym budzi się zamiar. Nazywają to premedytacją. Jeśli zabiję Mitchella Dyke'a swoim starym pistoletem, nie będę mogła twierdzić, że zrobiłam to w obronie własnej. Przyjadę do niego uzbrojona. To, co się tam wydarzy, będzie obciążać mnie. Czy jestem w stanie zrobić to znowu? Zamordować człowieka, ukryć ciało? Życ z poczuciem winy? Jeśli stchórzę, tym razem mogę stracić więcej. Moją rodzinę, moją wolność, moje życie. Nie mogę na to pozwolić, nie mogę dopuścić, by Mitchell zrobił im krzywdę. Wiem, że nie mam wyboru.

– Wszystko w porządku?

Rob podchodzi do wyspy kuchennej, przy której wciąż siedzę, gładzi mnie po włosach, pochyla się i całuje mnie w czoło. Jego dobroć sprawia, że zalewa mnie poczucie winy, bo przecież to wszystko dzieje się przeze mnie. Zastanawiam się, jak Rob przyjąłby wieść o tym, że ożenił się z zabójczynią. Czy kochałby mnie dalej? Czy wciąż gładziłby mnie po głowie, całował w czoło? Chciałabym mu powiedzieć, ale prawda jest taka, że nie znam go wystarczająco dobrze. Wiem o nim wszystko – no chyba że jest tak dobrym kłamcą jak ja – a jednak nie potrafię przewidzieć, jak by zareagował, gdybym wyznała mu, że dwadzieścia lat temu kogoś zabiłam. Nie mam pojęcia, czy nasze uczucie by przetrwało.

– Jak dzieci? – pytam więc i próbuję się nie rozplakać.

– George wypłakał się i zasnął na kanapie – odpowiada Rob. Przeciera oczy, zaczerwienione i podpuchnięte, bo bardzo starał się nie rozkleić przy dzieciach. – Faye wciąż robi plakaty. Pewnie też by odpłynęła, gdyby nie wzięła na siebie pełnej

odpowiedzialności za powodzenie akcji „Odnaleźć Archiego”. – Wzdycha. – Boże, mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Musi być przerażony bez nas. Jesteśmy całym jego światem.

– To twarda sztuka – pocieszam go, próbując odpędzić wizję przywiązanego do kaloryfera psiaka, torturowanego z mojego powodu. – Nic mu nie będzie. Odzyskamy go. Ja go odzyskam, obiecuję. Tak strasznie mi przykro...

– Skarbie. – Rob obejmuje mnie i wtula twarz w moją szyję. – To nie twoja wina. Skąd mogłaś wiedzieć, że zostanie porwany? Jak tylko dopadnę tego drania, zabiję go.

Łatwo powiedzieć. No i wiadomo, że tak się tylko mówi. To nie znaczy, że Rob tak by zrobił. A szkoda. Po raz pierwszy od niemal dwudziestu lat brakuje mi Rica i jego pasji. Nigdy nie żałowałam, że Rob nie jest taki jak Ric, mężczyzna, który okazał się samolubny, bezduszny, wyrachowany, zdolny jedynie do kłamstw i oszustwa, stawiający na pierwszym miejscu własny interes. A jednak gdyby to on tu był, zająłby się wszystkim i byłoby po sprawie.

Idę na górę i kładę się do łóżka obok męża. Czekam, aż jego oddech zwolni, co będzie niechybną oznaką wejścia w głęboki sen, a potem wysuwam się z pościeli i schodzę na dół zadzwonić po taksówkę.

49

Maisie

Sierpień 1999

Nie mogła zrobić nic innego. Proces Mitchella Dyke'a miał się zacząć co najmniej za rok, a policja nie była przygotowana, by dłużej za nią płacić, więc Maisie musiała wrócić do domu i czekać na wezwanie, by wystąpić w sądzie jako świadek. Wyjechała pod osłoną ciemności – Derek zawiózł ją na lotnisko w środku nocy nieoznakowanym wozem policyjnym, żeby nie dopadły jej media. Teraz już reporterzy wieczorami zabierali się spod hotelu. Przez pierwszy tydzień, kiedy odkryli, że Maisie się tam zatrzymała, koczowali przed wejściem, ale gdy się zorientowali, że nie ma w zwyczaju szwendać się po nocy, nękali ją tylko za dnia, mimo że wciąż nie chciała z nimi rozmawiać.

– Uważaj na siebie – powiedział do niej Derek, wyjmując jej plecak z bagażnika.

Maisie zadrżała na sam widok swoich rzeczy. Nie mogła się już doczekać, kiedy po powrocie do domu je spali. Chciała zostawić plecak w hotelu, ale wolała nie ryzykować, że ktoś go znajdzie i odkryje jakieś dowody, o których istnieniu nawet nie miała pojęcia. Przypuszczała, że tak teraz będzie wyglądało jej życie – że cokolwiek zrobi, zawsze będzie się bała. Derek dał jej dwa dwudziestodolarowe banknoty.

– Na coś do jedzenia i taksówkę, kiedy już przylecisz na miejsce – wyjaśnił.

Sprawiał wrażenie zakłopotanego i Maisie się domyśliła, że to pieniądze z jego własnej kieszeni i nie zostaną wliczone do policyjnych wydatków.

Zarumieniła się. Derek okazywał jej życzliwość w ciągu tych paru tygodni od czasu, kiedy się poznali. Początkowo nie przepadała za nim – ani za Claire – ale odkąd zidentyfikowała Mitchella i tym samym oczyściła się z podejrzeń, wyraźnie złagodniał, a nawet był dla niej miły.

– Dziękuję – powiedziała.

Kiedy brała od niego pieniądze, dotknęła jego palców. Były stwardniałe. Przypomniała sobie dotyk Rica, jego gładkie dłonie, i poczuła nagły żal. Może Derek wziął jej minę za wyraz sympatii do niego, a może nawet czegoś więcej, bo cofnął rękę jak oparzony i odchrząknął. Maisie niemal się roześmiała z niedorzeczności tej sytuacji. Pierwszy raz wyjechała z domu i na lot powrotny odwoził ją funkcjonariusz policji. Wciąż miała wrażenie, że to przydarza się nie jej, ale komuś innemu.

– Będiesz pamiętała zalecenia prawników?

Maisie westchnęła.

– Nie mówić nic, co mogłoby zaszkodzić sprawie. Nie rozmawiać z obrońcą oskarżonego bez konsultacji z tobą. Informować cię o miejscu mojego pobytu, żebym mogła zostać wezwana do sądu jako świadek – wyrecytowała monotonnym głosem.

– Doskonale – skwitował Derek.

Spojrzał na ziemię, nie bardzo wiedząc, jak się pożegnać. To wydawało się takie surrealistyczne. Nie byli przyjaciółmi, ale najpierw odnosił się do niej podejrzliwie i otwarcie ją oskarżył, a potem opiekował się nią, uspokajał ją i dodawał jej otuchy. Jezu, pomyślała, co za żenada; być może relacja z nim to jak dotąd najpoważniejszy jej związek z mężczyzną.

– Lepiej już pójdę – rzuciła, zakładając plecak.

Derekowi wyraźnie ulżyło, że Maisie się nie rozklei i nie będzie ścisnąć go na pożegnanie.

– Dzięki za wszystko. Zwłaszcza za to. – Wskazała ręką dookoła. – Nie wiem, jak udało nam się tu dotrzeć bez eskorty reporterów.

– Zawdzięczasz to Claire. – Uśmiechnął się. – Puściła wiadomość, że wylatujesz jutro o jedenastej.

– Sprytnie – orzekła Maisie. – No to cześć.

Derek uniósł dłoń i czuła na sobie jego wzrok, kiedy przechodziła przez automatycznie rozsuwane drzwi międzynarodowego lotniska w Vancouver. Czy wciąż gdzieś w głębi duszy podejrzewał, że jednak ponosi ona jakąś odpowiedzialność za śmierć Seraphine? Czy tylko jej współczuł?

O tej porze na lotnisku panował niewielki ruch i mijając dużą ciemną witrynę zamkniętego sklepu, Maisie pochwyciła swoje odbicie. Śmieszne, pomyślała, jeszcze dwa tygodnie wcześniej, w tym samym miejscu, była puciołowatą naiwną dziewczicą. Nic dziwnego, że Ric i Sera z daleka ją namierzyli. Jednak od tego czasu bardzo się zmieniła. Teraz w szybie widziała smukłą, o połowę szczuplejszą dziewczynę. Znacznie schudła na skutek stresu i lęku, który odczuwała prawie codziennie, i już nie była pulchna, ale nie tylko jej ciało uległo metamorfozie. Nie umiałaby wskazać palcem, co konkretnie jest inne, lecz jej twarz nabrała pewnej surowości, a w oczach pojawił się wyraz świadczący, że zdążyła poznać trochę życia. Może gdyby Ric i Sera już pierwszego dnia dostrzegli w niej tę nową Maisie Goodwin, nie wzięliby jej za taką naiwniaczkę. Właściwie dużo im zawdzięczała, obojgu. Bo wiedziała, że nie pozwoli się już traktować jak śmiecia, że nikomu nie ujdzie to na sucho.

*

Zrozumiała, że szczęście ją opuściło, kiedy stanęła na końcu kolejki do bramki i zauważyła, jak ludzie szepczą między sobą i trącają się łokciami, a potem, gdy już znalazła się w samolocie, wręcz się na nią gapią. Co najmniej trzykrotnie przyłapała siedzącą obok niej kobietę, jak jednorazowym aparatem fotograficznym próbuje zrobić jej zdjęcie, więc w końcu naciągnęła na głowę kaptur i otuliła się kocem, kryjąc twarz. Dziewięciogodzinny lot wydał jej się o wiele dłuższy w tę stronę niż

poprzednio, do Vancouver; pewnie dlatego, że bała się zasnąć, by po obudzeniu się nie zobaczyć na ekranie wideo siebie samej, zaślinionej i chrapiącej.

Kiedy wreszcie wylądowali na lotnisku w Birmingham, Maisie szybko opuściła samolot, przeszła przez odprawę paszportową i odebrała bagaż. Co dziwne, po raz pierwszy, odkąd się to wszystko rozpętało, żałowała, że nie ma przy sobie kogoś, kto by ją wspierał. Nie czekało na nią, jak na typową nastolatkę, żadne z rodziców, ani matka, ani ojciec. Nagle poczuła, że nie chce iść dalej, nie chce się przekonać, co spotka ją za drzwiami terminala. Według kanadyjskich policjantów nikt nie mógł wiedzieć, że będzie leciała tym samolotem, ale nie była zaskoczona, gdy po przejściu przez odprawę celną usłyszała swoje nazwisko. Pomyślała z ironią, że reporterzy chętnie zdobędą jej zdjęcie, jak ze zmęczoną twarzą przechodzi pod napisem *Nic do oclenia**.

Zdziwiła się jednak, bo policja z West Midlands została – dzięki Derekowi – powiadomiona o jej przylocie i wysłała po nią na lotnisko jednego ze swoich ludzi.

– Pani Goodwin? – Podszedł do niej uzbrojony funkcjonariusz i Maisie aż się wzdrygnęła.

Jesteś niewinna, upomniała samą siebie. On jest tu po to, żeby ci pomóc, a nie żeby cię aresztować.

– Tak.

– Proszę ze mną.

Nie wiedziała, jak on wygląda, bo miał na sobie pełne umundurowanie taktyczne, hełm z osłoną, grubą kamizelkę. Pewnie policjanci na lotnisku zawsze byli tak ubrani – albo w tym kraju groziło jej coś, z czego nie zdawała sobie sprawy.

– Jestem w niebezpieczeństwie? – zapytała.

Nie mogła oderwać wzroku od pistoletu przy jego pasie.

– Raczej nie – odparł i Maisie odetchnęła z ulgą, on jednak dodał: – Ale na razie budzi pani sensację. Dobrze by było, żeby przyczaiła się pani na jakiś czas. Przed lotniskiem czeka samochód, który zawiezie panią do domu.

Maisie przypomniała sobie reporterów w Kanadzie, wołających ją po imieniu, gdy tylko gdzieś się pojawiła, i wykrzykujących do niej pytania: „Czy masz coś wspólnego z zaginięciem Seraphine?!”, „Zabiłaś ją, Maisie?!”, „Czy to prawda, że cała byłaś we krwi swojej przyjaciółki?!”, „Zażywałyście obie narkotyki tego wieczoru, kiedy zginęła?!”. Ta kobieta w kiosku, która splunęła jej w twarz, a ciepła ślina spłynęła Maisie po policzku i kapnęła na jej T-shirt. Myśl o spotkaniu ze znajomymi, z matką i siostrami.

– Czy muszę jechać do domu? – zapytała, bo nagle wpadła na pewien pomysł.

Policjant wzruszył ramionami.

– Nie jest pani aresztowana – oznajmił. – Mamy zabrać panią z lotniska. Dokąd się pani uda, to już nie nasza sprawa.

Maisie powoli kiwnęła głową.

– W takim razie... – zaczęła, myśląc o Cunninghamach i ich córce, z którą zerwali stosunki, rzekomo ich jedynym dziecku. – Chciałabym pojechać do Nottingham. Zawieziecie mnie tam?

* Ang. *Nothing to declare*, a więc także „nic do powiedzenia”.

50

Maisie

Styczeń 2000

Stała i patrzyła na rzekę Humber, na jej mętne wody w kolorze błota, obiecujące zapomnienie każdemu, kto by do niej skoczył. Trzymała w ręce kartkę, która była wyznaniem jej największych grzechów i mogła uratować niewinnego człowieka. Maisie wiedziała, że jeśli skoczy do rzeki z tym listem w dłoni albo w kieszeni, jego treść przepadnie na zawsze, będzie nie do odczytania, kiedy wyłowią jej zwłoki. Dlatego wzięła ze sobą kamień; nie po to, żeby obciążyć swoje ciało – i tak porwie je rwący nurt – ale żeby przytrzymać nim list na moście, zanim ktoś go znajdzie, pewnie następnego dnia. Wiatr był silny, aż zwiewał jej włosy na twarz, lecz miała nadzieję, że cienki papier przetrwa pod kamieniem. Więcej nie mogła zrobić. Oczywiście, mogła wysłać go na policję, ale co by było, gdyby coś przeszkodziło jej skoczyć z mostu? Nie chciała ryzykować, że zostanie aresztowana. Chociaż stwardniała w ciągu tego pół roku, odkąd wróciła z Kanady, chociaż nauczyła się troszczyć o siebie, kłamać i oszukiwać, udawać i zwodzić, wiedziała, że w więzieniu nie dałaby sobie rady. Osadzone tam kobiety to były prawdziwe zabójczynie, członkinie gangów, nieskruszone i złe. Nie tak jak ona. Ona pozbawiła kogoś życia... tak, ale nie planowała tego, nie ukartowała. Nie zrobiła tego dla własnej korzyści. To był straszny wypadek, który ciążył jej na sumieniu tak bardzo,

że nie chciała dłużej żyć. I może media byłyby dla niej łaskawsze, gdyby wiedziały, że z powodu swojego czynu, a potem kłamstw jest gotowa odebrać sobie życie.

Wiedziała, że nie byłaby pierwszą osobą, która popełniła samobójstwo, skacząc z mostu Humber. Od czasu, gdy go zbudowano, był świadkiem prawie siedemdziesięciu pięciu takich czynów. Siedemdziesiąt pięć nieszczęsnych znękanym dusz uznało, że świat będzie bez nich lepszym miejscem. Tyle że w jej przypadku było to słuszne. Bo czy możesz myśleć inaczej, wiedząc, że niewinny człowiek pójdzie do więzienia za coś, czego nie zrobił? I tylko ty, wyznając prawdę, jesteś w stanie go uratować? Jej śmierć dosłownie ocaliłaby komuś życie.

Tylko że nie wiesz, czy Mitchell Dyke zostanie skazany, no nie? – szeptał głos w jej głowie. A jeśli go uniewinnią? Okoliczności przemawiają na jego korzyść, a w sprawach, w których nie znaleziono zwłok, rzadko zapada wyrok skazujący. A wtedy umrzesz na darmo.

– To już nie będzie mnie obchodzić, prawda? – mruknęła na głos. – Bo będę martwa.

Jednak ten głos – jej głos, oczywiście, nie była jeszcze na tyle chora psychicznie, by sądzić, że te myśli snuje ktoś inny, próbując odwieść ją od powziętego zamiaru – miał rację. Powinna poczekać do końca procesu, zanim podejmie tak drastyczne środki. Jeśli Mitchell nie zostanie skazany, nie będzie miała powodu, żeby zostawiać ten list – i oczyszczać z zarzutów człowieka, którego uniewinnił sąd. Wtedy jej ofiara pójdzie na marne. Jej nazwisko znowu pojawi się we wszystkich gazetach – prawdziwe nazwisko, nie to, którego używała obecnie. I ludzie, których poznała od czasu, kiedy się przeprowadziła, dowiedzą się, że ich także okłamała.

No i miała jeszcze jeden powód. Powód, żeby żyć jak najdłużej – albo, zależy, jak na to patrzeć, żeby się zabić i to zakończyć. Położyła dłoń na coraz bardziej wydatnym brzuchu, wygładzając na nim T-shirt. Jej dziecko. Wiedziała, że jeśli zaczeka do procesu Mitchella, do złożenia zeznań przeciwko niemu, jej dziecko będzie już na świecie. Odebrać sobie życie – i jemu – zanim się urodzi, to jedno. Niemal przekonała samą siebie, że wyświadczyłaby dziecku przysługę, oszczędzając mu życia z morderczynią i oszustką. Na kogo by wyrosło, mając taką matkę? Ale

gdyby je urodziła, wzięła je na ręce i przytknęła do piersi, czując jego bijące serce, skórę przy swojej skórze – tak jak widziała to u własnej matki, przytulającej swoje następne dzieci – to wtedy już nie pozwoliłaby go skrzywdzić. A więc jeżeli Mitchell zostałby skazany, co by jej pozostało? Odebrać sobie życie i opuścić dziecko, które byłoby zdane na system opieki społecznej i nosiłoby stygmat matki morderczyni, albo porzucić zamiar przyznania się do winy i żyć dalej, zamknąć za sobą przeszłość i być najlepszą mamą, jak tylko potrafi. Wyobraziła sobie, jak mogłoby wyglądać jej – ich – dziecko. Byłoby podobne do niej? Czy do Rica? Stanowiłoby karę za to, co zrobiła, bo musiałyby żyć z duchem mężczyzny, który pomógł jej uniknąć odpowiedzialności za zabójstwo? Swoim uśmiechem, kolorem oczu co dzień przypominałoby jej o tym, co zrobiła? To byłoby życie jak w piekle.

Nie wiedziała, jak długo tak stała na moście, przy barierce, ze zgrabiętymi z zimna palcami u rąk i stóp, gdy za jej plecami zaczął różowieć świt. Jeśli nie podejmie szybko decyzji, pojawią się samochody, ludzie spieszący jak co dzień do pracy. Przez Seraphine i Rica już nigdy nie będzie mogła żyć normalnie.

Sama jesteś sobie winna, ty podła dziewczyno, odezwał się gorzko tamten głos. Seraphine nie prosiła się, żeby ją zabić. A Ric tylko chciał ci pomóc. Gdyby nie on, urodziłabyś dziecko w więzieniu.

Uratował ją, czyż nie? Przecież mógł ją wydać i nic nie zdołałaby na to poradzić. Mógł zostawić ciało Sery tam, gdzie upadło, i pozwolić, żeby Maisie aresztowano, a sam odejść jako wolny człowiek. A zamiast tego... hm, nie widziała, co właściwie zrobił, ale ciała Seraphine nie odnaleziono, więc musiał przenieść je daleko od szlaku, w miejsce, którego nie objęły poszukiwania. Lub nawet zakopał je albo wrzucił do wody. Albo zostawił na pastwę zwierząt.

Wzdrygnęła się. Nie chciała o tym myśleć. Musiała skupić się na tym, że uczynił to dla niej. Żeby uratować ją przed więzieniem. Jeśli coś takiego nie jest wyrazem miłości, to co jest? A ona jak zamierzała mu się odwdzięczyć? Skacząc z mostu i zabijając jego dziecko? Zostawiając list, który uwikłałby go w sprawę zaginięcia Seraphine? Co by było, gdyby Rica znalazła policja? Zatrzymano by go, może nawet,

mimo jej zeznania, oskarżono o zabójstwo. Nagle jej dotychczasowy plan wydał jej się śmieszny, przerażający.

Teraz już wiedziała, co ma zrobić. Musi za wszelką cenę chronić Rica. Dlatego powinna sprawić, żeby zamiast niego to Mitchell poszedł do więzienia. Potem odnajdzie Rica. Powie mu o dziecku i o tym, co zrobiła, by go chronić, jak kłamała, a on jej wyzna, że zakochał się w niej, gdy tylko ją zobaczył. Ta cała historia, że są z Serą rodzeństwem... dałoby się ją wytłumaczyć i pewnego dnia śmialiby się z tego. A kiedy nawiedzałyby ją koszmary – co pewnie by się zdarzało – on znałby prawdę. Nie musiałyby go okłamywać ani udawać, że jest kimś innym, i ten sekret scementowałyby ich związek. Jeśliby płakała, Ric przytulałby ją, mówił jej, że wszystko jest w porządku, że to był wypadek, postąpili, jak musieli. I nigdy by się już nie rozstali. Zostaliby razem na zawsze, ich losy byłyby ze sobą połączone tym, co wydarzyło się kiedyś pewnej nocy.

Teraz tylko musiała go odnaleźć.

Grudzień 2019

Kiedy się budzę, przez jedną błogą chwilę nie pamiętam, co wydarzyło się wczoraj. Czekam, aż Archie zorientuje się, że już nie śpię, i podskoczy do łóżka, jak robi to codziennie. A potem uderza mnie świadomość, że mojego psa tu nie ma, okropne przypomnienie, że Archie zaginął i że to moja wina.

Jazda taksówką w środku nocy do magazynu wydaje się teraz gorączkowym majakiem. Wyślizguję się z łóżka, nie budząc Roba ani nie zaglądając do szafy, gdzie wśród rozmaitych szpargałów schowałam małe czerwone pudełko po butach. Jeśli nie zobaczę go teraz, choć trochę dłużej będę mogła udawać, że wciąż jestem Laurą Johnson, niewinną żoną i matką, a nocna pielgrzymka do innego życia, do osoby, którą byłam kiedyś, wcale się nie odbyła.

Taksówkarz nie zadawał żadnych pytań, kiedy jechaliśmy w milczeniu przez centrum miasta i dalej na przedmieścia, gdzie stoi magazyn. Wybrałam tę kryjówkę, bo znajduje się na uboczu, ale przez to każdy odgłos wydawał mi się zwielokrotniony przez ciemność i panującą wokół ciszę. Zamknięcie drzwi samochodu zabrzmiało niczym wystrzał z broni palnej, otwieranie garażu przypominało grzmot pioruna. Twarz kierowcy pozostała niewzruszoną maską, gdy wchodziłam z powrotem do auta z pudełkiem po butach ukrytym w sklepowej torbie. Jak w gorączkowym śnie. Albo wywołującym zimne dreszcze koszmarze.

Schodzę do kuchni, gdzie na dębowym stole jadalnym zostawiłam wczoraj wieczorem laptopa. Jest zimno, więc opatulam się obszernym miękkim szlafrokiem

i grzeję wodę w czajniku.

Uwielbiam naszą kuchnię, właściwie kuchnię z jadalnią. Kiedy wprowadziliśmy się do tego domu, były to dwa oddzielne pomieszczenia, tradycyjne i niefunkcjonalne, ale zburzyliśmy ścianę między nimi i odkryliśmy, że jest wystarczająco dużo miejsca, by po przeciwnej stronie części kuchennej wstawić stół jadalniany i kanapę. Dzięki temu dzieci mają się gdzie bawić i odrabiać prace domowe, kiedy ja gotuję zdrowe posiłki dla całej rodziny. A przynajmniej taki był zamysł. Próbowałam prowadzić dobre, zwyczajne życie. Ale zawsze znajdzie się coś, co przypomni o przeszłości.

W czasie, gdy w czajniku gotuje się woda, loguję się na GPS-owe konto nadajnika, który ma przy obroży Archie. Czerwona kropka wciąż wskazuje na duży budynek niedaleko stąd. Obawiam się, że Mitchell – czy ktokolwiek inny, kto na jego zlecenie porwał psa – znalazł nadajnik i go wyrzucił, i kiedy znajdę się na miejscu, zastanę tam tylko porzuconą obrozę. Albo, co gorsza, okaże się, że Archie już nie żyje. Muszę się przygotować na taką ewentualność, ale nie może mnie to powstrzymać od dalszych działań. Daję się ponieść fantazji i wyobrażam sobie, jak wieczorem pojawiam się z Archiem, mówiąc rodzinie, że znalazłam go wracającego do domu, jak tamten sprytny szczeniaczek, który uciekł porywaczom, w bożonarodzeniowej produkcji Hallmarku.

Jeszcze raz przeklinam się w myślach za to, że w nocy zabrakło mi odwagi, by jechać tam, gdzie wskazuje GPS, jak tylko odebrałam pistolet. Ale taka brawura to dla mnie o krok za daleko. Nawet teraz zastanawiam się, czy zdołam trzymać się swojego planu. Mówię sobie, że jadę tam tylko się rozejrzeć – broń biorę na wszelki wypadek. Nie muszę jej używać.

Mój telefon krótko wibruje, więc zerkam na wyświetlacz. To esemes od Cally.

Jakieś nowe wiadomości? Tylko nie rób nic głupiego beze mnie.

Nie samo „tylko nie rób nic głupiego”, kropka i koniec. Wiedziałam, że można na nią liczyć. Czy mam zabrać ją ze sobą?

Nic nowego – odpisuję. – Archie jest tam, gdzie był. Pojadę tam po południu.

Nie wspominam, że muszę poczekać, aż przyjdzie zamówiona broń. Cally może i jest luzaczką, ale nie wiem, jak by to przyjęła.

Jadę z tobą – odpowiada bezzwłocznie. – **Nie puszczę cię samej, to zbyt niebezpieczne.**

Nie możesz jechać ze mną – wystukuję. – Ale jeśli nie wrócę, zawiadom policję i podaj im ten adres.

Jadę i już.

Nie mogę się na to zgodzić. Poważnie liczę się z tym, że będę musiała zabić Mitchella Dyke’a, i nie chcę, by ktokolwiek był tego świadkiem. Dlaczego nie trzymał się z dala? Nawet nie wiedziałam, że go wypuścili; żylibyśmy sobie spokojnie.

„Znaleziono ludzkie szczątki...”

A może nie. Wciąż nie ma żadnych nowych doniesień w sprawie tych szczątków – żadna policja w realu nie pracuje tak sprawnie jak w filmach czy powieściach – ale to tylko kwestia czasu. Pojawią się pytania. Dokąd zaprowadzą odpowiedzi? Do mnie?

To kolejny most, który będę musiała pokonać, jeśli do tego dojdzie...

Dzwoni mój telefon i sądząc, że to policja, szybko odbieram.

– Laura, widziałam na Facebooku post o Archiem. Jak się macie?

To pani Murray, sekretarka ze szkoły. Już gdy słyszę jej śpiewny głos, robi mi się różniej na duszy. Czuję się bezpieczniejsza. A jeszcze kilka tygodni temu, myślę, jedynym moim zmartwieniem był nieopłacony lunch szkolny albo jakieś niedostarczone pozwolenie – o czym Tamra i tak by mi przypomniała.

– Nie za dobrze – przyznaję. – Bardzo się martwimy.

– Wyobrażam sobie. – Wiele razy przyjeżdżaliśmy po dzieci z Archiem i wszyscy go uwielbiają. – Właśnie piszę maila z informacją o jego zaginięciu, roześle go po całej szkole. Jeśli jeszcze mogę w jakiś sposób pomóc, daj znać, dobrze?

– Jasne – mówię, wiedząc, że nie uwierzyłaby, gdybym jej powiedziała, jakiej pomocy potrzebuję.

52

Maisie

12 czerwca 2000

Siedziała w kawiarni i butelką karmiła dziecko, kiedy podeszła do niej dziewczyna. To była Kaz Rigby. Maisie, rozpoznawszy ją, aż się wzdrygnęła.

– Jak mnie znalazłaś? – zapytała.

Nie widziała jej od roku. Kaz nie była już ubrana na czarno – miała na sobie jasnoniebieskie dżinsy i żółtą bluzę z kapturem. Dredy, które nosiła, zniknęły, a jej jasnobrązowe włosy były ostrzyżone na boba. Wyglądała znacznie młodziej.

– Dowiedziałam się od twojej matki, gdzie mieszkasz. Chodzę po okolicy w każdy weekend, licząc, że cię spotkam. – Spojrzała na Maisie z nienawiścią w oczach. – Wiesz, że Mitchell jest niewinny – wyrzuciła z siebie. – Jak mogłaś go oskarżyć?

Maisie pokręciła głową, obronnym gestem obejmując córeczkę.

– Nie było cię tam, Kaz – odparła, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to nieprzekonująco. – Nie widziałas, co się stało. A ja tak.

– Nie mogłaś widzieć, jak Mitchell kogokolwiek zabija. Wiem, że nie skrzywdziłby nawet muchy.

Maisie zaśmiała się zimno, bez cienia wesołości.

– Chyba zapomniałaś o pierwszej zasadzie życiowej, Kaz. Tak naprawdę nie znasz nikogo. – Pochyliła się i dodała cicho: – Ja przekonałam się o tym aż za dobrze.

– Co to ma znaczyć? – Kaz ściągnęła brwi. – Co zaszło tam na szlaku? Co naprawdę widziałaś?

Maisie jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko pokręciła głową. Wstała i położyła córeczkę do wózka, po czym przypięła ją szelkami i schowała pod budkę butelkę.

– Zostaw mnie, bo wezwę policję. Nie wolno nękać świadka. Są jeszcze inne dowody, nie tylko moje zeznanie.

Kaz popatrzyła na nią gniewnie.

– Mitchell jest niewinny. Nie obchodzi cię to? Załatwiłam mu adwokatów... on sam może nie ma pieniędzy, ale są jeszcze dobrzy ludzie, którzy pomagają bezinteresownie. Bo mu wierzą. Dotrzemy do prawdy, a wtedy ty pójdiesz do więzienia. Wiesz, jak to jest, kiedy ktoś, kogo kochasz, zostaje rozerwany na strzępy? Mitchell dzwoni do mnie i płacze. Nie nad sobą, ale nad dziewczyną, o której zabójstwo go oskarżają. Płacze nad nią, chociaż to jemu grozi, że spędzi resztę życia za kratkami. Chcę, żebyś o tym wiedziała, Maisie. Chcę, żebyś za każdym razem, kiedy kładziesz się spać, wiedziała, że tam gdzieś jest ktoś, kto przez twoje kłamstwa może nigdy się nie ożeni, nie będzie miał dzieci, nie zobaczy więcej zachodu słońca nad morzem. Niech ci się to przypomina co wieczór, kiedy będziesz kładła do snu swoje dziecko.

Maisie otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale zanim zdołała wykrztusić choćby słowo, Kaz odwróciła się i wyszła.

Rozprawa

Sierpień 2000

Derek zeznawał już od dwudziestu minut, kiedy prokurator – niejaki Henry Marshall – włączył telewizor i odtworzył nagranie wideo, na którym jakiś mężczyzna idzie w stronę kontenera na śmieci, wrzuca do niego czarny worek i odchodzi. Marshall włączył funkcję odtwarzania w pętli, po czym przystąpił do przesłuchiwania świadka.

– Może pan powiedzieć przysięgłym, co pokazuje ten fragment nagrania, panie Barnes?

Derek odchrząknął.

– Pokazuje, jak Mitchell Dyke...

Obrońca Dyke'a, pan Harris, natychmiast zerwał się na nogi.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Skąd świadek może wiedzieć bez cienia wątpliwości, że na nagraniu jest Mitchell Dyke?

– Sprzeciw podtrzymany – oznajmiła sędzia. – Proszę wyrażać się bardziej precyzyjnie, panie Barnes.

Derek kiwnął głową. Na czole wystąpiły mu kropelki potu. Oparł się pokusie, żeby je wytrzeć i tym samym zdradzić swoje zdenerwowanie.

– Przepraszam, pani sędzio. Nagranie pokazuje osobę, którą według nas jest Mitchell Dyke, jak wyrzuca do śmieci czarny worek.

– I dla jeszcze większej precyzji – odezwał się Marshall – proszę powiedzieć sądowi i przysięgłym, dlaczego pana zdaniem to oskarżony jest na tym nagraniu?

– Cóż, przede wszystkim dlatego, że po aresztowaniu pana Dyke’a kelner z hotelowej restauracji zadzwonił na policję, że widział oskarżonego, jak wrzuca czarny worek do kontenera na śmieci za hotelem. Kiedy przyjechaliśmy, żeby przesłuchać tego człowieka, dowiedzieliśmy się od kierownika hotelu, że z powodu serii włamań zainstalowali tam monitoring, obejmujący zasięgiem cały teren, i specjalnie dla nas odszukali nagranie z nocy, kiedy dokonano przestępstwa.

– A więc miał pan świadka, który zeznał, że na nagraniu jest pan Dyke. Czy coś jeszcze?

– Tak. Zmierzyliśmy drzwi i kontener na śmieci, żeby określić wzrost osoby z nagrania, i porównaliśmy go ze wzrostem pana Dyke’a. Są zgodne. A gdy pan Dyke został zatrzymany, miał na sobie taką samą kurtkę jak mężczyzna z nagrania monitoringu.

– Dziękuję panu. Kiedy więc mówi pan „osoba, którą według nas jest Mitchell Dyke”, ma pan kilka powodów, by sądzić, że nagranie pokazuje pana Dyke’a?

– Sprzeciw!

– Panie Harris, już pan wykazał to, na czym panu zależało – orzekła sędzia. – Proszę dalej.

– Wysoki Sądzie. – Marshall znów odwrócił się do Dereka. – Co powiedział pan Dyke, kiedy go zapytano, czy to on jest na tym filmie?

– Pan Dyke nie chciał ani potwierdzić, ani zaprzeczyć.

– Dobrze. Może pan mi powiedzieć, dlaczego to takie ważne?

– Ze względu na zawartość wyrzuconego worka.

– Sprzeciw! Świadek nie może wiedzieć, który z czarnych worków znajdujących się w kontenerze wyrzucił mężczyzna widoczny na tym nagraniu.

– Sprzeciw odrzucony! Proszę wrócić do tego, panie mecenasie, kiedy będzie pan miał świadka do swojej dyspozycji.

Marshall skorzystał z okazji.

– Skąd wiadomo, panie Barnes, który worek wyrzucił mężczyzna widoczny na nagraniu?

– Stąd, że były na nim odciski palców Mitchella Dyke’a.

– I co ten worek zawierał?

– Bransoletkę Seraphine Cunningham, T-shirt i dżinsy, które, jak sądzimy, oskarżony miał na sobie w noc przestępstwa.

– Czy to ta bransoletka? – Marshall wziął ze stołu z dowodami paciorkową bransoletkę Seraphine i pokazał ją, po czym jego asystent przeszedł z nią przed ławą przysięgłych.

– Tak.

Takie bransoletki, z kolorowych paciorków nawleczonych na pleciony sznureczek, nosiły nastolatki i nazywały je bransoletkami przyjaźni. Na białych paciorkach znajdowały się czarne litery tworzące imię SERAPHINE.

– I to te dżinsy i ten T-shirt, które znaleziono w worku?

Asystent oskarżyciela pokazał dwie czarne części garderoby.

– Tak. I był jeszcze pasek.

Zaprezentowano czwarty dowód. Wszystko wyglądało na wyreżyserowane, bo pewnie takie było.

– Ten?

Derek pochylił się i uważnie obejrzał pasek z czarnej skóry, z ciężką kłamrą w kolorze srebra. Przedstawiała głowę węża, w którego paszczy widać było ostre zęby jadowe i długi rozwidlony język.

– Zgadza się.

– Czy może pan jeszcze powiedzieć, co wykazało badanie tego paska?

– Że w zęby węża zaplątały się cztery długie włosy. Okazało się, że pasują one pod względem koloru i długości do włosów zdjętych ze szczotki należącej do

Seraphine Cunningham.

– I znaleziono je na pasku będącym własnością oskarżonego?

– Sprzeciw! Nie ma dowodu, że ten pasek należał do Mitchella Dyke'a.

– Podtrzymany. Proszę inaczej sformułować pytanie, panie prokuratorze.

– Przepraszam, Wysokie Sądzie. Czy włosy te znaleziono na pasku, który był w worku z odciskami palców oskarżonego?

– Tak.

– W worku, którego pozbył się mężczyzna zidentyfikowany przez niezależnego świadka jako oskarżony?

– Tak.

– I ten pasek pokazano innemu świadkowi, który był w obozowisku na szlaku tamtej nocy, kiedy zaginęła Seraphine Cunningham?

– Tak. Kilka osób pamiętało, że nosił go pan Dyke, bo jak mówił, uważał go za „trochę straszny”. To cytat.

– Dziękuję panu. Przejdźmy do tych włosów i bransoletki. Co się okazało, gdy oskarżony został aresztowany?

– Że zamierzał wyjechać z kraju.

– Sprzeciw! Pan prokurator dobrze wie, że oskarżony zabukował bilet na samolot kilka miesięcy wcześniej. I nie miał powodu, żeby z niego nie skorzystać.

– Odrzucony. Będzie pan miał okazję przesłuchać świadka, panie mecenasie. A pan prokurator niech nie zadaje pytań, na które świadek musi udzielić odpowiedzi budzących zastrzeżenia obrony.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. Czy oskarżony mówił coś w trakcie aresztowania?

– Kiedy odczytaliśmy mu jego prawa, powiedział: „Nie tknąłem jej”.

– I uznał pan, że chodzi o Seraphine Cunningham?

– Właśnie usłyszał, że jest aresztowany pod zarzutem zamordowania Cunningham, więc tak.

– Co jeszcze pan zauważył u oskarżonego?

– Kiedy pan Dyke składał zeznania kilka dni wcześniej, dostrzeżliśmy, że ma na szyi jakieś zadrapania. Gdy go aresztowaliśmy, zakrywał je gęsty zarost.

– Czy pan Dyke wyjaśnił, skąd wzięły się te zadrapania?

Policjant opuścił wzrok i poczerwieniał. Odchrząknął.

– Czy coś się stało, panie Barnes?

Derek pokręcił głową.

– Nie, nic się nie stało. Chodzi o to, że... podczas przesłuchania oskarżony przyznał, że odbył stosunek seksualny z Seraphine Cunningham. Gdy spytaliśmy go o te zadrapania, odpowiedział, że to ona mu je zrobiła... właśnie wtedy.

– Dziękuję panu. Pomówmy przez chwilę o miejscu, w którym doszło do przestępstwa. Kiedy przyjechał pan tam, gdzie ostatnio widziano Seraphine Cunningham, co pan zauważył?

– Przede wszystkim dość trudno było znaleźć to miejsce. Pani Goodwin nie umiała określić, jak bardzo oddaliła się w ciemności od obozowiska, więc nie mogliśmy ustalić, gdzie dokładnie dokonano przestępstwa. Przeszukując okolicę, zauważyliśmy na ziemi tuż obok szlaku sporą plamę krwi i znaleźliśmy należący do Cunningham zakrwawiony T-shirt.

– Czy oddano go do analizy?

– Tak. Była to krew tej samej grupy, jaką miała Cunningham.

– Czy były inne ślady krwi, które prowadziłyby w głąb lasu?

– Nie.

– A ślady prowadzące na plażę? Choćby parę kropli?

– Nie.

– Czy w trakcie tego przeszukania natrafiliście na coś jeszcze? – spytał prokurator.

– Tak. W krzakach, które ktoś próbował podpalić, znaleźliśmy biustonosz i stringi. Wszystko wskazuje na to, że nosiła je Cunningham.

– Czyli wynikałoby z tego, jak chce nam wmówić obrona, że „nie ma ciała, nie ma zbrodni” i Seraphine Cunningham nie została zamordowana na szlaku, tylko

poszła sobie gdzieś bez T-shirtu i bez bielizny.

– Tak.

– A co wykazały badania tych rzeczy?

– Na wszystkich trzech znaleziono ślady spermy. Na zapięciu stanika było jej za mało do analizy, ale z T-shirtu i majtek pobrano odpowiednią ilość. Jest duże prawdopodobieństwo, że to sperma Mitchella Dyke’a.

– Czy na tych rzeczach były ślady wskazujące na kogoś innego?

– Nie. Nie było żadnych śladów, które nie należały do oskarżonego i ofiary.

– Nie mam więcej pytań.

Grudzień 2019

Nie mogę dłużej siedzieć beczynnie i czekać. Czas na decyzję: podać lokalizację policji czy jechać tam sama?

„Znaleziono ludzkie szczątki...”

Muszę sobie poradzić sama. Spróbować przemówić Mitchellowi do rozsądku – odzyskał wolność i będzie głupi, jeśli zaryzykuje jej ponowną utratę dla błahej zemsty. A jeśli ten argument nie zadziała? Zrobię to, co będę musiała.

Jak tam?, odbieram esemesa od Cally. Nie wspomniałam jej o pistolecie i nie mam zamiaru tego robić. Najwyżej poproszę ją, żeby czekała na mnie na zewnątrz, w razie gdyby coś poszło nie tak.

W tym miejscu za dwie godziny, odpisuję i wysyłam jej zdjęcie ulicy przylegającej do kompleksu magazynów, gdzie jak wskazuje pulsująca czerwona kropka, wciąż jest trzymany Archie.

Wkładam czarne dżinsy i czarną bluzę, na to narzucam płaszcz, który zwykle noszę, gdy wyprowadzam psa, i naciągam czapkę na głowę.

– Mogę wziąć twój samochód? Przejadę się po okolicy, może zauważę tamtego vana albo coś innego – pytam Roba, a on przyciąga mnie do siebie i ściska.

– Przestań się zadręczać – mówi. – Policja robi, co może.

– Rob, to skradziony pies, a nie porwane dziecko. Na pewno nie odwołają inspektora Morse’a z emerytury, żeby szukał czyjegoś zwierzaka.

Wygląda tak, jakby po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że policja nie tyra dzień i noc, by odnaleźć naszego Archiego. Teraz mam wyrzuty sumienia, że rozwiązałam jego złudzenia. Rob wie, że spokojne, bezpieczne życie, w którym jeśli pojawia się jakiś problem, dzwoni się na policję, a oni go rozwiązują. W świecie Roba wciąż panuje sprawiedliwość. Tylko ja wiem, jak względna jest idea prawdy i sprawiedliwości. Gdybym mu powiedziała, co zamierzam, byłby przerażony.

– Pewnie masz rację – odpowiada. – Chcesz, żebyśmy pojechali z tobą, ja i dzieci? Moglibyśmy rozdać w sąsiedztwie trochę ulotek.

– Nie, nie ma potrzeby. Muszę pobyć trochę sama ze sobą – uspokajam go, wiedząc, że to właśnie pragnie usłyszeć.

Po trzech minutach rozprowadzania ulotek Faye i George zaczęłyby jęczeć i marudzić, że jest im zimno/nudno/są zmęczeni – niepotrzebne skreślić.

Tak jak przewidywałam, Rob przyjmuje to z wyraźną ulgą. Całuje mnie na pożegnanie i zastanawiam się, kim będę, kiedy wrócę – jeśli wrócę. Czy może widzę go ostatni raz? Jutro mogę być już uciekinierką albo aresztantką. Czy zginę z rąk Mitchella?

Ta myśl skłania mnie do refleksji – chociaż nie zamierzam siedzieć spokojnie i czekać, co on zrobi, nie chcę wpaść w zasadzkę. Ale Mitchell raczej się nie zorientował, że Archie ma w obroży nadajnik, i na pewno nie wie, że znam jego kryjówkę. I tym razem ja mam przewagę. No i broń.

*

Żegnam się z dziećmi dłużej niż zwykle. Ale ponieważ należę do osób, które lubią się przytulać – zawsze obiecywałam sobie, że dzieci dostaną ode mnie całą miłość i uwagę, jakich ja sama nie zaznałam w dzieciństwie – nie są szczególnie zdziwione, a Rob chyba uznał, że z powodu Archiego jestem trochę rozchwiana emocjonalnie. Żadne z nich się nie domyśla, jaki to dla mnie ważny moment. Wychodzę i zatrzymuję się jeszcze przy oknie od frontu, chłonąc ich widok: Faye i George oglądają po raz setny *Vaianę*, a Rob przegląda coś w swoim telefonie. Wszystko wydaje się takie niewinne, takie normalne. Zbiera mi się na płacz. Mam

ochotę wpaść do środka, pozamykać wszystkie drzwi, żeby żadne z nas już nie wyszło z domu, żebyśmy już zawsze byli tylko we czwórkę. Ale nastąpi kolejny dzień i dzieci będą musiały wrócić do szkoły, a Rob do pracy, i Bóg tylko wie, gdzie będzie Archie. Nie mam wyjścia i muszę przez to przebrnąć.

Macam kieszeń, do której włożyłam pistolet – jest ciężki i dziwnie go dotykać. Zerkam na telefon – za czterdzieści minut mam spotkać się z Cally. Do magazynów Boreham jedzie się co najmniej pół godziny, więc muszę już iść. Biorę głęboki oddech i ruszam alejką do samochodu, zostawiając za sobą moją ukochaną rodzinę – może już na zawsze.

*

Gdy tylko zajeżdżam na miejsce, widzę, że Cally już jest, siedzi w samochodzie. Zjawiała się wcześniej, ale przecież nie zegnała się z rodziną, myśląc, że to może ostatni raz. Sądzi, że jesteśmy tu po to, by sprawdzić, czy w środku nie ma mojego psa – co już samo w sobie jest niebezpieczne i czuję dla niej wielki szacunek, że to robi. Jest właśnie taką przyjaciółką, jaką chciałam mieć, gdy byłam młodsza, odważną i zdeterminowaną. Przypomina mi mnie samą, choć na pewno nie przeszła przez to co ja, żeby taka się stać.

Jest zajęta swoim telefonem i kiedy stukam w szybę po stronie pasażera, przestraszona unosi głowę. Otwieram drzwi i wślizguję się na fotel obok niej.

– Nie musiałaś przyjeżdżać – mówię.

– A ty nie powinnaś – odpowiada. – Ale skoro tak się uparłaś, nie mogłam puścić cię samej.

Zaparkowałyśmy nie pod samym kompleksem magazynów, tylko ulicę dalej, jak prawdziwi zawodowcy. Pistolet wręcz wypala mi dziurę w kieszeni. Dziwię się, że Cally go nie zauważyła, bo wydaje mi się taki wielki.

– Hm, dziękuję ci. Co czytasz?

– Och, o tej turystce, która zaginęła kiedyś na szlaku West Coast. Niedawno znaleźli jakieś szczątki, słyszałaś?

Jeśli to w ogóle możliwe, moje serce bije jeszcze szybciej.

– Tak, coś niecoś. Jakieś nowe wiadomości?

– Uhm. – Cally podsuwa mi telefon, żebym zobaczyła nagłówek.

To ten most, który muszę pokonać, tak jak mówiłam.

LUDZKIE SZCZĄTKI ZNALEZIONE NA SZLAKU WEST COAST TO NIE ZWŁOKI SERAPHINE CUNNINGHAM

Sunę wzrokiem po stronie i czytam, że szczątki należą do dorosłego mężczyzny. Nie wiadomo jeszcze, kim był, na razie tylko ustalono, że to na pewno nie ciało dziewiętnastoletniej kobiety. Co już oczywiście wiem.

Cokolwiek to dla mnie oznacza, nie będę musiała pokonywać tego mostu dzisiaj. Żyję tak od dawna: rozwiązuję problemy, kiedy się pojawiają, nie psując sobie dnia dzisiejszego zamartwianiem się o jutrzejszy. Nie zawsze się to udaje – nie można przygotować się na katastrofę, nie licząc się z jej nadejściem – ale teraz mam co innego na głowie.

– O, to musi być zawód dla jej rodziny. Założę się, że chcieliby poznać prawdę.

– Ciekawe w takim razie, czyje to zwłoki – mówi z namysłem Cally, a ja widzę przed oczami jego twarz tak wyraźnie, jakby stał teraz przede mną.

– To na pewno wyjdzie na jaw – rzucam.

I pokonam ten most, gdy będzie trzeba.

55

Rozprawa

Sierpień 2000

– Panie Barnes, mój uczony kolega napomknął wcześniej, że wielokrotnie brał pan udział w śledztwach dotyczących zabójstwa. Ile razy konkretnie?

Derek odchrząknął nerwowo, co wyraźnie wskazywało, że czuje się tym pytaniem skrępowany.

– Jedenaście.

– Jedenaście. Hm, to całkiem sporo. A ile z nich prowadził pan jako detektyw?

Odpowiedź Dereka była tym razem cichsza.

– Cztery.

– Cztery. Czyli cztery śledztwa pan prowadził, a nie tylko wykonywał czynności pomocnicze?

– Sprzeciw! Poprzednie sprawy nie mają związku z naszą.

– Panie mecenasie, do czego pan zmierza?

– Próbuję ustalić kwalifikacje świadka, tak wysoko oceniane przez oskarżenie, Wysoki Sądzie.

– Zgoda. Sprzeciw odrzucony. Proszę świadka, żeby odpowiedział na pytanie.

– A co to było za pytanie? – zapytał Derek, wyraźnie poirytowany. – Usłyszałem stwierdzenie.

– Sformułuję to inaczej, Wysoki Sądzie – pospiesznie rzucił obrońca. – Czy to prawda, że podczas swojej pracy w policji prowadził pan śledztwo tylko w czterech sprawach o zabójstwo?

– Tak, zgadza się, chociaż to nie wyłącznie detektyw decyduje o przebiegu śledztwa.

– Nie mam co do tego wątpliwości. I jeszcze jedno pytanie w tej kwestii... w ilu z tych spraw był pan detektywem prowadzącym?

– W jednej.

– Tylko w jednej? – Obrońca spojrzał na członków ławy przysięgłych, a potem znowu na Dereka. – W tej?

– Tak, w tej.

– Aha, dziękuję, że nam to pan wyjaśnił. I na pewno zna pan z doświadczenia... – wymówił to słowo z naciskiem, jakby brał je w cudzysłów – przypadki szczególnie krwawych zbrodni.

– Tak, parę.

– I powiedziała by pan, na podstawie swojego doświadczenia, że w poprzednich sprawach było więcej krwi czy mniej niż w tej?

– Powiedziałbym, że więcej.

– Powiedziała by pan, że więcej – powtórzył obrońca jakby w zamyśleniu. – I zeznał pan, że w trakcie tego śledztwa znaleziono ślady krwi na T-shircie i na ziemi?

– Tak.

– I pańskim zdaniem rzekoma ofiara nie przeżyłaby utraty takiej ilości krwi.

– Zgadza się.

– Czy zdziwi to pana, jeśli powiem, że człowiek może przeżyć, straciwszy około dwóch litrów krwi?

Derek się zawahał. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że stracił pewność siebie.

– Nie, nie zdziwi – odparł w końcu.

– Ale aż takiej jej ilości nie znaleźliście, prawda?

– Wcale nie uważaliśmy, że pani Cunningham wykrwawiła się na śmierć.

– Mógłby pan odpowiedzieć na moje pytanie?

– Nie, nie znaleźliśmy dwóch litrów krwi.

– Dziękuję. A jakie zdobyliście dowody, konkretne dowody, że mój klient jest zamieszany w tę zbrodnię?

– Tymi dowodami są włosy na klamrze od jego paska. Zadrapania na szyi. I bransoletka, którą miał. Jego nasienie na bieliźnie ofiary. I zeznanie świadka.

– Mój klient przyznał, że odbył stosunek seksualny z panią Cunningham za jej zgodą, co tłumaczy obecność jego nasienia na jej bieliźnie i jej włosów na klamrze. Bransoletka zerwała się podczas stosunku i pan Dyke schował ją do kieszeni, obiecując, że później zajmie się jej naprawą. I wreszcie dochodzimy do wspomnianego przez pana świadka. – Tym razem obrońca pokazał palcami cudzysłów. – Ale najpierw może pan mi powiedzieć, czy jest jakiś dowód, że mój klient popełnił zabójstwo? Czy istnieje materialny dowód... oprócz nieokreślonej ilości krwi na ziemi i na T-shircie... że w ogóle dokonano zabójstwa?

Barnes przeniósł wzrok z obrońcy na przysięgłych, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Słuchamy, panie Barnes – ponagliła go sędzia.

– Nie – odrzekł Derek i mimo jego woli zabrzmiało to głośno i wyraźnie. – Mamy tylko świadka, który widział, jak oskarżony zabija ofiarę.

Grudzień 2019

Udaje mi się przekonać Cally, żeby została w samochodzie – argumentuję logicznie, że jeśli coś pójdzie źle, lepiej, żebym tylko ja była w środku. Ma czekać przez pół godziny na wiadomość ode mnie, a jeśli się w tym czasie nie odezwę, zawiadomić policję. Tylko na taki plan jest gotowa się zgodzić. I chce, bym obiecała, że nie zapuszczę się daleko, że tylko się rozejrzę i sprawdzę, czy nie ma gdzieś Archiego. Więc dla dobra sprawy obiecuję.

Kompleks jest wielki, mogłoby się w nim zmieścić kilka mniejszych; to bardziej park biznesowy niż magazyny. Na zewnątrz nie ma żadnych samochodów, nie dostrzegam znajomego dostawczego vana ani dużego kierunkowskazu: „Wejście dla czarnych charakterów”. Teren sprawia wrażenie odludnego. Zaglądam do apki z lokalizacją nadajnika, który Archie ma w obroży – czerwona kropka jest już niedaleko. Miejsce wygląda na całkiem opuszczone, ale to tutaj.

Biorę głęboki oddech i rozglądam się wokół, szukając wejścia. W parkanie są dziury, ale wszystkie zostały zabezpieczone prowizoryczną siatką, taką, jakie spotyka się na budowie. Jednak z pewnością można jakoś dostać się do środka, skoro Mitchell przyprowadził tam Archiego.

Wejście znajduję z tyłu. Drewniany płot zbutwiał, a metalowa siatka, którą wstawiono na jego miejsce, została zerwana i wisi smętnie z boku. Nie sądzę, żeby można tu było coś ukraść, więc nikt jej nie naprawił i służy raczej jako bariera, żeby

dzieci się nie zabiły, wchodząc na teren kompleksu. Dzieci i gospodynie domowe w średnim wieku.

Trzy pierwsze budynki są zamknięte na głucho, ale kiedy dochodzę do czwartego – w którym kiedyś mieścił się magazyn starych dywanów – widzę, że wyjście awaryjne stoi otworem.

Wewnątrz unosi się pył, który osiada mi w gardle i powoduje, że chce mi się kaszleć i kichać. Wciąż stoją tam szeregi porzuconych dywanów, tworząc korytarze, przez co miejsce to przypomina labirynt. Nie słyszę żadnych odgłosów, Archiego ani śladu, a ja straciłam już dziesięć minut na szukanie wejścia.

Idę między dywanami – niektóre stoją prosto jak żołnierze strzegący opuszczonego budynku, inne leżą i wyglądają tak, jakby wystarczyło jedno kichnięcie, by potoczyły się lawiną beżu i wzoru paisley. Nie ma tu nikogo, to wydaje się oczywiste. Na końcu hali zauważam drzwi do pomieszczenia dla pracowników. Można by pomyśleć, że to *Mary Celeste*, brygantyna opuszczona przez załogę. Na stole stoi zakurzony kubek z zaschniętą torebką herbaty i leży sterta czasopism dla mężczyzn. W szafach znajdują się naczynia i sztucce. Już mam przejść do następnego budynku, kiedy słyszę ciche szczeknięcie.

Archie.

Rozprawa

Sierpień 2000

Zapis zeznania złożonego przez doktora Rowleya Jacobsa, specjalistę w dziedzinie okultyzmu i zbrodni powiązanych z kultem religijnym.

Pan Marshall w imieniu oskarżenia: Doktorze Jacobs, może pan powiedzieć przysięgłym, czym się pan zajmuje?

Dr Jacobs: Pracuję jako konsultant. Udzielam porad dotyczących funkcjonowania nietradycyjnych grup społecznych.

Marshall: Nietradycyjnych grup? Czyli jakich?

Dr Jacobs: Takich jak gangi, sekty.

Marshall: Gdy mówi pan o sektach, czy ma pan na myśli wyznawców okultyzmu?

Dr Jacobs: Istnieją dwa typy sekt. Nie wszystkie sekty uprawiają okultyzm, to znaczy wyznają wiarę w szatana.

Marshall: Ale pan studiuje oba te typy.

Dr Jacobs: Tak, owszem.

Marshall: I to pan badał przedmioty należące do Mitchella Dyke'a, zgadza się?

Dr Jacobs: Tak.

Marshall: Są to: magiczny dziennik oskarżonego, *Biblia Szatana* autorstwa niejakiego LaVeya, pasek z klamrą w kształcie głowy węża, naszyjnik z pentagramem i zdjęcie mężczyzny znalezione we wspomnianej książce.

Dr Jacobs: Aleistera Crowleya.

Marshall: Słucham?

Dr Jacobs: To zdjęcie Aleistera Crowleya. Jest on chyba najbardziej znanym okultystą w mediach głównego nurtu.

Marshall: I co pan Crowley mówi o ofiarach z ludzi?

Dr Jacobs: Powiedział: „Ci czarownicy, którzy sprzeciwiają się ofierze z krwi, próbują zastąpić ją kadzidłem. Jednak krew, choć bardziej niebezpieczna, jest skuteczniejsza. A najskuteczniejsze działanie w niemal wszystkich intencjach ma ofiara z człowieka”.

Marshall: Czyli oskarżony nosił przy sobie zdjęcie człowieka, który był rzecznikiem ofiar z ludzi?

Dr Jacobs: Zdjęcie przedstawia Aleistera Crowleya i to on wypowiedział te słowa, więc jeśli zdjęcie należy do oskarżonego, to tak.

Marshall: A dziennik znaleziony wśród rzeczy oskarżonego? Co może mi pan o nim powiedzieć?

Dr Jacobs: magiczna księga to indywidualny zapis doświadczeń jej właściciela. Jest relacją z jego praktyk magicznych.

Marshall: Czy takie księgi są związane z satanizmem i okultyzmem?

Dr Jacobs: Ależ nie. Często spotyka się je u pogan albo wiccan, którzy nie mają nic wspólnego z satanizmem. To biała magia.

Marshall: Rozumiem, a czy coś w dzienniku pana Dyke'a odbiega od zasad białej magii albo wicca?

Dr Jacobs: Tak.

Marshall: Co to takiego?

Dr Jacobs: Przede wszystkim sigil Lucyfera po wewnętrznej stronie okładki.

Marshall: Przepraszam, co?

Dr Jacobs: Sigil Lucyfera. To trójkąt z zakręconymi końcami i V pod spodem.

Marshall: Taki?

Dr Jacobs: Tak, właśnie taki. Służy do wzywania Lucyfera.

Marshall: I domyślam się, że przeciętny wiccanin nie wzywa diabła.

Dr Jacobs: Nie.

Marshall: Dobrze, czyli mamy znak do przywoływania diabła. Coś jeszcze?

Dr Jacobs: Jest kilka symboli magii chaosu... to znaczy symbolika Crowleya. Okręgi z wychodzącymi strzałami. Zawijas oznaczający Ogień i Siarkę.

Marshall: Czy to tylko pana opinia? Czy też są to przyjęte symbole satanizmu? Gdybym zapytał dziesięciu innych specjalistów, powiedzieliby to samo?

Dr Jacobs: Z całą pewnością. To symbole powszechnie znane i niebudzące wątpliwości. Oczywiście, jeśli zobaczyłby pan symbol siarki w tekście alchemicznym, nie musiałby on mieć związku z diabłem. Podobnie wizerunek kozy po wewnętrznej stronie okładki dziennika pana Dyke'a nie musiałby dziwić na ilustracji przedstawiającej farmę, ale w tym kontekście wyraźnie reprezentuje Bafometa.

Marshall: Bafometa?

Dr Jacobs: To imię z języka francuskiego.

Marshall: Kim jest ten Bafomet?

Dr Jacobs: To bóstwo pierwotnie czczone rzekomo przez templariuszy. Przedstawiane jest jako istota z łbem kozy. Ten wizerunek pochodzi z obrazu Eliphasa Léviiego i występuje w pracach Antona LaVeya i Aleistera Crowleya, dlatego jest błędnie kojarzony z satanizmem. Przyczyną może być także to, że grecki bożek Pan, podobny do kozy, był często identyfikowany z diabłem.

Marshall: I wizerunek tego Bafometa pojawia się w zapiskach Mitchella Dyke'a?

Dr Jacobs: Tak.

Marshall: Za przykładem sławnych satanistów?

Harris: Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Pan prokurator nie może wiedzieć, kogo brał za przykład mój klient, rysując ten symbol.

Sędzia: Podtrzymany! Proszę wykreślić to pytanie ze stenogramu.

Marshall: Przepraszam, Wysoki Sądzie. Doktorze Jacobs, wie pan, kiedy doszło do zbrodni?

Dr Jacobs: Tak, trzydziestego lipca.

Marshall: Czy ta data, według pańskiej wiedzy, ma jakieś znaczenie?

Dr Jacobs: W kalendarzu okultystycznym dwudziestego dziewiątego wypadają Krwawy Księżyc. Tydzień rozpoczynający się w poniedziałek dwudziestego szóstego jest znany w tym kalendarzu jako Wielka Kulminacja.

Marshall: A może pan wytłumaczyć mnie i przysięgłym, co to takiego ta Wielka Kulminacja?

Dr Jacobs: Obrzęd, podczas którego wyznawcy okultyzmu oddają się szatanowi i składają mu ofiary. Towarzyszą temu krew i seks.

Marshall: Obrzęd, któremu towarzyszą krew i seks. Może pan to przybliżyć?

Dr Jacobs: Każde zgromadzenie inaczej świętuje Wielką Kulminację. Jedyne, co da się na ten temat powiedzieć, to że wyznawcy okultyzmu

składają wtedy ofiary i uprawiają rytualny seks. To czas chaosu. Czas mordów.

Marshall: I termin tego krwawego obrzędu wypadł w tym samym tygodniu, w którym oskarżony, mający książkę pełną symboliki okultystycznej, poznaje Seraphine Cunningham i jak sam przyznał, uprawia z nią seks na łonie natury?

Dr Jacobs: Z tego, co pan mi powiedział, tak, rzeczywiście, ta data odpowiada Wielkiej Kulminacji.

Marshall: Dziękuję, doktorze Jacobs, nie mam więcej pytań.

Grudzień 2019

Szczekanie dochodzi z małego schowka w głębi pomieszczenia, choć orientuję się, że to schowek, dopiero gdy otwieram drzwi i widzę za nimi mopy i miotły, a na półkach przeterminowane środki do czyszczenia. Poniewczasie uświadamiam sobie, że postąpiłam głupio: zajrzałam do środka, nie wiedząc, co tam jest, i nawet nie wyjmując pistoletu z kieszeni. Po co było go brać, skoro nie używam go nawet jako zabezpieczenia? Tym razem miałam szczęście – jedyną żywą istotą za drzwiami jest Archie. Siedzi skulony w kącie, jest na smyczy przywiązanej do wieszaka, ale chyba nic mu się nie stało. Kiedy staję w progu, zrywa się i biegnie, szarpiąc się na smyczy i machając ogonem jak szalony. W pomieszczeniu cuchnie moczem, ale nie ma żadnej psiej kupy, więc ktoś musiał go wyprowadzać. Z tego, co widzę, nie krwawi i nie wygląda na rannego.

Dzięki Bogu.

Klękam przed nim, a on skacze i liże mnie po twarzy. Tak się cieszę na jego widok, że nie mam mu za złe, kiedy popuszcza i obsikuje mi kolano.

– Już dobrze, mały, jesteś ze mną – mówię. Trzymając go za obrozę, odpinam smycz, żeby ją odwiązać. On jednak zaczyna się wyrywać i warczeć. Próbuję go uspokoić, gdy czyjaś ręka łapie mnie od tyłu za szyję.

Kiedy odzyskuję przytomność, wokół panuje ciemność. Mój wzrok przez chwilę przyzwyczaja się do mroku, a wtedy orientuję się, że wciąż jestem w schowku, tyle że ktoś zamknął drzwi. Archie został ponownie przywiązany do wieszaka. Ręce mam dziwnie wykręcone za plecami; są skrępowane w nadgarstkach. Nogi też mi związane.

Mitchell.

Archie skomle przy moim boku, trzymając łeb na moim udzie. Żałuję, że nie poświęciłam więcej czasu na jego szkolenie, bo mogłabym teraz wydać mu komendę, żeby przegryzł te więzy.

Jak mogłam do tego dopuścić? Wparowałam tu jak G.I. Jane albo Xena, wojownicza księżniczka, i wpadłam w pierwszą pułapkę, jaką na mnie zastawiono. Teraz tkwię związana w schowku. Żałosna idiotka! Ponieważ kiedyś gwałtownie zareagowałam i z kimś sobie poradziłam, wydawało mi się, że mogę wkroczyć do akcji, odnaleźć człowieka, który przeze mnie spędził dwadzieścia lat w więzieniu, i z zimną krwią go zastrzelić. Co mi odbiło?

Moją jedyną nadzieją jest teraz Cally. Pół godziny musi kiedyś upłynąć, a wtedy ona zawiadomi policję albo pojedzie po Roba – choć nie sądzę, żeby poszło mu lepiej z Mitchellem, który w więzieniu na pewno się zmienił, stwardniał, podczas gdy Rob chyba w życiu z nikim się nie bił.

Archie szczeka, więc szturcham go kolanem, nakazując mu spokój. Jakie Mitchell ma wobec mnie zamiary? Chce, żebym umarła z głodu? Zostawi mnie tutaj, w tej celi, tak jak ja zostawiłam jego? A może wróci i zastrzeli mnie z mojego własnego pistoletu?

Mój pistolet. Mogę tylko liczyć, że Mitchell nie obszukał mnie przed związaniem. Chociaż broń na nic mi się nie zda, gdy będę konać z głodu. Obracam się nieco i czuję, że coś dźga mnie w udo. Pistolet nadal tkwi w mojej kieszeni.

– Och, Archie – mówię do psa, który teraz, gdy ma mnie przy sobie, zwinął się i śpi, nie wiedząc, że zagrożenie nie minęło.

Napinam więzy na nadgarstkach, ale tylko wrzynają mi się w ciało, tak że z bólu zaciskam zęby.

Może gdybym przysunęła się do drzwi, znalazłabym jakiś sposób, żeby się uwolnić. W takim pomieszczeniu dla pracowników powinny być noże – tylko czy zdążę przed powrotem Mitchella?

Jednak w połowie drogi do drzwi słyszę, że ktoś woła mnie po imieniu, i robi mi się niedobrze, bo najwyraźniej Cally nie zadzwoniła na policję ani nie pojechała po Roba. Przyszła po mnie. Była moją ostatnią nadzieją, a teraz pewnie skończy tak samo jak ja. Zginiemy wszyscy.

– Tutaj! – odkrzykuję. Rozpaczliwie modlę się w duchu, żeby mnie uwolniła i żebyśmy zdążyły uciec, zanim wróci Mitchell. A w ogóle gdzie on jest? Na pewno przyjdzie po mnie, bo przecież mi nie daruje? – Tutaj! Ratunku!

Cally wciąż mnie woła; chyba mnie usłyszała, ale nie może się zorientować, skąd dochodzi mój głos.

– Tutaj!!! – wrzeszczę. – Szybko!

Chwila ciszy, a potem walenie w drzwi.

– Jesteś tam?!

– Tak! Jestem! – krzyczę.

Dlaczego tak się ociąga? Stoi tuż za drzwiami.

– Zamknięte! – woła. – Odsuń się!

Nie mam gdzie się odsunąć, ale jestem na tyle daleko od drzwi, że nic mi się nie stanie, gdy Cally je wyważy.

– Wywaliłaś kiedyś drzwi kopniakiem? – pytam głośno.

– A jak myślisz, do cholery?! – odkrzykuje i rozlega się łupnięcie w drzwi, które jednak ani drgną. Czyli odpowiedź brzmi „nie”. – Chwila, poszukam klucza!

Mam wrażenie, że mijają całe wieki, zanim znów słyszę jej głos.

– Mam! Leżał tutaj na stole!

– Poczekaj! – krzyczę. – Nie było go tam wcześniej. Jest tu ktoś jeszcze!

Drzwi się otwierają i Cally wpada do środka.

– Jasne, że tak... a kto cię napadł? Gdzie on jest? – pyta z desperacją. – Gdzie Mitchell?

Uświadamia sobie, co powiedziała, w chwili, gdy to imię wychodzi z jej ust. Patrzę na nią, jakbym zobaczyła ją po raz pierwszy. Znam tę twarz, widziałam ją dawno temu, kiedy byłam kimś innym. Podobnie jak ona. Jest prawie nie do poznania, począwszy od włosów, a skończywszy na smukłej sylwetce i markowych ciuchach.

– Kaz.

Uśmiecha się i jest to uśmiech kogoś, kto przeżył piekło. Kogoś, kto zrobił wszystko, co musiał, żeby przetrwać. Znam ten uśmiech, widzę go u siebie.

– Jestem zdziwiona, że pamiętasz – odpowiada, lekko grożąc mi palcem. – Cześć, Seraphine.

59

Rozprawa

Koniec września 2000

Przyszedł ten dzień. Dzień, na który z zapartym tchem czekały co najmniej dwa kraje: Kanada i Wielka Brytania. Zeznawać miał główny świadek. Maisie zajęła miejsce, przekonana, że wszyscy widzą, jak cała się trzęsie.

Początkowo pytania obrońcy były łatwe – zgodnie z tym, co mówił jej pan Marshall, oskarżyciel. Jak poznała Serę? Dlaczego postanowiły iść razem? Czy ktoś z nimi był, zanim poznały na szlaku oskarżonego i towarzyszące mu osoby?

Później stały się trudniejsze i mniej przyjemne, gdy obrońca zaczął pytać o tamtą noc.

– Pan Dyke i jego koledzy zeznali, że rozbiłyście namioty z dala od siebie, czy tak?

– Tak.

Maisie rozpaczliwie usiłowała powstrzymać się od obgryzania paznokci. Obgryzała je, przygotowując się do składania zeznań, i Marshall zwrócił jej uwagę, że sprawia przez to wrażenie, jakby kłamała. A tego musiała za wszelką cenę się wystrzeżać. Media obchodziły się z nią już wystarczająco brutalnie. Dziennikarze nienawidzili jej. A wszystko dlatego, że nie chciała z nimi rozmawiać. Nie miała do

nich zaufania, zresztą niebezpiecznie. Więc gdyby uznali, że kłamie, znowu urządziliby jej piekło.

Maisie przez ostatnie piętnaście miesięcy usiłowała odbudować swoje życie, tak żeby reporterzy nie chodzili za nią od rana do wieczora, nie śledzili wszystkich jej poczynań, jakby była jakąś celebrytką. Dlaczego kogoś miałoby obchodzić, że urodziła dziecko? Oczywiście, termin mógł budzić różne domysły – udało jej się zaaranżować „przeciek”, że dziecko jest wcześniakiem, i w ten sposób zaprzeczyć pewnym teoriom, ale to nie powstrzymało co bardziej żądnych sensacji gazet przed spekulacjami, że ona, Sera i Mitchell tworzyli trójkąt miłosny i że dziecko było tego owocem. Bardziej odpowiadało to prawdzie, niż można by sądzić, tyle że to nie Mitchellem się dzieliły.

Maisie nie zdołała odnaleźć Rica w ciągu roku od poczęcia dziecka, ale ustaliła z całą pewnością, że on i Sera nie byli rodzeństwem. Dowiedziała się o Seraphine Cunningham wszystkiego, co tylko się dało, między innymi tego, że nie miała brata. Kłamała, była złodziejką i oszustką – i zasłużyła na śmierć. Maisie przestała się już z tego powodu obwiniać. Sera przypieczętowała swój los, kiedy postanowiła okłamać i naciągnąć na pieniądze niewłaściwą osobę.

– A dlaczego, skoro tak się zaprzyjaźniłyście?

Maisie wróciła do rzeczywistości. Cholera, nie uważała.

– Przepraszam, może pan powtórzyć pytanie? – Spojrzała ze skrucą na obrońcę, a potem na sędziego. – Trudno mi przechodzić przez to wszystko od nowa. Proszę mi wybaczyć.

– To rozumiałe, pani Goodwin – zapewniła ją sędzia i Maisie przypomniała sobie, że jest tu jako świadek, nie oskarżona. – Proszę się nie spieszyć, a jeśli pani zechce, zrobimy przerwę.

Policja kanadyjska traktowała ją jak jakąś znakomitość, ale nie tak jak media. Media były nachalne, nieżyczliwe i podejrzliwe, wciąż węszyły za następną sensacją. Policja uważała ją za kogoś istotnego i chyba słusznie. To był proces dziesięciolecia – rzadka sprawa, w której brakowało dowodu w postaci zwłok –

i jeśli Maisie by nawaliła, nie zapadłby wyrok skazujący. Po raz pierwszy w życiu czuła się ważna.

Nie, to nieprawda. Była ważna – dla swojej córeczki. Tylko to się liczyło, bo po zakończeniu procesu, kiedy znowu stanie się nikiem dla mediów i policji, mała wciąż będzie jej potrzebować. Jak na ironię, pojechała wtedy do Kanady, żeby umknąć przed obowiązkami w domu, a skończyło się na tym, że wróciła z największym możliwym brzemieniem.

– Dziękuję – powiedziała.

– Pani Goodwin, pytałem, dlaczego Seraphine Cunningham i pani rozbiłyście namioty tak daleko od siebie, skoro tak się zaprzyjaźniłyście.

– Myślę, że Sera się mną zmęczyła – odrzekła zgodnie z prawdą. – Mówiła, że zwykle podróżuje sama, i może miała dosyć tego, że wciąż nadaję jej do ucha.

– A więc się nie pokłóciłyście? Oskarżony i jego koledzy zeznali, że atmosfera między wami była lodowata.

– Nie wiem, dlaczego tak powiedzieli – odparła Maisie. – To przesada. Tamtego wieczoru po prostu obchodziłam się z nią ostrożnie. Lubiłam ją i nie chciałam jej drażnić.

Przerwała, uświadamiając sobie, że za dużo mówi. „Odpowiadaj krótko – zalecił jej Marshall. – Nie rozgaduj się. Bo jeśli będziesz za bardzo się rozwodzić, istnieje niebezpieczeństwo, że się zapłaczesz”. Jakby wiedział, że Maisie kłamie, i instruował ją, żeby się to nie wydało. Chociaż przecież musiał liczyć się z tym, że świadek zawali sprawę – ryzyko zawodowe.

– Rozumiem – rzucił łagodnie obrońca. Nie chce sprawiać wrażenia, że mnie nęka, pomyślała. Ale to nie znaczy, że będzie łagodnie się ze mną obchodził. – Porozmawiajmy o tamtym wieczorze. Wcześniej pani nie знаła pana Dyke’a ani jego kolegów, tak?

– Nie całkiem – sprostowała Maisie. – Poznaliśmy się na przystanku autobusowym.

– O, przepraszam. Jakie zrobili na pani wrażenie?

– Hm. – Maisie opuściła wzrok. – Wydali mi się jacyś inni. Nie w złym sensie – dodała szybko, patrząc na przysięgłych. – Byli inaczej ubrani. Tam, skąd pochodzę, nie widuje się czegoś takiego.

– Byli ubrani na czarno, prawda? To ich wyróżniało, sprawiało, że budzili lęk. Wyglądali inaczej.

– No właśnie – potwierdziła Maisie. – Ale to mi nie przeszkadzało. Nie bałam się ich ani nic takiego. Powiedziałam „cześć”, a później, kiedy spotkaliśmy się na szlaku, przyłączyłam się do nich, razem piliśmy i tak dalej.

– Nie tylko piliście, prawda?

Maisie stężała. Nie mogła skłamać podczas zeznań na policji i przyznała, że zażywali narkotyki. Teraz żałowała swoich słów.

– Tak. Nie tylko.

– Zażyliście coś. Co to było? Trawka? Kokaina?

– Jedno i drugie.

– A kiedy dołączyła do was Seraphine Cunningham?

– Wcześniej, zanim pojawiły się narkotyki. To ona je przyniosła. Miała je przy sobie, gdy Keddie ją przyprowadził.

– A nie pan Dyke?

– Nie. – Maisie pokręciła głową. – Ale od razu wpadła mu w oko, to było widać.

– Czy to panią zdenerwowało?

Maisie zmarszczyła czoło.

– Co takiego? Nie. Nie podobał mi się. Nie był w moim typie.

– A co z nią?

Maisie nie bardzo zrozumiała.

– Tak, może tak, jej się chyba spodobał.

– Chodzi mi o coś innego – sprecyzował obrońca, znowu łagodnie. – Czy czuła pani pociąg do Seraphine Cunningham? Seksualny.

– Co, jak to? – Tego Maisie się nie spodziewała. Nie brali czegoś takiego pod uwagę w żadnym ze scenariuszy, które omawiali. – Nie. Zdecydowanie nie. Była dla mnie przyjaciółką.

– Przyjaciółką. Którą ledwie pani znała. Z którą się pani pokłóciła. Sprawilo pani przykrość, kiedy flirtowała z kimś innym? To groziło, że zostawi panią dla pana Dyke’a, prawda? Jak się pani czuła, gdy oddalili się razem, po tym całym czasie, który spędziłyście wspólnie?

– Sprzeciw! – Marshall szybko wstał i Maisie pomyślała, że wpadł w taką samą panikę jak ona.

Niedobrze. To nie było tak. Powinna była powiedzieć o Ricu, o tym, że był złym człowiekiem; ale przez tyle czasu go chroniła, w ogóle nie wspominając o jego istnieniu, tak by o nic go nie oskarżono, że gdyby teraz wyznała prawdę, straciłaby wiarygodność.

Kłamiesz, powiedział głos w jej głowie.

– Sprzeciw podtrzymany! Panie mecenasie, niech pan da świadkowi mówić. To nie *Ludzie honoru*.

Przysięgli zachichotali, a obrońca się zaczerwienił. To nieco rozładowało napięcie i Maisie kilka razy odetchnęła głęboko. Nic się nie stało, taką miał pracę: musiał szukać dziury w całym i wypaczać sens różnych wypowiedzi. Ale ona da sobie radę. Wystarczy, jeśli powie, co widziała.

– Nie czułam pociągu do Seraphine – oznajmiła głośno i spokojnie. – Mimo że mam dużą kolekcję płyt Cher.

Przysięgli znowu się zaśmiali, a obrońca jakby ochłonał. Teraz, gdy stracił rozpęd, jego zarzuty wydawały się śmieszne: że niby wybrała się na wędrowną, wdała się w niemoralny lesbijski romans i z zazdrości zamordowała kochankę. Gdyby obstawał przy tej teorii, to on miałby powody do wstydu.

– W nocy na szlaku jest ciemno, prawda?

– Bardzo ciemno – potwierdziła Maisie.

– A pani piła alkohol i zażywała narkotyki. Przyznaje to pani.

– Tak.

– Proszę mi powiedzieć... – Adwokat popatrzył Maisie w oczy, jakby chciał zajrzeć jej w głąb duszy. – Jak może być pani pewna, co pani właściwie widziała? Jak może być pani pewna, że to, co pani zobaczyła, to nie był stosunek seksualny za obopólną zgodą, że oskarżony i Seraphine Cunningham nie uprawiali seksu, może ostrego, ale tylko seksu?

Wracało to do niej, fragment po fragmencie, czasami gdy spała, czasami gdy karmiła dziecko w środku nocy, między snem a jawą. Seraphine z włosami opadającymi na twarz, trzymana przez niego za szyję, kiedy posuwał ją od tyłu. Te jej otwarte usta, na kształt litery O, w wyrazie bólu... nie, rozkoszy. Jej rozszerzone oczy, gdy doszedł w niej, wydając jęk. Nie wierzyła w to, co widzi – przecież byli rodzeństwem, a on należał do Maisie, nie do Sery.

– Dlatego że... eee... – Zawahała się.

Ujrzała minę Seraphine na jej widok, wtedy, gdy wypadła z zarośli, chwyciła Serę za włosy i rzuciła ją na ziemię. Jak ona śmiała?! Jak śmiała ze mnie szydzić, traktować mnie jak śmiecia, zachowywać się tak, jakbym jej przeszkadzała, podczas gdy sama jest kłamliwą suką?!

Złożyła dłonie przed sobą i zamiast na adwokata, spojrzała na przysięgłych, wypowiadając słowa, które miały przypieczętować los Mitchella Dyke'a, a ją samą oczyścić z wszelkich podejrzeń.

– Dlatego że mężczyzna uprawiający seks z kobietą zwykle nie uderza jej w głowę kamieniem.

Grudzień 2019

LUDZKIE SZCZĄTKI ZNALEZIONE NA SZLAKU WEST COAST TO NIE
SERAPHINE CUNNINGHAM, OGŁASZA POLICJA
„The Echo”

Potwierdzono, że ludzkie szczątki, znalezione na szlaku West Coast w Vancouver, to zwłoki dorosłego mężczyzny. Jakież zaskoczenie dla tych, którzy sądzili, że należą one do dziewiętnastoletniej turystki, Seraphine Cunningham, zaginionej w 1999 roku podczas wędrówki.

„To niewątpliwie szkielet dorosłego mężczyzny, mającego w chwili śmierci dwadzieścia pięć, trzydzieści lat – powiedziała dziś rano w oświadczeniu dla kanadyjskich mediów Mary Morris, antropolożka i specjalistka w dziedzinie medycyny sądowej. – Żeby stwierdzić, jak długo ciało tam leżało i gdzie znajdowało się pierwotnie, potrzebne są dalsze badania. Kości noszą ślady zębów i pazurów zwierząt, dlatego należy sądzić, że zwłoki zostały zaciągnięte w głąb lasu przez wilki i pumy”.

Istnieją przypuszczenia, że szczątki przemieściły się na skutek ostatnich ulewnych deszczy, które uniosły je w kierunku szlaku. Tam zostały odkryte przez turystów, którzy zboczyli nieco z wyłożonej deskami ścieżki.

Kanadyjska policja wyda oświadczenie, czyje to mogą być szczątki. Rodzice Seraphine odmówili komentarza.

61

Rozprawa

Koniec września 2000

W sali sądowej panowała całkowita cisza, kiedy jeden po drugim wracali przysięgli. Maisie przyglądała się ich twarzom, ale żadna nie zdradzała niczego, żadna też nie zwracała się w stronę Mitchella.

Nie było nikogo, kto reprezentowałby Seraphine. Rzecz jasna media będą potem głosić, że reprezentował ją cały naród, że wszyscy śledzili przebieg procesu ze względu na nią – dziewczynę, której nikt tak naprawdę nie znał. Jednak na widowni nie zasiadł nikt z jej rodziny, żadne z rodziców. Ani, oczywiście, Ric.

Była głupia, licząc, że może go zobaczy. Bo przecież nic mu już nie groziło, prawda? Wszyscy świadkowie złożyli już zeznania i nikt nie wiedział, że Seraphine miała jakiegokolwiek towarzysza, a nawet jeśli ktoś go tam widział, po roku i tak by Rica nie rozpoznał. Wzrok wszystkich był skierowany na oskarżonego, Mitchella Dyke'a.

Po roku w więzieniu Mitchell wyglądał inaczej, ale trudno się dziwić, prawda? Odrośły mu zafarbowane na czarno włosy – były w kolorze jasnoorzechowym i o wiele bardziej mu pasowały. Miał na sobie porządny garnitur, a nie czarny strój, w którym widziała go ostatnio, bez żadnych pentagramów czy węży. Jednak

prawdziwa zmiana zaszła w jego oczach. Miały martwy, jakby nawiedzony wyraz. Wiedziała, że nigdy go nie zrozumie. Bo dzięki Mitchellowi nigdy nie trafi do celi więziennej za to, co zrobiła.

To był wypadek, powtarzała sobie raz po raz, kiedy przewodniczący ławy przysięgłych wstał i oświadczył, że doszli do porozumienia w sprawie werdyktu. Nie ma w tym żadnej mojej winy. To nie miało tak być.

Pomodliła się w duchu do Boga, w którego nie wierzyła, żeby ocalił Mitchella, żeby przysięgli uznali go za niewinnego i żeby dla wszystkich ten koszmar wreszcie się skończył.

– A zatem: czy w sprawie zabójstwa oskarżony jest winny czy niewinny?

– Winny.

I tak sprawa została przesądzona. Maisie wstała ze swojego miejsca na widowni i opuściła budynek tylnym wyjściem, nie oglądając się za siebie.

Grudzień 2019

Kiedy słyszę, że ktoś zwraca się do mnie imieniem, którego od dawna nie używam, przechodzą mnie ciarki. Seraphine Cunningham, córka Alyssy i Marcusa Cunninghamów, wyrodne dziecko, nieudacznica, kryminalistka. To kiedyś byłam ja. Ale już nie jestem.

Archie zaczyna szczekać, co przywraca nas obie do rzeczywistości.

– Musimy cię stąd wydostać – mówi Kaz. – Później wszystko sobie wyjaśnimy.

Zbija mnie tym z tropu.

– Jak to? Wydostać mnie? Ale przecież... myślałam, że...

Parska śmiechem.

– Myślałaś, że to ja za tym stoję? Chyba wiedziałaś, że Mitchell wyszedł z więzienia i cię szuka?

– Tak sądziłam jeszcze z dziesięć sekund temu, gdy dotarło do mnie, kim jesteś. Co ty tu robisz, skoro z nim nie współpracujesz?

– Kiedy widziałam się z nim ostatnio, tuż po tym, jak został zwolniony, powiedział, że chyba żyjesz i że zamierza „załatwić sprawę” – wyjaśnia. Jednocześnie pochyła się i próbuje rozwiązać mi ręce. – Uznałam, że chce cię zabić. Rozumiem, dlaczego cię nienawidzi, powód jest oczywisty, ale miał dwadzieścia lat, by pogodzić się z tym, że został niesłusznie skazany. Gdyby cię zabił, okazałby się nie lepszy od tego, za kogo uważały go policja i media. I wróciłby do więzienia.

– Jak się dowiedział, że żyję?

– Nie mam pojęcia. Jednego dnia nie wiedział, a następnego już tak.

– Ja go o nic nie obwiniłam – tłumaczę, oswobadzając lewą rękę, podczas gdy Kaz zaczyna rozwiązywać mi prawą. – Uciekłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że ktokolwiek uzna mnie za zmarłą. O tym, że tak się stało, dowiedziałam się dużo później. Byłam już w Wyoming, kiedy usłyszałam, że Mitchella oskarżono o zamordowanie mnie i aresztowano.

– To dlaczego nie wróciłaś? Czy choćby nie zadzwoniłaś? Gdyby było wiadomo, że nie zginęłaś, nie zostałby skazany. Wystarczyłoby, że dałabyś jakiś znak życia.

– To nie było takie proste – rzucam, gdy uwalnia moją prawą rękę. Zginam zdrętwiałe palce i czuję, jak znowu napływa do nich krew. – Byłam winna pieniądze za narkotyki pewnym nieprzyjemnym ludziom. Dopóki sądzili, że nie żyję, nic mi nie groziło. Poza tym...

Urywam, bo nie chcę powiedzieć nic więcej. Dobra, Kaz pomaga mi wydostać się stąd, ale w końcu zrujnowałam jej życie. Nie ma powodu, żeby być wobec mnie lojalna, więc gdybym wyznała, co stało się tamtej nocy, tylko dałabym jej do ręki narzędzie zemsty.

– Poza tym co?

– Nic. Możesz mi pomóc rozwiązać nogi? Mam zdrętwiałe ręce.

– Dobrze. O cholera. – Prostuje się i przytyka palec do ust.

– Co? – pytam bezgłośnie.

– Ktoś idzie – odpowiada tak samo i wskazuje kierunek, z którego nadeszła. –

Co mam zrobić?

Archie skomli.

– Rozwiąż mnie! – syczę, zapominając, że powinnam być cicho.

Ona tylko kręci głową i chwyta sznur, który dopiero co zdjęła z moich rąk.

– Okręć nim nadgarstki – mówi, poruszając ustami, i wskazuje na moje dłonie, a potem, zanim mam czas zaprotestować, ucieka.

Bez wahania owijam sznur wokół rąk, tak jak poleciła, i efekt jest całkiem niezły: wyglądają, jakby nadal były skrupowane. Kładę się na podłodze i zamykam oczy, gdy drzwi magazynu zatrzasują się za kimś. Jak najostrożniej próbuję uwolnić się od sznura, którym mam związane nogi.

Od strony wejścia słychać niosący się echem dźwięk kroków. Nie śmiem otworzyć oczu. Jeśli Mitchell pomyśli, że wciąż jestem nieprzytomna, może znowu odejdzie, a wtedy Kaz pomoże mi się uwolnić. Gdyby Archie miał w sobie cokolwiek z psa stróżującego, uwolniłabym go, żeby nas bronił, ale jeśli nie istnieje coś takiego jak śmierć przez zalizanie i zachuchanie smrodliwym oddechem, nie będę mieć z niego pożytku. Cieszę się po prostu, że leży spokojnie, niezdolny pojąć, co się tutaj dzieje.

Kroki się zbliżają. Wstrzymuję oddech, bo boję się głębiej zaczerpnąć powietrza. O Boże, on mnie zabije. Mam tylko nadzieję, że Kaz znalazła jakieś narzędzie, coś, czym będzie mogła go unieszkodliwić. Czy wystarczy jej odwagi? To niełatwe znaleźć w sobie siłę, żeby mocno uderzyć drugiego człowieka. Wiem to dobrze. A może już się stąd wydostała, może zadzwoni na policję. Albo wróci razem z Mitchellem i zastrzeli mnie z mojej własnej broni.

63

Seraphine

Lipiec 1999

Było jej zimno. Ubranie miała mokre i ubłocone i czuła się okropnie. Może to całe udawanie radosnej, kochającej przygody, wyzwolonej laski tak ją wyczerpało. Czyj to był pomysł, żeby wybrać się na tę cholerną wędrówkę? Chyba Rica, sama przecież nigdy nie zaproponowałaby czegoś równie głupiego. A właściwie... to był pomysł Maisie. Siedzieli na tamtym przystanku i kłócili się o transakcję, która poszła źle, gdy Maisie wcięła się w ich rozmowę. Podśluchała, że mówią o straconych pieniądzach, i pomyślała, że Sera zgubiła portfel. Potem zaoferowała, że opłaci im bilety, i wskazała autobus jadący w stronę West Coast.

– Doskonale – mruknął cicho Ric. – Tam na pewno nie będą nas szukać. Wśród tych głupich turystów na szlaku.

– A skąd weźmiemy forszę na tę wycieczkę? – zapytała Sera.

Ric uniósł brwi.

– Stąd, skąd zawsze bierzemy. Masz karty kredytowe, które rąbnęliśmy?

– Tak, ale jeśli ktoś je sprawdzi, będzie po nas – odparła. – Trudno ulotnić się ze szlaku, który ma tylko jeden początek i jeden koniec.

– Wolę wylądować w więzieniu, niż wpaść w łapy tych ludzi, którym podpadłaś – warknął Ric. Oczy mu pociemniały. Sera nigdy nie widziała, żeby tak się bał. To jej uświadomiło, jak bardzo nawaliła, kiedy stchórzyła i nie dokończyła transakcji, uciekając z torbą pełną narkotyków, które należały do pewnych bardzo złych ludzi. Ale czy to nie był pomysł Rica, żeby uszczknąć parę działek z tych zapasów? I czy nie stchórzyła właśnie dlatego, że to Ric postanowił tych ludzi obrobić? – I na pewno nasza nowa znajoma chętnie nam pomoże.

– Masz na myśli: kiedy ją uwiedziesz. – Sera uśmiechnęła się szeroko. – Dam głowę, że czasami sprawia ci to większą przyjemność niż tym naiwniaczkom.

– Wiesz, że tylko ty się dla mnie liczysz.

Puścił do niej oko i przypomniała sobie, dlaczego się w nim zakochała. Jak się jej spodobał, kiedy zobaczyła go w barze w Kostaryce, okradającego bogate starsze kobiety. Jak sama obrobiła dla niego jedną z nich i skończyło się to gorącym ryzykownym seksem w willi, gdzie mieszkał ze swoją ostatnią nadzianą sponsorką, która w tym czasie miała na patio pod balkonem zabiegi fizjoterapeutyczne na kolano.

Od tamtego czasu byli nierozłączni, jeździli po różnych krajach, płacąc skradzionymi kartami kredytowymi i czekami podróznymi. Jak Mickey i Mallory z *Urodzonych morderców*, tyle że nikogo nie zabili. Napędzały ich seks i adrenalina. Ale problem z seksem i adrenaliną jest taki, że prędzej czy później seks powszednieje, a adrenalina przestaje działać. Trzeba stale podbijać stawkę – najpierw są kradzieże kieszonkowe, potem kradzieże w sklepach i wreszcie włamanie do willi i pokoiów hotelowych. Codziennie jadali w innym bufecie hotelowym, rzadko sprawdzani przez obsługę, aż w końcu nawet to przestało ich podniecać, więc zaczęli chodzić do drogich restauracji, w ukradzionych ciuchach, i przed zapłaceniem rachunku uciekali. Następnego dnia jechali do innego miasta, później do innego kraju. Tylko jej paszport był autentyczny, ale Ric poznał ją z facetem, który załatwił jej nowy, na fałszywe nazwisko, w razie czego. Przez tak długi czas nikt nie szukał Seraphine Cunningham, że nie potrzebowała tego paszportu, ale oczywiście później bardzo się przydał.

A teraz zmarła. Była przemoczona i ubłocona. I nie wiedziała, dokąd poszedł Ric ani jak długo go nie będzie.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego nie chciała, żeby uprawiał seks z Maisie. Wiedziała, że kobiety stają się bardziej uległe, kiedy się zaangażują, że przeważnie, gdy pójdą z kimś do łóżka, tracą rozum, a często i godność. Dla niej samej seks nie był niczym szczególnym, zawsze oddzielała potrzeby fizyczne od emocjonalnych, dlatego nie przeszkadzało jej, jeśli Ric spał z inną kobietą, żeby zdobyć pieniądze, jedzenie albo dach nad głową. A jednak tym razem czuła, że jest inaczej. Była coraz bardziej zazdrosna, kiedy tak biegła jak jakaś disnejowska księżniczka na prochach, a tych dwoje nawiązywało za jej plecami porozumienie. W pewnym momencie zaczęła nawet nucić melodię z *Kopciuszka*, ale oczywiście żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Nie zauważyliby, gdyby rozebrała się do naga i zaczęła się huśtać na tych głupich drzewach.

Nie potrafiła odpuścić. Z jakiegoś powodu Maisie przeszkadzała jej bardziej niż którakolwiek inna. Może chodziło o to, jak Ric na nią patrzył, kiedy szli obok siebie – tak samo patrzył kiedyś na Serę. A może chodziło o jej głupią sarnią naiwność. Wiedziała, że sama nigdy nie była i nie będzie tak niewinna. Ric nigdy nie spojrzy na nią jak na kogoś czystego i niezbrukanego. A może właśnie tego skrycie pragnęła. Dlatego pokłóciła się z nim, nie mogąc uwierzyć, że jakaś kobieta, której nie przeleciał, tak się w nim zabujała w ciągu trzech dni. Na pewno to zrobił, gdy ona, Sera, poszła wieczorem do swojego namiotu.

Potem zapytała go, jak by się czuł, gdyby to ona spędzała noce w namiocie kogoś innego. Może powinna spróbować? A wtedy po prostu wstał i wyszedł – kara za to, co powiedziała, pokaz władzy. Wiedziała, że wróci, bo już wcześniej zostawiał ją samą, żeby udowodnić jej, jak bardzo go potrzebuje, dać jej lekcję. A jeśli chciał wziąć ich wolny namiot i dalej obozować samemu, życzyła mu powodzenia. Idiota.

Szczęście dopisało im nawet z tymi namiotami. Mieli tylko jeden i zamierzali się go pozbyć, gdy tylko zaczepią się gdzieś w Kanadzie. Ale kiedy Ric oświadczył, że są rodzeństwem, zdali sobie sprawę, że będą potrzebowali drugiego i nie mają wiele czasu, by go skołować, a wtedy on po prostu rąbnął namiot komuś, idąc do

autobusu. Tamten człowiek czekał na autobus jadący w przeciwnym kierunku, na drugi koniec szlaku, i kiedy się zorientował, że nie ma swojego namiotu, pewnie uznał, że zostawił go w przechowalni bagażu, i po niego wrócił. Tak czy owak, Sera i Ric jechali już na szlak z odpowiednim wyposażeniem.

– To dokąd Ric chce iść? – zapytała Maisie nie wiadomo już który raz.

Ta dziewczyna naprawdę była zdesperowana. Po raz pierwszy wyrwała się z domu i Sera niemal czuła się winna, że tak biedaczkę nabierają, ale cóż, każdy ma swoje potrzeby, a ich były większe niż jej. Maisie na pewno zna kogoś, kto pomoże jej wrócić do domu. A Sera nie ma nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc.

– Dogoni nas. – Ledwie powstrzymała się, by nie westchnąć.

Coraz trudniej jej było odgrywać przy tej dziewczynie Pollyannę.

– Zamierzam iść dalej, do następnego obozu – oznajmiła Maisie, zarzucając plecak na ramię.

Ric uświadomił jej to tego ranka, po kąpieli w oceanie. To ważne, żeby Maisie miała poczucie kontroli, powiedział, by wydawało jej się, że to ona podejmuje decyzje. Czasami taki bywał, uważał się za jakiegoś przekłętą Freuda, psychoanalityka. Ale nie sprzeciwiała mu się, zresztą wyglądało na to, że Ric ma rację. Maisie niemal doznała orgazmu, kiedy Sera zapytała, czy mogą pójść z nią – ale co za dużo, to niezdrowo.

– Ja zostaję tutaj – oświadczyła.

Maisie jakby straciła pewność siebie; chyba już się przyzwyczała, że to ona tu rządzi. Będzie musiała się odzwyczaić, bo Sera była wykończona i chciała napić się czegoś mocniejszego, a skoro Ric ją zostawił, zażyć to i owo.

– Tak? – Maisie rozejrzała się wokół.

Obozowisko, przy którym się zatrzymały, było zdaniem Sery całkiem fajne. Nazywało się Cribs Creek i mnóstwo innych turystów też uznało, że jest w porządku.

– Do Carmanah są tylko cztery kilometry – powiedziała przymilnie Maisie. – I tam będzie mniej ludzi.

Sera miała ochotę ją zdzielić. W jednej chwili stwierdziła, że nawet gdyby w Carmanah był czterogwiazdkowy hotel i gabinet masażu, ona się stąd nie ruszy.

– Ja zostaję tutaj. Ale ty możesz iść dalej. Ric i ja dołączymy do ciebie jutro albo kiedyś tam.

To przesądziło sprawę. Maisie wolała nie ryzykować, że Ric zjawi się w Cribs Creek i być może nie zechce zostawić „siostry”, żeby dogonić swoją nową przyjaciółkę. Najwyraźniej biła się z myślami – czy korzystać z nowo nabytej swobody decydowania o sobie, czy też spuścić z tonu.

– Masz rację, ja też już ledwo żyję – powiedziała, a Sera, mimo satysfakcji z tego małego zwycięstwa, poczuła dotkliwy zawód, że Maisie nie pójdzie dalej, tylko z nią zostanie.

W głębi duszy chciała się pozbyć tej irytującej natrętnej dziewczyny – chrzanić jej forszę. I przestało ją obchodzić, czy Ric się zjawi. Może przyszła pora, żeby pobyć trochę samej.

Grudzień 2019

Drzwi się otwierają i staje w nich on. Mitchell Dyke, człowiek, który spędził dwadzieścia lat w więzieniu za morderstwo dokonane przeze mnie. Trzyma w ręce pistolet.

– A niech to! – mamrocze na mój widok.

Co to ma znaczyć? Gdy zbliża się do mnie, wstrzymuję oddech. Nie wie, że oswobodziłam się z więzów, a ja nie mam pojęcia, czy jego broń jest odbezpieczona. To bardzo ryzykowna gra, ale kiedy Mitchell pochyla się nade mną, z wrzaskiem rzucam się na niego.

Ryzyko się opłaciło. Mitchell, zaskoczony, leci do tyłu, wypuszcza z ręki broń i nie strzela mi w twarz. Zapamiętać: pistolet jest zabezpieczony. Chwytam go, zanim Mitchell zdąży się zorientować, co się stało. Archie podskakuje i zaczyna ujadać jak szalony.

– Cofnij się! – wołam. Odbezpieczam pistolet i celuję do leżącego Mitchella. – Trzymaj się ode mnie z daleka, do cholery!

Mitchell wstaje i cofa się, podnosząc ręce.

– Spokojnie, spokojnie, Sera.

– Nie nazywaj mnie tak! – krzyczę.

Serce wali mi w piersi, a adrenalina krąży w żyłach.

– Przepraszam – mówi, wciąż z rękami w górze. – Nie przyszedłem tu po to, żeby cię skrzywdzić.

Wtedy w progu pojawia się Kaz, z nożem introligatorskim w dłoni. Zdezorientowana przenosi wzrok ze mnie na Mitchella i z powrotem.

– Co tu się dzieje?

– A jak myślisz? Wrócił, żeby mnie załatwić, ale nie dałam się zaskoczyć.

– Jak to wróciłem, żeby cię załatwić? Myślisz, że to ja cię związałem? – Mitchell spogląda na Kaz. – To twoja robota.

Kaz patrzy na mnie i kręci głową.

– Nie. Nie moja. Przysięgam.

– Ona kłamie. To nie byłem ja – zaprzecza Mitchell. – Nie chciałem zrobić ci nic złego. Chciałem tylko z tobą porozmawiać.

Przypominam sobie wyraz jego twarzy, kiedy mnie zobaczył, i słowa: „A niech to!”. Dlatego tak powiedział? Wyglądał, jakby się zdziwił, że leżę tu związana. O Boże, komu, do diabła, mam wierzyć?

– Po co miałbyś prześladować moją rodzinę, jeśli nie po to, żeby nas skrzywdzić? – pytam go.

Jest wyraźnie zaskoczony.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nikogo nie prześladuję.

Wymierzam w niego pistolet.

– Próbowalesz porwać moją córkę! – krzyczę. – Polecilesz wysłać ją do domu autobusem, żeby ją dopaść, a potem ukradłeś naszego psa! Nie powiesz mi, że to nie jest prześladowanie.

Kręci głową.

– To nie byłem ja. Po co miałbym to wszystko robić? Dopiero co wyszedłem z pudła. Nie zamierzam tam wracać. Mimo tego, co myśli o mnie cały świat, nigdy nie używałem przemocy. Właśnie udało ci się mnie rozbroić w dziesięć sekund.

Ściągam brwi. Oczywiście kłamie, ale dość przekonująco.

– W takim razie skąd się tu wzięłeś? I skąd masz mój pistolet?

– Leżał na podłodze przed drzwiami. Chcę odzyskać dobre imię – odpowiada. – Jednak będzie to możliwe tylko przy twojej współpracy. Nie miałem wobec ciebie złych zamiarów. Przyszedłem prosić cię o pomoc. I ostrzec.

– Ostrzec? Przed czym?

– Przed nią. – Wskazuje na Cally, czy raczej Kaz, jak kiedyś miała na imię.

Znałam ją zaledwie kilka godzin, prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. Miała wtedy dredy, jeśli dobrze pamiętam, i chodziła ubrana cała na czarno, tak jak Mitchell. Kobieta, która stoi przede mną, zupełnie jej nie przypomina.

– Popełniłem błąd i powiedziałem jej, gdzie teraz mieszkasz. Potem, kiedy zobaczyłem was razem w kawiarni, zorientowałem się, że odnalazła cię pierwsza. Miałem do ciebie podejść, ale bałem się, że cię wystraszę. Gdybyś uciekła... Nikt mi nie uwierzy, że żyjesz, jeśli ty sama tego nie poświadczysz.

– Nie przyszedłam tu, żeby cię skrzywdzić – mówi z kolei Kaz, kręcąc głową. – Mówiłam ci, chciałam pilnować Mitchella, żeby to on nie zrobił ci krzywdy. Tyle lat czekałam, aż wyjdzie z więzienia, że na pewno nie chcę, by trafił tam z powrotem. Chciałam mieć oko na was oboje, powstrzymać go, gdyby chciał zrobić coś głupiego. Przestał odbierać ode mnie telefon, więc zaczęłam cię śledzić, żeby zobaczyć, czy w ten sposób uda mi się do niego dotrzeć. Potem zobaczyłam mężczyznę wychodzącego z Faye i pomyślałam, że Mitchell zaplanował to, żeby zmusić cię do wyznania prawdy. Gdyby uprowadził twoją córkę, musiałabyś wszystko ujawnić.

– Więc oboje jesteście tu z troski o mnie? – prychnam drwiąco. Któreś z nich musi kłamać, tylko nie wiem które. Chyba że kłamią oboje. Oboje mają powód, żeby źle mi życzyć. Jedno z nich straciło przeze mnie wolność, a drugie szansę na miłość.

– To które z was przyprowadziło tu Archiego?

Macham pistoletem, mierząc raz w jedno z nich, raz w drugie. Mitchell znowu podnosi rękę, a Kaz cofa się o krok.

– To nie ja, Sera, przysięgam – mówi Kaz. – Przyszedłam tylko po to, żeby Mitchell nie zaprzepścił swojej przyszłości. Nie miałam zamiaru skrzywdzić

Archiego. Ani Faye. Nie tknęłabym dziecka, cokolwiek byś zrobiła.

– Godne podziwu – rzucam. Nie chcę jej zabić. Lubię ją. Lubiłam. Ale przez cały czas mnie okłamywała, udawała, że ratuje Faye i że pomaga mi odnaleźć psa, podczas gdy od początku wiedziała, kim naprawdę jestem. – Musicie mi uwierzyć – mówię i powoli robię krok do tyłu. – Nie chciałam, żeby ktokolwiek poszedł do więzienia za zabicie mnie.

– Nie zgłosiłaś się na policję – zauważa Kaz, krzywiąc się. – Kiedy ty żyłaś sobie pełnią życia, życie Mitchella się skończyło. Mogłaś się ujawnić, a wtedy zostałyby uwolniony od zarzutów.

– Dowiedziałam się, że uznano mnie za zaginioną, wiele tygodni później. – Co za ulga móc wreszcie powiedzieć to na głos, usprawiedliwić się przed jakimś człowiekiem, a nie jedynie przed własnym sumieniem. – Po prostu chciałam uciec. I jeśli ponoszę winę za coś, co wydarzyło się tamtej nocy, to jedynie za ucieczkę. – To nie jest cała prawda, zrobiłam coś o wiele gorszego, ale to nie ma związku z tym, co spotkało Mitchella. – Biegłam przez las, aż dotarłam do bitej drogi i zabrałam się z jakimś starszym facetem ciężarówką. Nie miałam pojęcia, że rzekomo nie żyję, dopóki po kilku tygodniach nie zobaczyłam nagłówka w gazecie i jakiegoś swojego okropnego zdjęcia.

– To dlaczego wtedy nic nie zrobiłaś? – pyta Kaz.

Wzruszam ramionami.

– Uznałam, że nie muszę. Sądono, że nie żyję, i wcale mi to nie przeszkadzało. Uciekłam przede wszystkim dlatego, że byłam winna pieniądze bardzo niebezpiecznym ludziom. Zwinęłam się i już. Nie wiedziałam, że Mitchell został aresztowany.

– Przez cały czas?

– Nie, jasne, że nie przez cały czas. W końcu się o tym dowiedziałam, ale nie przyszło mi do głowy, że powinnam się ujawnić, sądziłam, że jest już na to za późno. Mogli mnie przymknąć za upozorowanie własnej śmierci, zmarnowanie czasu policji i tak dalej. Poza tym gdyby tamci gangsterzy, którym nie oddałam prochów, odkryli,

że żyję, zażądałoby ode mnie zwrotu forsy, a nie miałam jej. Musiałam pozostać martwa.

– I pozwoliłaś, żeby skazano niewinnego człowieka.

– Przede wszystkim to nie ja go oskarżyłam – zwracam uwagę, ale Kaz ma rację.

Pozwoliłam, żeby Mitchell spędził w więzieniu połowę życia, choć wiedziałam, że nie popełnił żadnego morderstwa. Jednak nigdy nie twierdziłam, że jestem dobrym człowiekiem. Jako Seraphine byłam wręcz okropnym. Jako Laura staram się to nadrobić, ale jak naprawić zło, jeśli nie postępuje się, jak należy? No i czy nie byłam gotowa zabić, żeby chronić swój sekret? Wmawiałam sobie, że bronię rodziny, ale to nieprawda. Moja rodzina przeżyłaby beze mnie. Chciałam bronić siebie. Myślałam tylko o sobie, jak zawsze.

– To nie ty mnie wrobiłaś, ale teraz możesz pomóc w oczyszczeniu mnie z zarzutów.

Wzdycham. Chciałabym po prostu odepchnąć od siebie to wszystko. Wrócić do swojej rodziny, przytulić się w łóżku do Roba i zasnąć na parę dni. Nie mogę znieść myśli o rezygnacji z tego życia.

– Wyszedłeś na wolność. Nie możesz po prostu ruszyć dalej i zacząć od nowa? Czy moje życie musi lec w gruzach? A w ogóle skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

– Ma być do śmierci uważany za mordercę, bo ty nie chcesz powiedzieć swojemu mężowi, że od początku kłamiesz? – pyta z niedowierzaniem Kaz, jakby nie mieściło jej się w głowie, że mogę być aż taką egoistką.

Bo owszem, tak to właśnie brzmi.

– Ona nie tylko kłamie – dobiega z tyłu czyjś głos. Zapominam o zagrożeniu ze strony Kaz i Mitchella i odwracam się. – Jest też morderczynią.

65

Seraphine

1999

Triumfowała tylko do czasu, kiedy zobaczyła, jak małe i zatłoczone jest obozowisko nad Cribs Creek, i przypomniała sobie, że nie ma pojęcia, jak rozbić namiot. To Ric rozstawiał go za każdym razem, a nie mogła zwrócić się o pomoc do Maisie, bo przecież wyraźnie dała jej do zrozumienia, że chce pobyć sama. Na szczęście zawsze umiała werbować do pomocy nieznanym – inaczej tej nocy spałaby pod gołym niebem.

Kiedy facet zajmujący miejsce obok niej skończył rozbijać jej namiot, Sera zerknęła w stronę Maisie, której namiot już oczywiście stał, a ona sama wdała się w rozmowę z dwoma chłopakami i dziewczyną. Wszyscy byli ubrani na czarno i wyglądali jak sataniści albo coś takiego. Dziewczyna miała dredy i wisior przedstawiający pentagram. Jeden z chłopaków jakby pomalował sobie oczy czarną kredką, na litość boską. Ale drugi był całkiem niczego sobie. Czy Maisie naprawdę tak szybko nawiązała z nimi znajomość? Oboje z Rikiem chyba tracili wyczucie.

Podniosła klapę swojego namiotu i weszła do niego, nawet nie zadając sobie fatygi, żeby podziękować facetowi, który go dla niej rozstawił. Odniosła wrażenie, że wymamrotał coś w rodzaju „Nie ma za co”, ale to typowe dla ludzi, no nie? Są

gotowi pomóc tylko po to, żeby potem usłyszeć pochwały i wyrazy wdzięczności. Straszliwi egoiści!

Nie zasunęła zamka, chcąc obserwować Maisie i jej nowych kumpli. Boże, już nie mogła się doczekać ranka, żeby się stąd zwinąć. Mogła udać, że skreśliła nogę w kostce – wtedy zabrano by ją helikopterem. Ric pewnie szedł dalej – jeśli tak, rankiem zostawi to zapomniane przez Boga miejsce za sobą. Nie był z tych, którzy przestrzegają przepisów czy zaleceń, żeby wędrować tylko za dnia i strzec się dzikich zwierząt. Jak śmiał tak po prostu ją zostawić? Tym razem nie zamierzała mu darować. Nie zamierzała też żyć tak dalej. Jak w ogóle mogło jej się kiedyś wydawać, że świetnie jest kraść, oszukiwać, handlować narkotykami? Czuła się w tej chwili jak gówno, ubłocona po pas, w chmarze komarów. Musi dokądś pojechać i znaleźć sobie pracę, pożyć przez jakiś czas jak normalni ludzie. Może nawet wróci do domu, pojedna się z rodzicami.

Godzinę później zauważyła, że jeden z chłopaków, z którymi gadała Maisie, dokądś idzie i zaraz minie jej namiot. Może był trochę starszy od niej, ale trudno by go nazwać mężczyzną. Ten młodzieńczy bunt! Pewnie mieszkał w suterenie u mamusi i słuchał Nirvany, Marilyną Mansona czy kogo tam słuchają ci sataniści. Ale strasznie się nudziła, więc kiedy miał przejść obok, stała już na zewnątrz, żeby niby przypadkiem na niego wpaść. Dosłownie.

– Ojej, przepraszam! – powiedziała niby ze skruchą. – Mam nadzieję, że nie pogruchotałam ci stopy. Ale ze mnie niezdarą.

Zlustrował ją od góry do dołu, tak jak się spodziewała, i kiedy przesunął po niej wzrokiem, oczy mu się rozszerzyły. Przyzwyczaiała się do takich reakcji – były tak przewidywalne, że aż nudne. Jednak następne godziny, spędzone samotnie w namiocie, byłyby nudniejsze.

– Nic się nie stało. Jestem Keddie – przedstawił się, wyciągając rękę.

– Naprawdę cię przepraszam, Keddie. – Lekko uściśnęła mu dłoń i zatrzymała ją na chwilę. – Nie boli cię? Bo w razie czego mam coś na ból.

Pochyliła się, wiedząc, że chłopak spojrzy na jej tyłek, i sięgnęła do plecaka. Ci faceci!

– Co ty na to? – Pomachała torebką koki. Chłopak wytrzeszczył oczy i skinął głową, a wtedy ona wsunęła mu torebkę do ręki. – A może zażyjemy na spółkę?

– Pewnie... o cholera! – Zrobił minę, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że nie jest na tej wyprawie sam. – Wędruję z kumplami. Nie powinienem zostawiać ich samych. Ale może się do nas przyłączysz?

– Chętnie – odrzekła, uświadamiając sobie z odrazą, jak desperacko to zabrzmiało.

Przez cały dzień marzyła o tym, żeby pozbyć się Maisie, a teraz w żałosny sposób kombinowała, jak przysiąc się do niej i jej towarzystwa. Keddie jednak najwyraźniej nie zauważył jej desperacji, a jeśli nawet, nie miało to dla niego znaczenia. Maisie pewnie nie będzie zachwycona tym, że musi podzielić się z nią swoimi nowymi znajomymi, ale dobrze jej tak – jeśli myślała, że może ją, Serę, tak bez problemu wystawić, to się myliła. Pewnie podobał jej się ten drugi koleś. Co za tupet, znaleźć sobie tak szybko zastępcę Rica! Cóż, teraz Sera wkraczała na scenę, więc Maisie może stanąć z boku i patrzeć, jak to się robi.

*

I tak do tego doszło. Przebywała z tą grupą już jakąś godzinę, kiedy Mitchell – ten przystojniejszy z nich dwóch – wsunął rękę pod koc i zaczął lekko, powoli głaskać ją po nodze. Musiała przyznać, że było to całkiem przyjemne, zwłaszcza po drinku i prochach. Tej nocy zresztą nie miała większych atrakcji.

– Pozwiedzamy trochę okolicę? Masz ochotę? – wymamrotała.

Oczy mu rozbliły jak dziecku w sklepie ze słodyczami. Kiwnął głową i wstał, pociągając ją w górę. Maisie nie boczyła się już na nią i z ożywieniem mówiła coś do tej drugiej, o wyglądzie czarownicy, a Keddie, wiedząc, że przegrał rywalizację o względy Sery, oddalił się, żeby pogadać z innymi obozowiczami.

– Nie rozumiem – powiedział Mitchell, gdy zeszli z plaży i zagłębili się w las. – Zwykle nie mam szans u takich dziewczyn jak ty.

– Nic o mnie nie wiesz – mruknęła, idąc dalej przed siebie. Nagle się zatrzymała. – Co to było? Słyszałeś?

Mitchell rozejrzał się i pokręcił głową.

– Nie. Nic nie słyszę. Chcesz wracać?

Odwróciła się do niego, spojrzała na jego zaczesane do tyłu długie włosy, T-shirt Metalliki i džinsy. Przesunęła palcem po klamrze jego paska, ozdobionej głową węża z wysuniętym językiem.

– Jesteś inny, wiesz, o co mi chodzi? Ta cała historia z wicca i diabłem... Wierzysz w to wszystko?

Mitchell wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. To Kaz się tym interesuje. Ja i Keddie... my tylko... chcieliśmy po prostu...

– Chcieliście poczuć, że gdzieś przynależycie.

– Chyba tak. Teraz pewnie uznasz mnie za frajera.

Sera przyłożyła dłoń do jego twarzy. Przez korony drzew przeniknął blask księżyca, tak że znaleźli się wśród cieni. Znowu rozległ się jakiś szmer – doszedł z zarośli niedaleko szlaku. Tym razem Sera nie zareagowała. Wiedziała, kto tam jest.

– Wcale nie. Ja przez całe życie nie mam poczucia przynależności.

Zbliżyła się do niego i pocałowała go lekko. Odpowiedział natychmiast, wpił się w jej usta, kładąc jej rękę na karku. Czuć było od niego whisky, trawkę i coś niewinnego, zapach taniej wody kolońskiej, jednej z tych obciachowych, jakich używali chłopcy w szkole średniej. Był przeciwieństwem Rica i takich jak on. Był delikatny i niepewny siebie, skrywał prawdziwą naturę za maską twardziela, wyznawcy diabła.

Uklękła i zaczęła powoli rozpinać mu pasek. Spomiędzy drzew dobiegł trzask i Mitchell odwrócił się szybko, zaczepiając klamrą o jej włosy.

– Au, uważaj! – krzyknęła.

– Ojej, przepraszam, nic ci nie zrobiłem? Ktoś tam jest...

– Nikogo nie ma, spokojnie, rozluźnij się – odparła, rozcierając głowę w miejscu, z którego wyrwał jej włosy. Rozpięła Mitchellowi dzinsy i poczuła, jak pod wpływem wzrodu napinają mu się bokserki. Wstała i położyła dłonie na jego piersi. – Chcesz mnie, Mitchell?

W jego oczach pojawiło się pożądanie i jednocześnie strach. Miał na nią wielką ochotę, ale bał się, że coś schrzani. Kiwnął głową, pochylając się, żeby pocałować ją w szyję. Ona przyciągnęła go do siebie jedną ręką, a drugą rozpięła swoje dzinsy. Ujęła jego dłoń i wsunęła ją sobie między nogi, a wtedy Mitchell jęknął z zadowolenia. Wepchnął w nią palce, niezgrabnie i nachalnie, nie tak jak Ric, który z wprawą i zręcznością potrafił doprowadzić ją do orgazmu, jednak i tak było to podniecające, bo tym razem to ona miała władzę. Ona kontrolowała sytuację.

Nad ramieniem Mitchella, który posuwał ją palcami, cicho pytając przez cały czas: „Dobrze ci? Dobrze ci?”, spojrzała między drzewa. I znowu go zobaczyła. Więc to naprawdę był on, obserwował ich z zarośli. Popatrzyła na niego wyzywająco. Kłamał, kiedy mówił, że nie przeleciał Maisie, wiedziała to, za dobrze go znała. Lubił rozkochiwać w sobie kobiety – nie mógł oprzeć się tej pokusie i upajał się poczuciem kontroli. Ale to się już skończyło. Nie tylko on potrafił grać w tę grę. I teraz Sera uznała, że kolej na nią.

– O tak – jęknęła na tyle głośno, żeby usłyszał to Ric ze swojego punktu obserwacyjnego. – Jest cudownie. Chcę, żebyś mnie wziął.

Mitchellowi nie trzeba było tego powtarzać. Ściągnął bokserki, oparł Serę o drzewo i nieco ją podniósł. Kiedy w nią wszedł, naprawdę zaparło jej dech. Wbiła paznokcie w jego szyję, zostawiając czerwone ślady, i zamknęła oczy, podczas gdy on wykonywał posuwiste ruchy, jeden, drugi, trzeci, aż doszedł z głośnym jękiem. Sera uniosła powieki i spojrzała na Rica, który patrzył na nią, wtuloną w Mitchella i teatralnie dyszącą. „Mam nadzieję, że podoba ci się to przedstawienie – mówił jej wzrok. – Jest specjalnie dla ciebie”.

– O rany, jesteś niesamowita – powiedział Mitchell, podciągając bokserki i dżinsy. – Dobrze ci było? Ty też doszłaś?

– Jasne – skłamała. – Byłeś świetny.

– To fajnie... bo... eee... przepraszam, że było tak szybko. Jesteś taka... no i nie wytrzymałem. Następnym razem postaram się, żeby było dłużej.

Następnym razem? Powstrzymała się od uniesienia brwi. Ten biedny kretynek naprawdę myślał, że będzie następnym razem.

– Posłuchaj, lepiej już idź. Wrócę sama... nie chcę, żeby zaczęli o nas gadać.

Mitchell miał wątpliwości.

– Nie chcę cię zostawiać. Pójdziemy razem, a ja zatrzymam się na skraju lasu i odczekam chwilę.

– Nie – zaprotestowała ostrym głosem. – Mam latarkę. Nic mi nie będzie. W takim lesie jak ten nie ma seryjnych zabójców, którzy czailiby się za drzewami, no nie?

Mitchell wciąż nie był przekonany.

– Chyba nie, ale...

– Wracaj do obozu, ja zaraz przyjdę. Zobaczymy się rano, może uda nam się spędzić razem trochę czasu, zanim będziesz musiał ruszać w dalszą drogę.

Mitchell się uśmiechnął.

– Bardzo bym chciał.

– Ja też. – Odpowiedziała uśmiechem i popatrzyła, jak Mitchell wraca na ścieżkę prowadzącą do obozowiska.

A potem usiadła na kamieniu, czekając na Rica.

66

Seraphine

1999

Zjawił się, oczywiście – wyszedł zza drzew. Wiedziała, że poczuje od niej zapach taniej wody kolońskiej Mitchella i woń seksu.

– Zbok! – rzuciła, nie odwracając się, żeby na niego spojrzeć. – Podobało ci się? Zrobiłeś sobie dobrze, kiedy patrzyłeś, jak on mnie posuwa?

– O, to tym się zajmował? – prychnął szyderczo Ric. – Myślałem, że szukał w twojej cipie zegarka.

Wzdrygnęła się na to wulgarne określenie. Musiał być naprawdę wkurzony, nigdy tak się nie wyrażał.

– Kłamiesz. – Wstała i zwróciła się twarzą do niego. Wbił w nią wzrok, ciemny i groźny. – Byłeś podjarany. Przyznaj się.

– Nie zdążyłem się podjarać. Twój chłoptaś skończył, zanim zacząłem.

Sera parsknęła śmiechem. Wiedziała, że mu dopiekle. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka, ale on złapał jej dłoń i ścisnął. Syknęła.

– To boli – powiedziała, próbując się oswobodzić. – Sprawiasz mi ból.

– A sądzisz, że ty nie sprawiłaś mi bólu tym swoim małym przedstawieniem? – Ric jeszcze mocniej chwycił jej rękę i wykręcił. – Sądzisz, że nie zraniłaś mnie do

głębi?

Zacisnęła szczęki, żeby tylko nie dać po sobie poznać, jak cierpi. Ric rzadko wpadał w gniew, ale był zaborczy. Ona musiała patrzeć, jak uwodził kolejne kobiety, by mieli pieniądze, a on się wściekał, kiedy tylko flirtowała z innym facetem. W tej chwili dotarło do niej, że przekroczyła granicę. Co sobie myślała?

Przestała myśleć. Najpierw alkohol, potem dragi... o Boże, co będzie, gdy Ric odkryje, że podzieliła się ich ostatnią działką? Wtedy dopiero wpadnie w szal.

– Puść, proszę – powiedziała spokojnie.

Ku jej zaskoczeniu posłuchał. Sera odwróciła się, żeby odejść, choć nie wiedziała, czy on pójdzie za nią, czy nie. Gdyby poszedł, musieliby tam, w obozie, znowu odgrywać brata i siostrę – a Ric znowu posuwałby Maisie, tyle że teraz, po tej scenie, którą właśnie zobaczył, pewnie już by się z tym nie krył. A niech sobie robi, co chce. Przecież już postanowiła, że od niego odejdzie.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał, chwytając ją za T-shirt.

Zaczął padać deszcz i chłodne krople przeciekały przez liście drzew. Sera zadrżała, bo nagle zrobiło jej się zimno.

– Wracam do obozu – oznajmiła, próbując wyszarpnąć mu z rąk koszulkę, ale trzymał ją za mocno.

– Do swojego chłoptasia? – Zaśmiał się. – Nie ma mowy. Jesteś moja, Sera. I teraz na mnie kolej.

Sera ściągnęła brwi.

– Jak to na ciebie kolej? Nie bądź draniem, rozpadało się i zmarłam. Wróc ze mną, jeśli chcesz, ale przestań się pieklić.

Jednak coś w oczach Rica się zmieniło – jego spojrzenie stało się zimne, twarde. Nagle podniósł rękę i uderzył Serę w twarz, a ona upadła na ziemię, krzycząc z bólu.

– Ric, do cholery! To naprawdę zabolęło! Co ty sobie...

Ale nie dokończyła, bo wymierzył jej kopniaka w brzuch. Zgięła się wpół, z trudem łapiąc oddech. W oczach stanęły jej łzy. Nigdy wcześniej nie tknął jej palcem. Co, do diabła, chciał jej zrobić?

Wciąż ciężko oddychała, kiedy pociągnął ją w górę.

– Rozumiesz teraz? Jesteś MOJA. Będę robić z tobą, co zechcę. Wydaje ci się, że byłaś taka sprytna, pieprząc się z tym idiotą na moich oczach? Nie pomyślałaś, że mogę go zabić za to, że dotknął cię tymi swoimi brudnymi łapami? Ciebie i twoją...

– Nie sądziłam, że to cię ruszy – wydyszała, wciąż trzymając się za brzuch.

– To się pomyliłaś. I teraz moja kolej. Ściągaj koszulkę i pokaż mi się w świetle księżyca.

Sera się skrzywiła.

– Niczego nie zdejmę, Ric. Pada deszcz i jest zimno. Czy nie możemy po prostu...

Podniósł rękę, żeby znowu ją uderzyć, więc natychmiast ustąpiła.

– Dobrze, dobrze, tylko mnie nie bij.

– Ściągaj koszulkę.

– Ric...

Zbliżył się do niej i szarpnął w górę jej T-shirt, zadzierając go tak wysoko, aż nad piersi, że musiała podnieść ręce. Ściągnął go jej przez głowę i rzucił na ziemię.

– Nie kłóć się ze mną. – Przesunął po niej wzrokiem, chwycił ją za ramię i ustawił w blasku księżyca. – Brakowało mi tego. – Przesunął ręką po jej brzuchu, aż się wzdrygnęła. – Już nie mogłem się doczekać, kiedy ich dotknę.

Szarpnął jedną miseczkę stanika, a potem drugą, odsłaniając jej piersi, wystawione teraz na deszcz i zimne powietrze. Sera zaczęła płakać.

– Dlaczego płaczesz? – parsknął kpiąco. – Wcześniej chętnie pokazywałaś cycki. – Boleśnie uścisnął jej jeden z sutków. – Powiedz mi, Sera, czyje one są?

– Twoje – odpowiedziała. Wyrwał jej się szloch. – Tylko twoje. Przepraszam cię za niego, chciałam odegrać się na tobie za Maisie.

– A, tak, Maisie. – Na twarzy Rica pojawił się wredny uśmiech. – To przynajmniej miła dziewczyna. Można na nią liczyć. Nie jakaś brudna dziwka, która puszcza się z gotami.

– Ja wcale...

– Zamknij się. Zdejmuj to. – Wskazał na jej szorty.

– On tu przyjdzie, jeśli nie wrócę zaraz do obozu. Będzie się o mnie niepokoił.

– Teraz, kiedy cię zaliczył? Wątpię. Tacy chłoptasie jak on chcą tylko dobrać się dziewczynie do majtek, a potem mają ją gdzieś. Tylko ja jestem taki głupi, że cię nie zostawiłem. No, ściągnij te cholerne szorty, zanim sam to zrobię.

Sera rozpięła guziki przy szortach, bojąc się, że inaczej Ric znowu ją uderzy. Chciał wymierzyć jej karę, wiedziała o tym. Jeśli będzie posłuszna, on szybko się znudzi i zostawi ją w spokoju. Zdjęła spodenki. Ric chwycił za jej koronkowe stringi i zerwał je z niej. Dał znak, żeby się odwróciła.

– Co robisz? – zapytała go cicho, jak nie ona.

Szturchnął ją w ramię, rozpiął jej stanik i rzucił na szorty. Wyjął zapalniczkę, podpalił stringi, a potem upuścił je na resztę ubrań.

– Ric! – krzyknęła Sera. – Co ty wyrabiasz, do cholery? W czym wrócę do obozu? Możesz przestać? Posuwasz się za daleko.

– Za daleko? – powtórzył prawie szeptem. – Za daleko? – Stanął za nią, szarpnął ją za włosy i pchnął pod to samo drzewo, pod którym niedawno uprawiała seks z Mitchellem. – Nie zapominaj, co powiedziałem. Jesteś moja, Sera. Należysz do mnie i mogę posuwać się tak daleko, jak tylko zechcę.

Pień drzewa był szorstki, drapał ją w twarz i piersi, włosy zaczepiały jej się o korę i wplątywały w gałęzie. Poczuła ból, kiedy Ric wszedł w nią i raz po raz napierał na jej biodra. Uprawiali już ostry seks, ale nigdy w taki sposób. Teraz od Rica biła nienawiść i pogarda. Łzy ciekły jej po policzkach, gdy tak stała oparta o drzewo, czekając, aż to się skończy.

67

Maisie

1999

Maisie szła przez las, raz po raz wołając Serę. Ścieżkę oświetlał księżyc, ale wśród drzew było ciemno choć oko wykol. Miała wrażenie, że idzie już od wieków, gdy wreszcie usłyszała głosy i zobaczyła między drzewami jasne włosy Sery.

Stali w pewnej odległości od ścieżki, na polanie zalanej blaskiem księżyca. Sera opierała się o drzewo, a za nią... to był Ric? Tak, Ric, który ją dusił.

Niewiele myśląc, Maisie krzyknęła i podbiegła do nich. Ric się wyprostował, a Sera, trzymając się drzewa, podniosła głowę. Miała otwarte oczy, ale jakby nic nie widziała.

– Zostaw ją! – wrzasnęła Maisie.

Szarpnęła Rica, próbując odciągnąć go od Seraphine. Potknęła się i zamachała rękami. Chciała się czegoś uchwycić, ale nie miała czego. Sera uderzyła o drzewo i osunęła się na ziemię, a Maisie przewróciła się na nią. Szybko zerwała się na nogi, ale Sera leżała nieruchomo. Pod nią zaczęła zbierać się krew, tworząc kałużę.

– O Boże – szepnęła Maisie. – Co jej zrobiłeś? Co jej zrobiłeś, do cholery?

– Co ja jej zrobiłem? – Ric uklęknął przy Seraphine. – To chyba raczej ty? Znalazłem ją tutaj, nagą i ledwie przytomną. Pewnie uprawiała seks z jakimś

facetem. Próbowałem ją podnieść, a ty przybiegłaś i pchnęłaś ją na to drzewo. O Boże. Ona chyba nie żyje.

Maisie opuściła wzrok i z przerażeniem spojrzała na nagą dziewczynę, na krew. Niemożliwe, żeby Sera nie żyła, przecież to był zwykły upadek. Upadła i zaraz wstanie, wezwą pomoc i wszystko będzie dobrze. Tyle że...

Ric ujął Serę za nadgarstek. Popatrzył na Maisie szeroko otwartymi oczami.

– Nie ma pulsu. Zabiłaś ją, Maisie. Ona nie żyje.

Maisie poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Nie, to niemożliwe. To nie dzieje się naprawdę. Ma zwidy... przez alkohol albo dragi... nigdy wcześniej nie zażywała narkotyków i teraz wie dlaczego. Mącą w głowie, wywołują halucynacje, człowiek ma wrażenie, że wariuje. Zasłoniła rękami twarz.

– Posłuchaj, ja się tym zajmę – powiedział Ric. Pociągnął Maisie w górę, żeby wstała. – Wracaj do obozowiska. Idź do namiotu i połóż się spać. Rano powiesz wszystkim, że Sera dostała pilną wiadomość i musiała wracać.

– A co z jej rzeczami? To nie będzie podejrzane, że wszystko zostawiła?

– Schowaj jej torbę między drzewami – odparł Ric. – Powiedz im, że nie miała czasu złożyć swojego namiotu i poprosiła ciebie, żebyś to zrobiła. Kto wie, jeśli dopisze ci szczęście, może nawet ich już nie będzie, kiedy się obudzisz. Na tych szlakach każdy ma innych w nosie i chce tylko iść dalej. Odezwę się do ciebie, jak już wszystko załatwię. Idź, Maisie, uciekaj!

Maisie ponownie spojrzała na leżącą Serę. To nie mogło dziać się naprawdę.

Ale się działo. Ric ją popychał, mówił jej, żeby uciekała, więc uciekała. Popędziła przez las do obozu. Tam wydała mrożący krew w żyłach okrzyk.

Grudzień 2019

Kiedy wyłania się z cienia, czuję ulgę, choć jestem zaskoczona. Czyżby mnie śledziła?

– Tamra. – Nieco opuszczam broń. Pewnie nie może zrozumieć, co się tu dzieje. Mamuśka ze szkoły celuje do niej z pistoletu. Tylko że... – Czeka, co powiedziałaś? – Czuję się skołowana. – Jak mnie nazwałaś...?

– Morderczynią – odpowiada zimno. W jej głosie brzmi akcent, którego wcześniej nie słyszałam. Jakby z Manchesteru? – Bo nią jesteś, prawda?

– To ona – odzywa się Mitchell, wskazując na Tamrę. Ściągam brwi, a on wyjaśnia: – To ona mi powiedziała, gdzie mieszkasz. Przyszła na widzenie do więzienia, zanim mnie wypuścili, i oznajmiła, że żyjesz.

– Co ty tu robisz? – z wściekłością pyta Tamrę Kaz. – Zaraz, zaraz... czy twoja matka wie, że tu jesteś?

– Skąd wy się znacie? – Patrzę na jedną i drugą ze zdumieniem.

Czy to możliwe, że Kaz ma dzieci, które chodzą do tej samej szkoły co moje?

– Nie wiesz, kim ona jest? – zwraca się do mnie Kaz.

– Ha! Pewnie, że nie wie – rzuca Tamra, śmiejąc się ironicznie. – Skąd miałyby wiedzieć? Moja matka była nikim dla Seraphine Cunningham. Tak samo jak wy dwoje. Bez skrpułów zostawiła was na pastwę losu.

– Tylko że to twoja matka skłamała – mówi Kaz z pogardą w głosie.

Wszystko mi się rozjaśnia. Wreszcie dociera do mnie, kim jest Tamra i ile zadała sobie wysiłku, żeby wkraść się w moje życie. To córka Maisie Goodwin.

– Nie miała wyboru. – Tamra wymierza we mnie palec. – Bo ona upozorowała własną śmierć i zostawiła moją matkę z całym tym bajzlem.

– Skąd ją znasz? – pytam, zwracając się do Kaz. Sama celowo nigdy nie sprawdzałam informacji o Maisie, nie tylko dlatego, że nie chciałam, by przypadkiem zdradziła mnie historia wyszukiwania na komputerze. Wolałam po prostu zapomnieć o wszystkim, co się wtedy wydarzyło. Nie miałam pojęcia, że Maisie ma dziecko, może nawet więcej niż jedno.

– Bardzo długo miałam Maisie na oku – odpowiada Kaz. – Przez jakiś czas próbowałam ją przekonać, by przyznała się do kłamstwa, ale bez skutku. Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego powiedziała wszystkim, że Mitchell cię zabił. Bez jej zeznań byłabyś po prostu jeszcze jedną zaginioną osobą. Nie było ciała i nie zapadłby żaden wyrok, gdyby ona nie twierdziła, że widziała, jak Mitchell cię zabił.

– Zeznała tak, bo myślała, że to ona mnie zabiła – mówię. – Oskarżyła Mitchella, żeby chronić siebie.

Tamra Murray, córka Maisie Goodwin, uśmiecha się do mnie. Ale to nie ten ciepły, serdeczny uśmiech, który widywałam u miłej szkolnej sekretarki; ten jest zimny i wyrachowany.

– To ty próbowałaś porwać Faye? – pytam i zaraz kręcę głową. – Nie, przecież to był mężczyzna, widziano go...

– Phi. – Tamra cmoka szyderczo. – To nikt ważny. Był tylko narzędziem. Bez trudu łyknął historyjkę o biednej szkolnej sekretarce, z którą sypiał. Powiedziałam mu, że Faye to moja siostrzenica, a jej matka, czyli ty, nie pozwalała mi się z nią spotykać, i jestem załamana. On zrobi wszystko, co mu każę. Dostarczy paczkę, ukradnie psa. Zatrudni nowego grafika... – Mówi o kliencie Roba. Tym, który powiedział, że jego żona to Maisie Goodwin.

– Ale dlaczego tak ją prześladujesz? – odzywa się Kaz. – Twoja matka wyszła z tego bez szwanku, kiedy już wrobiła Mitchella.

– Nie mogę uwierzyć, że wciąż masz pretensje do mojej matki zamiast do niej – odpowiada Tamra i robi krok w moją stronę.

Ponownie celuję w nią z pistoletu.

– Stój!

Ona tylko się śmieje.

– Nazwałaś mnie morderczynią – podejmuję. – Dlaczego?

Tamra opiera się o schowek. Zachowuje się dość nonszalancko jak na kogoś, kto jest trzymany na muszce.

– Na szlaku West Coast znaleziono ludzkie szczątki. Jak myślisz, Sera, czyje mogą być?

– Wiesz czyje. – To nie pytanie, tylko stwierdzenie faktu; bo ona to wie.

– Moja mama ma znajomego, emerytowanego funkcjonariusza policji kanadyjskiej – mówi. – Pomogła mu w głośnej sprawie o zabójstwo.

Mitchell wydaje pomruk i zbliża się do niej o krok.

– Nie – rzucam do niego. – Nie jest tego warta. Nie daj się sprowokować.

– Szybko ustalono, że to było ciało mężczyzny – ciągnie Tamra. – Ale postanowiono przez jakiś czas nie ujawniać tej informacji, wiecie, jaka jest policja. Nie chcieli, żeby skojarzono to z twoją sprawą, która została zamknięta dawno temu. Ale mama wiedziała.

– A więc twoja matka wiedziała, że to nie byłam ja. Jak się domyśliła, że to on?

– Jaki on? – pyta Kaz. – O czym ty mówisz?

Seraphine

1999

Sera leżała na ziemi, z zamkniętymi oczami. Pękała jej głowa i czuła rwący ból w lewym boku. Był mokry, lepki. Ric klęczał nad nią. Pojawiła się tutaj Maisie czy tylko jej się zdawało? Kiedy Ric ją gwałcił, miała wrażenie, jakby opuściła swoje ciało, a później ktoś ją pociągnął i upadła. Na jakiś czas ogarnęła ją ciemność. Teraz znowu byli tylko we dwoje, ona i Ric, a Maisie zniknęła, jakby w ogóle jej tu nie było. Może Ric ponownie ją uderzył i straciła przytomność, a to wszystko tylko jej się przywidziało? Co zrobiła sobie w bok?

– Możesz już wstać. – Ric przyłożył coś do jej boku i zobaczyła, że to T-shirt, który wcześniej miała na sobie. – Upadłaś na coś ostrego. Rana jest dość głęboka, ale nie umrzesz od niej. Musimy jak najszybciej stąd iść. Masz, weź moją bluzę. – Poczowała, że coś jej rzucił. – Wrócimy tą samą drogą, którą przyszliśmy. Słuchasz mnie? Ona dała się nabrać na tę twoją sztuczkę z udawaniem martwej i myśli, że nie żyjesz. Zwiniemy się stąd i będziemy ją szantażować. Zapłaci mi za to, że pozbyłem się twojego ciała, w co święcie wierzy, i uratowałem jej tyłek. Liczyłem na coś innego, ale i tym nie pogardzę.

Sera nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił, ale to było bez znaczenia. Wiedziała tylko, że nie może spędzić ani chwili dłużej z kimś, kto ją napadł,

zgwalcili, spalił jej ciuchy. Czy spodziewał się po niej, że teraz, gdy poznała jego prawdziwe oblicze, będzie z nim dalej, jakby nic się nie stało? Najwyraźniej tak sądził. Sera nie miała pojęcia, jak się z tego wykaraskać, więc na razie się nie poruszyła.

Ric pochylił się nad nią.

– Wiem, że żyjesz – szepnął. Miał kwaśny oddech, jak nigdy wcześniej. Kim był ten człowiek? Z pewnością nie facetem, którego znała przed tą wyprawą. – Więc wstawaj, do cholery, i mi pomóż!

– Boli mnie – jęknęła.

Nie mogła się zorientować, co sprawia jej większe cierpienie: rana w boku czy to, co zrobił jej Ric. Bolało ją wszystko.

– O! – Ric przeszukiwał plecak, który ukradł na początku wyprawy. – Są tu jakieś bandaże. Weź ten T-shirt.

Opatrzył jej ranę, jakby nic się między nimi nie wydarzyło. Sera mimowolnie się wzdygała, kiedy jej dotykał, ale on tego nie komentował, być może uznając, że to z bólu. Gdy skończył, pomógł jej wstać.

– Musimy już iść. – Otworzył znów plecak i rzucił jej jakieś szorty. – Załóż to.

Nie wiedziała, dokąd mają iść ani dlaczego. Mieli zostawić wszystko za sobą?

– Nie mam swoich rzeczy. Nie mam butów. Poranię sobie stopy.

– Ciekawe, ile uda mi się z niej wyciągnąć – rzucił Ric, ignorując zupełnie jej słowa. – Sądzi, że jest morderczynią, więc pewnie słono zapłaci za to, żebym milczał.

A więc taki był plan. Oni się stąd zwiną, a Maisie będzie przekonana, że Sera nie żyje. Nikt się nie dowie, że zniknęła, może tylko Mitch będzie się czegoś domyślał, ale przecież znał ją zaledwie kilka godzin. Maisie bez trudu go przekona, że Sera przed świtem ruszyła w drogę. Ric wszystko to obmyślił w tak krótkim czasie, że aż ją to przerażało. Czy zawsze był psychopatą? Oczywiście, że tak, tylko ona tego nie widziała. To było nic w porównaniu z tym, z jakich tarapatów wydobywali się w przeszłości. Gdyby nie brutalność, z jaką potraktowała ją jedyna

osoba, której dotąd ufała, właśnie przeżywaliby kolejną typową dla nich przygodę. Bonnie i Clyde, uciekający w siną dal w środku nocy.

– Tylko że Maisie nie ma żadnych pieniędzy – powiedziała, choć równie dobrze mogłaby gadać sama ze sobą. Gałązki i kamienie wbijały się jej w stopy, ale ledwo to zauważała. Całe ciało miała obolałe, co zmieni jeszcze jedno rozcięcie skóry, kolejne zadraśnięcie?

Miała wrażenie, że idą godzinami. Zeszli ze szlaku West Coast i coraz bardziej zagłębiali się w las. Musi uciec od Rica, postanowiła. Może nie od razu, bo była w takim stanie, że natychmiast by ją dogonił, ale gdy tylko dotrą do cywilizacji.

Pogrążona w myślach, potknęła się i upadła na kolana między paprocie, gałązki i zwalone pnie drzew.

– Au!

– O Chryste Panie – mruknął Ric. Podszedł do niej i trącił ją stopą. – No wstawaj! Nie możemy marudzić.

Pochylił się nad nią, żeby ją pociągnąć, i w tej chwili zobaczyła w nim tamtego napastnika. Już zrobił jej krzywdę, ile razy się to jeszcze powtórzy?

Natrafiała dłonią na duży kamień. Teraz. Mogła to w tej chwili zakończyć. Nie namyślała się – bo wtedy na pewno by się nie odważyła – tylko podniosła ten kamień i walnęła nim Rica w skroń.

Trzymając się za głowę, poleciał do tyłu. Spomiędzy jego palców wypływała krew. Wydawał się zaskoczony, zdziwiony. Wyglądał zapewne tak jak ona, gdy pierwszy raz ją uderzył.

Zanim zdążył zareagować, Sera rzuciła się na niego i znowu zamachnęła się kamieniem. Tym razem Ric wrzasnął z bólu. Napawała się tym dźwiękiem. Uderzała go raz po raz, aż pod jego głową zebrała się kałuża krwi i przestał krzyczeć.

Wtedy Sera upuściła kamień. Z przerażeniem spojrzała na to, co zrobiła, i zaczęła się trząść. Uświadomiła sobie, że jest w szoku, więc szybko otworzyła plecak Rica, szukając czegoś na uspokojenie. Pociągnęła łyk whisky z piersiówki, którą tam znalazła, po czym wyjęła legginsy. Były na nią o wiele za duże, ale lepsze

niż dzinsowe szorty. Wsunęła legginsy na siebie i znów popatrzyła na Rica. Czy powinna ukryć jego ciało? Znacznie oddalili się już od szlaku i nikt pewnie go tu nie znajdzie. Mimo to czułaby się lepiej, gdyby chociaż go czymś przykryła.

Chwyciła za jego rękę, ale ledwie drgnął. Dlatego mówi się, że bezwładne ciało jest takie ciężkie, pomyślała. Jak ma go przenieść w inne miejsce? Schyliła się i próbowała go popchnąć. Jego ciało obróciło się trochę, a ona pchała dalej, z całych sił. Przekręciło się całkiem, więc nie ustawała. Potem pociągnęła je kawałek, bo czuła, że odzyskuje sprawność w rękach, i znowu zaczęła pchać. Las był tutaj tak gęsty, że niewiele widziała i kilka razy obtarła sobie ramiona i rękę o konary i pnie drzew.

Gdy poczuła, że dalej już nie da rady, zepchnęła zwłoki kochanka do rowu. Wzięła z jego plecaka tę niewielką sumę pieniędzy, jaka tam została, oraz baton energetyczny i whisky. Była obolała i posiniaczona, wyczerpana i przerażona, ale nie miała innego wyjścia, jak tylko uciekać. Zabiła gołymi rękami człowieka i zdawała sobie sprawę, że teraz tylko ona jest winna pieniądze za narkotyki, które razem podprowadzili. Jeśli wydarzenia tej nocy czegoś ją nauczyły, to tego, że chce żyć. Więc uciekła.

Grudzień 2019

– Ric. Jeśli naprawdę miał tak na imię – odpowiada Tamra i patrzy na mnie, jakby szukała potwierdzenia.

– Ja znałam go pod takim – rzucam, wzruszając ramionami. – Ale czy ja wiem? Był kłamcą i oszustem, został skazany. Cokolwiek mówiła ci o nim matka, to nieprawda. Znała go tylko przez kilka dni. Nie był dobrym człowiekiem. Ukradł narkotyki, zadzierając z niewłaściwymi ludźmi.

– Mojej mamie okazał dobroć – zauważa.

Co ty jej naopowiadałaś, Maisie? Dlaczego tę dziewczynę tak obchodzi ktoś, kto umarł, zanim przyszła na świat? Chyba że...

– Był twoim ojcem – zgaduję. – Przespali się ze sobą na szlaku.

Na jej twarzy znowu widać gniew.

– A ja nigdy go nie poznałam. Przez ciebie.

– Zgwałcił mnie tamtej nocy, Tamra. Dlatego go zaatakowałam. Dlatego uciekłam i nigdy nie patrzyłam wstecz. Twój ojciec nie był dobrym człowiekiem. Przykro mi. – Wypowiadam te słowa zimno i Tamra gwałtownie wciąga powietrze, jakbym dała jej w twarz.

Mitchell bierze głęboki oddech.

– Kłamiesz – syczy przez zęby Tamra. – Kłamiesz, ty suko.

Rusza w moją stronę, więc podnoszę pistolet.

– Lepiej stój – ostrzegam.

Ale ona się śmieje i mam obawy, że oszalała. Jeśli wie, że już raz zabiłam, dlaczego zupełnie nie przejmuję się tym, że w nią celuję? Chyba że...

Obracam się do ściany i naciskam spust. Rozlega się pstryknięcie, nie strzał.

– Wyjęłaś pociski – mówię.

Na jej twarzy pojawia się szaleńczy uśmiech.

– Uhm. – Kiwa głową. – Chciałam się przekonać, czy Mitchell do ciebie strzeli, jak będzie miał okazję. Z technicznego punktu widzenia już nie żyjesz. – Przenosi wzrok na Mitchella. – Jeśli chcesz ją załatwić, to możesz. Już odsiedziałeś za jej zabicie, nie wsadzą cię za to po raz drugi.

– To nieprawda – odzywa się Kaz. – Mogliby go za to zamknąć. Masz błędne informacje. – Wzrusza ramionami. – Przykro mi.

Kaz mówi z taką pewnością, że musiała to sprawdzić. Zastanawiam się, czy pozwoliłaby, żeby Mitchell mnie zabił, gdyby wiedziała, że nic mu za to nie zrobią.

– Nie mam takiego zamiaru – włącza się Mitchell. Patrzy na mnie, nie na Tamrę. – Miałaś powody, żeby postąpić tak, jak postąpiłaś. Nie winię cię.

Tamra wypuszcza z płuc powietrze, jakby nie mieściło jej się w głowie to, co słyszy.

– Musisz mieć magiczną cipkę, Seraphine – kwituje. – I pewnie dobrze to robisz tymi kłamliwymi ustami.

– Mówię prawdę o Ricu – zapewniam ją. – Wiem, że postąpiłam źle, ale on mnie zgwałcił. Więc go zabiłam, licząc, że zanim jego ciało znajdzie policja, pożrą je pumy. I żyłam z tą nadzieją przez następne lata. Jak również ze świadomością, że mogłabym ocalić Mitchella, biorąc telefon i mówiąc władzom, że żyję. Zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Zasługuję na wszystko, co mnie spotka.

– Wzruszające – prycha Tamra.

Maisie musiała namieszać temu dziecku w głowie. Czy obie mają obsesję na punkcie Rica?

– Gdzie jest twoja matka? – pytam ją. – Porozmawiam z nią, dobrze? Przemówię jej do rozsądku, załatwię wam obu pomoc.

– Ona się zabiła – syczy Tamra i wreszcie rozumiem, skąd u niej ten gniew. – Szukała mojego ojca przez całe lata, aż wreszcie dotarła do kogoś, kto sprzedawał mu w Vancouver narkotyki. On skierował ją do fałszerza dokumentów, który powiedział, że nie widział Rica od lat. Ale widział ciebie. Przez dwadzieścia lat myślała, że nie żyjesz i że wysłała za kratki niewinnego człowieka, żeby nie urodziła się w więzieniu, a potem nie została jej odebrana... tylko po to, by odkryć, że nie zabiła cię tamtej nocy. Żyłaś przez cały ten czas i wszystkie te okropieństwa, które popełniła, były na darmo. Kosztowało ją to trochę forsy, ale facet zdradził jej, na jakie nazwisko wystawił ci nowe dokumenty. Laura Johnson. Szukała cię przez kolejne dwa lata, aż znalazła, dzięki biznesowi, który założyłaś. I wtedy nie mogła już dłużej się oszukiwać. Zobaczyła, że facet mówił prawdę. Nie zginęłaś, a Mitchell był niewinny.

O Boże. Uginają się pode mną nogi. Maisie nie żyje. Mam na sumieniu kolejną osobę. Czy nigdy nie będzie temu końca?

Grudzień 2019

– Chciałam cię poznać – mówi Tamra, podchodząc do mnie i zabierając mi pistolet. – Kiedy dorastałam, byłaś dla mnie niemal mityczną postacią. Co wieczór moja mama upijała się i na zmianę określała cię jako najcudowniejszą osobę na świecie albo kogoś, kto sprawił, że nie mam ojca. Nigdy tak naprawdę nie rozumiałam tego pijanego bełkotu, aż w końcu któregoś dnia powiedziała mi, co ci zrobiła. Przez te wszystkie lata musiała żyć z poczuciem winy, że jest odpowiedzialna za twoją śmierć. A potem ktoś znalazł szczątki mojego ojca i wtedy zdała sobie sprawę, co zrobiłaś. Zdumiewało mnie, że potrafiła pozostać trzeźwa na tyle długo, by cię namierzyć, ale to stało się jej nowym uzależnieniem. Tak jak wcześniej przez tyle lat były nim próby odnalezienia taty. Możliwe, że tamtej nocy przedawkowała świadomie. Albo może był to wypadek. Tak czy inaczej, mogłaby mieć zupełnie normalne życie, gdybyś nie zapadła się pod ziemię.

Chcę powiedzieć, że Maisie nie mogłaby mieć normalnego życia, odkąd wparował do niego Ric. Uzyskałby nad nim taką samą kontrolę, jak wcześniej nad moim. Ale nie mam już siły wynajdywać kolejnych usprawiedliwień dla swojej przeszłości. Za dużo tego wszystkiego. Niech mnie zabije.

Tamra wyjmuję z kieszeni kule i ładuje broń, a ja stoję i czekam, jak skazaniec przed plutonem egzekucyjnym. Mitchell i Kaz robią to samo i zastanawiam się, czy są zmęczeni życiem, tak jak ja, czy zbyt osłupiali, żeby zareagować.

Zamykam oczy, przygotowana na strzał. Czy go usłyszę? Chyba tak, dźwięk przemieszcza się szybciej niż pocisk, i mam nadzieję, że na tym się skończy. Liczę, że Tamra strzeli mi w głowę i od razu umrę.

Jednak słyszę inny dźwięk. Archie zaczyna szczekać, jakby wyczuł, że jestem w niebezpieczeństwie. To sprawia, że odzyskuję zdrowy rozum. Szczekanie psa przypomina mi o domu, a dom – o Faye, George’u i Robie. To dla nich żyję. Jeśli teraz umrę, to wszystko będzie na darmo. Moje dzieci zostaną bez mamy. Nie mogę tak łatwo się poddać.

– Nie! – krzyczę, gdy Tamra wkłada ostatni nabój.

Nie zdąży strzelić, jeszcze nie załadowała dobrze broni. Rzucam się na nią i pcham ją na drzwi schowka. Upadając, chwytam mnie za włosy i szarpie za sobą. Obie lądujemy na podłodze za drzwiami komórki.

Tamra podrywa się szybciej ode mnie, zatrząskuje drzwiami i przekręca klucz. Mitchell i Kaz się dobijają, Archie szczeka. Zrywam się na nogi, żeby otworzyć drzwi, ale Tamra skacze na mnie z krzykiem. Uderzam w ścianę i czuję, że brakuje mi tchu. Łapiąc powietrze, próbuję chwycić ją za włosy, szyję, cokolwiek. Zaciskam palce na jej swetrze, ale gdy szarpnięciem z całej siły, ona się wyrzywa i rzuca mnie na podłogę. Wymierza mi kopniaka w brzuch i zwijam się z bólu. Potem spada na mnie grad następnych kopniaków. Wszystko mnie boli. Leżę skulona, chroniąc głowę, twarz i brzuch. Ona nie ustaje, kopie mnie gdzie popadnie, w bok, w kark. Chce mnie zabić.

I nagle przestaje. Słyszę, jak dyszy, ale nie mogę wstać, cała jestem obolała. To nie tak jak na filmach, w których pobity bohater wraca do walki i zwycięża. Z nosa cieknie mi lepka krew, mam co najmniej jedno żebro złamane i sądząc z tego, jak rzeżę, chrapliwie i urywanie, mogę mieć przebite płuco. Boję się, że umieram.

Pomaga mi się ocknąć ostry zapach benzyny. A więc taki od początku był jej plan. Zamknąć mnie w tej komórce i patrzeć, jak trawi mnie ogień. Tylko że wszystko poszło na opak i teraz ja jestem na zewnątrz, a ludzie, którzy przybyli mnie uratować, są w środku, a wraz z nimi mój kochany Archie.

Leżąc tak, myślę o kolejnych decyzjach, które przywiodły mnie w to miejsce. O wszystkich kłamstwach, jakich naopowiadałam, o ludziach, których zraniłam. Myślę o Ricu, który mnie zdradził – nie dlatego, że uwiódł Maisie, ale dlatego, że potraktował mnie jak swoją własność. I o Mitchellu, który mimo że został niewinnie skazany, opłakiwał moją śmierć. Na świecie są dobrzy i źli ludzie. Ric należał do tych złych, choć to nie usprawiedliwia tego, co mu zrobiłam. Mitchell jest z tych dobrych i teraz, czując, że magazyn wypełnia się dymem, wiem, że tu umrze, bo przyszedł mnie odnaleźć, uratować przed Kaz – a przynajmniej tak mu się wydawało. Poświęcił się dla mnie po raz drugi. I kiedy tak leżę i czekam na śmierć, uświadamiam sobie, że mam jeszcze coś w tym życiu do zrobienia – muszę uratować Mitchella.

Tamra dawno się wyniosła – uciekła, kiedy tylko podpaliła magazyn. Mam wrażenie, że trwa to całe wieki, ale gdy hala stopniowo wypełnia się czarnym gorącym dymem, centymetr po centymetrze podczołguję się do drzwi schowka. Archie wciąż szczeka, a Mitchell i Kaz wołają o pomoc. Wreszcie dotykam chłodnych drewnianych drzwi i pokonując straszliwy ból, podciągam się na kolana, żeby przekręcić klucz w zamku i nacisnąć kłamekę. Drzwi otwierają się do środka, a ja lecę do przodu i padam na podłogę.

Epilog

20 grudnia 2019

– Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku!

– Mamusiu, George wszystko psuje, bo nie mówi się „szczęśliwego”!

On chichocze i mogłabym przysiąc, że specjalnie robi siostrze na złość. Patrzy na mnie, jakby szukał wsparcia, a w jego wielkich niebieskich oczach maluje się prośba.

– On nie ma złych intencji – zapewniam ją.

Nagle dostaję ataku kaszlu i zginam się wpół.

– Wszystko w porządku?

Rob pochyla się nad szpitalnym łóżkiem, w którym leżę od osiemnastu dni – od czasu, gdy Mitchell Dyke wydobył mnie z płonącego magazynu – i odgarnia mi włosy z twarzy.

Nogi łóżka są ozdobione lametą, na stoliku obok leżą kartki świąteczne wraz ze stertą czasopism i batonami czekoladowymi. I żadnych winogron – rodzina i przyjaciele dobrze mnie znają. Według lekarzy nie odniosłam poważnych obrażeń, nie nawdychałam się dymu i płuco nie jest przebite, mam tylko złamane trzy żebra. Jeśli dopisze mi szczęście, może nawet wypuszczą mnie stąd na Boże Narodzenie, ale w tym roku to Rob będzie stał przy kuchni – jemu się mniej poszczęściło.

Szczęście. To chyba moje słowo przewodnie. Kiedy leżałam w tamtym magazynie i czekałam na śmierć, nagle poczułam na twarzy mokry jęzor Archiego.

Znalazłam się w silnych ramionach Mitchella Dyke'a, człowieka, któremu zrujnowałam życie, a on wyniósł mnie na zewnątrz. Mógł mnie tam zostawić. Ja zostawiłabym samą siebie, ale Mitchell jest lepszym człowiekiem ode mnie.

Dwa dni później w spalonym magazynie znaleziono ciało Tamry. Została uznana za bohaterkę. Po tym, jak zniszczyłam jej życie, uznałam, że tyle chociaż mogę dla niej zrobić. Powiedziałam policji, że nagle przypomniałam sobie o nadajniku GPS w obroży Archiego i że Tamra pojechała ze mną odzyskać psa. Zauważyliśmy, że wybuchł pożar, gdy było już za późno, i Tamra znalazła się w potrzasku. Mitchell i Kaz zniknęli przed przybyciem policji, żeby nie skojarzono ich z córką Maisie. Kiedy policjanci przeszukali rzeczy Tamry w niewielkim mieszkaniu, które wynajmowała, znaleźli dziennik jej matki, najwyraźniej pisany, zanim dowiedziała się, że żyję. Maisie wyznaje w nim, że to ona mnie zabiła, więc dla świata wciąż jestem martwa, a Mitchell jest niewinny.

Szczątki Richarda Jamesa Hadleya zostały zidentyfikowane na podstawie dokumentacji z leczenia stomatologicznego. Był poszukiwany przez policję; chcieli przesłuchać go w związku z trzema brutalnymi napaściami na kobiety, oszustwami i przestępstwami narkotykowymi. Nie zdawałam sobie sprawy, jak złym był człowiekiem; zafascynowana życiem w stylu Bonnie i Clyde'a, które razem wiedliśmy, wołałam tego nie wiedzieć. Ale musiało dojść do eskalacji; chociaż nie wyobrażałam sobie, że będzie tak brutalna i przyniesie tak dalekosiężne skutki.

*

Wiem, że powinnam zgłosić się na policję i oczyścić nazwisko Maisie z zarzutów, tak jak powinnam była to zrobić w przypadku Mitchella, ale życie nie jest takie proste. W powieści przesłabym przemianę i stałabym się kimś, kto po latach strzeżenia sekretów przedkłada dobro innych ponad własne, jednak w realu trzeba błyskawicznie dokonywać trudnych wyborów i żyć z nimi do końca. Wiem o tym, bo kiedy Mitchell wyniósł mnie z pożaru, usłyszałam krzyk kobiety. Krzyk Tamry. Nie wiem, dlaczego była jeszcze w tym magazynie – czy zmiękło jej serce

i wróciła, żeby uwolnić Kaz i Mitchella, czy może po prostu zostawiła w środku coś, co mogłoby rzucić na nią podejrzenia – ale ją usłyszałam. Mitch się zatrzymał.

– Co to było? – zapytał.

Kaz spojrzała na mnie i w jednej chwili zorientowałam się, że ona też to słyszała. Ogień szalał w środku, niewątpliwie doskonałą pożywką były dla niego te wszystkie dywany, które zapalały się od siebie na zasadzie domina. Zewsząd wydobywał się dym. Musieliśmy uciekać, i to bezzwłocznie.

– Nic – odpowiedziała Kaz trochę zbyt szybko.

Wyraz jej twarzy zdradził mi wszystko – nie chciała ryzykować, że znowu straci Mitchella. Obie wiedziałyśmy, że wróciłyby po Tamrę.

I znowu musiałam podjąć decyzję. Półprzytomna, pobita i krwawiąca, wybrałam jego, a ją poświęciłam.

– Niczego nie słyszałam – wymamrotałam, a potem zamknęłam oczy i doszło do mnie, że Kaz cicho odetchnęła z ulgą.

Znowu mamy wspólny sekret, ale ja potrafię dochowywać sekretów.